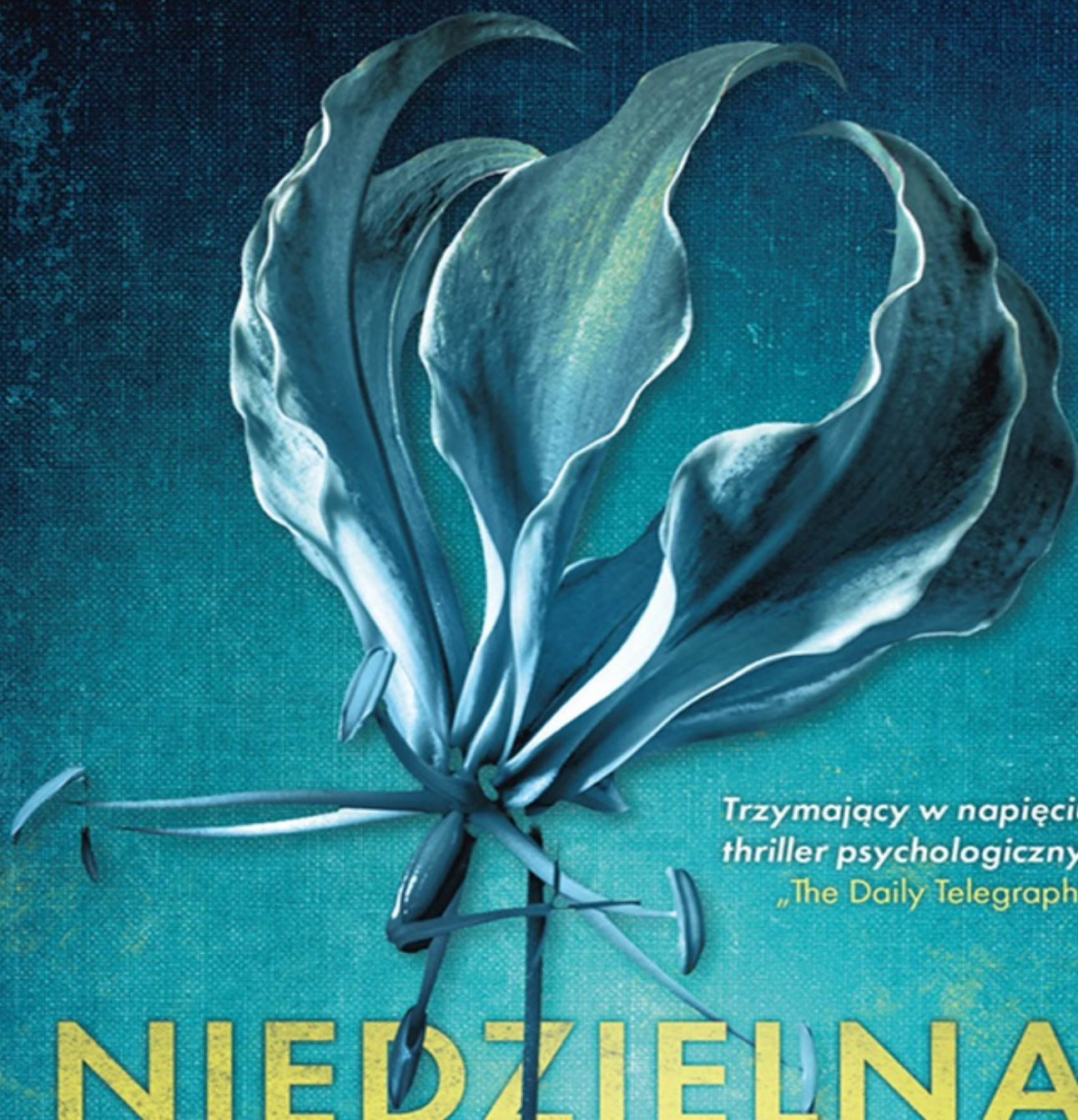


PIP DRYSDALE



Trzymający w napięciu
thriller psychologiczny.
„The Daily Telegraph”

NIEDZIELNA
DZIEWCZYNA



Wydawnictwo
SONIA DĄBKA

PIP DRYSDALE
**NIEDZIELNA
DZIEWCZYNA**

Z języka angielskiego przełożyła
Ewa Penksyk-Kluczkowska



The Sunday Girl
Copyright © 2018 by Pip Drysdale
All rights reserved.
First published by Simon & Schuster UK Ltd, England.

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2019 for the Polish translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska (under exclusive license to
Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Anna Slotorsz / artnovo.pl
Zdjęcia na okładce: © jakkapan, © Anna E, © miraswonderland (adobe stock)

Redakcja: Marta Chmarzyńska
Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-66460-26-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 2519
[e-mail: info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[niedziela](#)

[5 LUTEGO](#)

[poniedziałek](#)

[6 LUTEGO](#)

[wtorek](#)

[7 LUTEGO](#)

[środa](#)

[8 LUTEGO](#)

[czwartek](#)

[9 LUTEGO](#)

[piątek](#)

[10 LUTEGO](#)

[sobota](#)

[11 LUTEGO](#)

[niedziela](#)

[12 LUTEGO](#)

[poniedziałek](#)

[13 LUTEGO](#)

[wtorek](#)

[14 LUTEGO](#)

[środa](#)

[15 LUTEGO](#)

czwartek

16 LUTEGO

piątek

17 LUTEGO

sobota

18 LUTEGO

niedziela

19 LUTEGO

poniedziałek

20 LUTEGO

wtorek

21 LUTEGO

środa

22 LUTEGO

czwartek

23 LUTEGO

piątek

24 LUTEGO – ZA DNIA

piątek wieczorem

24 LUTEGO – POD WIECZÓR

sobota

25 LUTEGO

niedziela

26 LUTEGO

poniedziałek

27 LUTEGO

piątek

10 MARCA

podziękowania

Dla nieujarzmionych

Wojna jest dla państwa sprawą najwyższej wagi, sprawą życia lub śmierci, drogą wiodącą do przetrwania lub upadku. Dlatego też należy jej poświęcić poważne studia.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*, przeł. K.A.M.

niedziela

Sun Tzu rzekł: Strategia wojny polega na przebiegłości i stwarzaniu złudzeń.

5 LUTEGO

Niektóre romanse zmieniają człowieka nieodwracalnie. Ktoś wskakuje na twoją orbitę i obraca cię wokół twojej osi, jak wiatr miotający kogucikiem na dachu. A gdy to mija, bo wiatr zawsze ustaje, jesteś już inny. Obrąłeś nowy kierunek. I niekoniecznie właściwy.

Rozumiesz jednak, że takie było zadanie tamtej osoby, taką miała odegrać rolę w twoim życiu. Trzeba było dać jej odejść; nie możesz mieć pretensji do wiatru, że cichnie, bo wiatr taki już jest. W teorii to wszystko wiem. Nie jestem jakąś idiotką. Jestem świetnie wyposażona w nowoczesne mądrości i inspirujące instagramowe memy. I właśnie w tym rzecz: w prawdziwym życiu, w sferze realnego ludzkiego istnienia teoria dzierży w dłoni stare gęsie pióro, a złamane serce spluwę. Więc czy to w ogóle rywalizacja?

Czyli znamy już odpowiedź na pytanie „dlaczego?\": pchnęła mnie do tego miłość, nieszczęśliwa miłość.

Miłość. I sekstaśma.

Jeśli chodzi o „jak?” – to już trochę bardziej skomplikowane.

A kiedy?

No, to akurat najłatwiejsze ze wszystkiego: zaczęło się cztery dni, osiemnaście godzin i dwadzieścia trzy minuty po tym, jak najsilniejszy w moim życiu wicher postanowił mnie opuścić.

I jak to bywa z wielkimi katastrofami, zaczęło się od drobiazgu.

Londyński luty – oczywiście zimno. Deszcz bębnił lekko o szyby, wepchnięta w szparę złożona gazeta zapobiegała zalaniu, a ja siedziałam na

beżowo-czerwonym starym dywanie na środku swojego mieszkania. Prawie już opróżniłam butelkę chardonnay i właśnie prowadziłam w Google poszukiwania całkowicie moim ówczesnym zdaniem usprawiedliwione, a mianowicie czekałam na wyniki zapytania „Jak zniszczyć mężczyznę”. Czy też – jeśli mam wiernie relacjonować fakty – „Jak niczyć mżyznę”. Na szczęście Google szybko dokonał deszyfracji języka młodej pijaczki.

Uzyskałam wyniki dwojakiego rodzaju:

Po pierwsze: strony pełne zwięzłych, dokładnych instrukcji prowadzenia zimnej wojny psychologicznej z byłym facetem (z czego większość obejmowała wrzucanie prowokujących zdjęć z innymi mężczyznami do wszystkich możliwych mediów społecznościowych; jedna witryna, jeśli już ją znajdziesz, dostarczy ci szczegółowych instrukcji, jak zdobyć niezасłużony zakaz zbliżania się).

Po drugie: strony pełne zwięzłych, dokładnych instrukcji, jak odzyskać owego byłego faceta (głównie zalecające „regułę zero kontaktu” w połączeniu ze sporadycznymi i prymitywnymi elementami taktyk nakreślonych w opcji pierwszej).

Jedne i drugie były dla mnie bezużyteczne. Absolutnie nie chciałam jego powrotu i potrzebowałam czegoś mocniejszego niż zasada zero kontaktu, by wyrządzić takie szkody, jakich pragnęłam; a pragnęłam zgłiszczy. Płonących zgłiszczy. Takich, jakich pragnąć może tylko kobieta naprawdę zdradzona. Miałam dość usprawiedliwiania go, dość roli ofiary, dość udawania miłej.

Dziś nieustannie zadaję sobie jedno pytanie: czy zatrzymałabym się w tamtym momencie, gdybym wiedziała, co z tego wszystkiego wyniknie? Ale to chyba nie ma znaczenia – wtedy nie wiedziałam. Poza tym nie za bardzo byłam otwarta na racjonalne argumenty: przepelniała mnie rozpalona do białości furia znana tylko młodym, udręczonym i zranionym. Tak więc Los niewiele miał do roboty – musiał poustawiać dokoła mnie to swoje kosmiczne domino i czekać, aż przewrócę pierwszą kostkę. A ja przewróciłam jak na zawołanie: w chwili gdy wcisnęłam „enter” i wypuściłam w eter swoje pragnienia zniszczenia tego człowieka, ta pierwsza kostka domina przewróciła się nieodwołalnie i ruszył łańcuch

zdarzeń.

Bo o to właśnie chodzi w dominie: łatwo zacząć, trudno przerwać. I absolutnie nie wiadomo, do czego to wszystko doprowadzi.

Oczywiście łatwo na pytanie „Czybym się zatrzymała?” odpowiedzieć „Tak. Ależ no pewnie, że bym się zatrzymała!”. Stojąc przed ławą przysięgłych, zapewniłabym, że jak najbardziej. Ale tak z ręką na sercu, tak naprawdę szczerze, odpowiem: Nie, raczej nie.

Za późno już było.

Bo zawsze byłam porządna i grzeczna. Przyjazna, uległa, wyrozumiała. Taką dziewczynę jak ja każdy chce przedstawić rodzicom, wszystkim znajomym i mieć pod ręką, mimo że miłość dawno już wystygła, tylko dlatego że jest (ta dziewczyna, czyli ja) taka uległa. I dlatego właśnie Angus mnie kochał, dlatego mnie potrzebował, dlatego „byliśmy sobie pisani”: byłam „doskonałym yin” dla jego yang, stawał się lepszy przez samo obcowanie ze mną. Życzliwszy. A w każdym razie tak mówił.

Każdy jednak ma swoje ograniczenia, swoje granice, których nie wolno przekraczać, Angus zaś ewidentnie przekroczył moje.

Tak więc dwa dni po wyżej opisanym przeszukiwaniu Google’a owa przyjazna, uległa, wyrozumiała dziewczyna wreszcie pękła. Jak gumka naciągnięta milimetr za mocno. I w tym momencie Życie podniosło przesłodzony woal, pod którym się ukrywałam, i chcąc nie chcąc, musiałam zmierzyć się z innymi aspektami swojej osobowości. Mroczniejszymi aspektami. Brzydkimi. Aspektami słabymi, małostkowymi, jadowitymi.

Aspektami, których może nigdy bym nie odkryła, gdyby nie on.

A te aspekty nie tchórzyły, o nie. One brały odwet.

Nie że chciałam być złym człowiekiem – nikt nie chce robić złych rzeczy. I gdyby to była tylko kwestia naszej mrocznej, pokręconej historii, łączących nas sekretów i tego kijowego zerwania, może bym się wzięła w garść. Lubię myśleć, że pogodziłabym się z sytuacją i poszła swoją drogą. Ale było coś jeszcze.

A dowiedziałam się o tym dzięki wiadomości z Messengera.

W pierwszej chwili uznałam, że to spam – w podglądzie treści widniało xxx – więc ją skasowałam. Zmodyfikowałam odpowiednio ustawienia prywatności i zajęłam się swoimi sprawami. Ale potem przyszedł mejl na mój adres służbowy. Od kogoś innego. Przeczytałam w nim: *Cześć, Taylor, bardzo mi się podobał Twój filmik*. I tym razem dostałam też link.

Przesłałam to sobie na telefon, kliknęłam na link i na ekranie uruchomił się filmik.

Ze mną.

Wideo, którego nie miała nigdy zobaczyć żadna postronna osoba: potargane ciemnoblonde włosy przesłaniają mi jedno oko, z fałszywą skromnością uśmiecham się do kamery. Partnerowała mi Holly. Poznałyśmy się w klubie o trzeciej nad ranem. To był pomysł Angusa. Nigdy wcześniej nie całowałam się z kobietą, ale to było miłe. Delikatne. Holly smakowała jagodami i solą. A to nagranie, takie niedoświetlone i drżące, miało na zawsze być wyłączną własnością Angusa.

Tak obiecał.

A jednak proszę, właśnie je oglądałam, w opisie filmu widniało moje imię i nazwisko – pewnie tak właśnie znaleźli mnie tamci mężczyźni. Google jest w tym niezwykle skuteczny.

Policzki mi płonęły. Serce tłuło się jak szalone w klatce piersiowej. Kiedy mój mózg w końcu pojął potworność oglądanych obrazów i kliknęłam w krzyżyk w rogu ekranu, wyłączając nagranie, zanim rozległ się jakiś kompromitujący dźwięk, coś we mnie pękło. Coś ważnego. Niemal usłyszałam ten trzask.

Może ufność. Może cnota. A może zdrowy rozsądek.

Ale po dwudziestu dziewięciu latach hołdowania ideałom uprzejmości, dobroci, tolerancji i przebaczenia – życia wedle zasady „nie należy odpłacać pięknym za nadobne” – miałam dość. W końcu każde yin ma w sobie odrobineczkę yang. Tak więc gdy metr ode mnie moja szefowa stuknęła coś na klawiaturze, a ja wpatrywałam się tępo w monitor, udając, że nic się nie dzieje, Życie szeptało mi do ucha moją nową mantrę: *Przetrwają, kurwa,*

najsilniejsi.

Stąd to wyszukiwanie w Google'u. I wszystko, co stało się później.

poniedziałek

Sun Tzu rzekł: Z pewnością ten, kto w ogóle nie robi kalkulacji, zaprzepaszcza szansę zwycięstwa. Z tego powodu zawsze dokładnie analizuję sytuację, aby warunki konfrontacji były zupełnie jasne.

6 LUTEGO

W poniedziałek po zerwaniu wzięłam wolne na żądanie. Siedziałam nad Google'em do 2 nad ranem i obudziłam się nerwowa i nieostrożna, potrzebowałam znieczulenia. Czegokolwiek, co pozwoliłoby zapomnieć. Tak więc leżałam w łóżku do 11, wpatrując się w pęknięcie na suficie i opróżniając butelkę szampana, którą trzymałam w lodówce na specjalną okazję.

A o 11.03 wysłałam esemes do Jamiego. Byłam pewna, że skasowałam jego numer, gdy poznałam Angusa, ale najwyraźniej nie. Bo proszę bardzo, zachował się, sprytnie ukryty pod pseudonimem „Anderson. Chce tylko seksu. Nie dzwonić pod żadnym pozorem”.

Poznałam go dwa lata wcześniej na wystawie street artu na Brick Lane, umówiliśmy się na dwie randki. Pierwsza była bajkowa, druga nerwowa. Nasz krótki romans zakończył się przedramatyzowaną kłótnią w uliczce Soho – ja jeszcze nie chciałam uprawiać seksu, a on... cóż, on chciał. Ale może ja cały czas niewłaściwie na to patrzyłam: może romanse naprawdę były przeżytkiem, a ja potrzebowałam do życia tylko niezobowiązującego pukanka. Kiedy więc Jamie odpisał, podając swój adres, bez wahania do niego pojechałam.

– I jak terapia? Pomogła? – spytał, wpatrując się w sufit, z papierosem mentolowym w palcach. Od niechcienia tylko przykryty prześcieradłem, prawą dłonią bawił się papierosem, teatralnie wyjmując go z ust i zawieszając w powietrzu. Pod słowem „terapia” rozumiał siebie. Seks.

Miałam ochotę mu powiedzieć, że jego usta smakowały pomarańczami, a Życie kojarzyło mi się z kostką Rubika – nie swoją złożonością, lecz całkowitą bezcelowością. I że nie pomoże na to żadna terapia ani seks. Ale odpowiedziałam tylko „OK”. Kłamstwo numer jeden.

Sięgnęłam po telefon: nic.

Cisza zacisnęła swoje śliczne dłonie na moim gardle, wbiła kciuki w krtań, poczułam ucisk w klatce piersiowej: w najbliższy piątek, 10 lutego wypadają czterdzieste trzecie urodziny Angusa. Prezent dla niego, starannie wybrany kaszmirowy sweter w kolorze zieleni butelkowej już zapakowany leżał w mojej szafie, wypalając tam bolesną dziurę. Angus nigdy go nie włoży.

Opadłam na posłanie, a Jamie bez przekonania objął mnie ramieniem. Od tej farsy zażyłości poczułam się bardziej samotna niż w największym odosobnieniu. Sięgnęłam po jego papierosa i zaciągnęłam się. Angus nie znosił, jak paliłam – papierosy, zioło, cokolwiek – mówił, że smakuję śmietnikiem, więc w zasadzie całkiem przestałam przy nim to robić. Stawałam na głowie, by wpasować się w jego migoczący świat wysokogatunkowej kokainy i chivas regal.

Ale brakowało mi tego. I lubiłam patrzeć, jak wypuszczony obłok dymu rozprasza się nade mną. Widziałam w nim symbol mojej tłęcej się wciąż duszy, tej jedynej części mnie, której nawet Angusowi nigdy nie pozwoliłam tknąć.

– Powiesz mi, co się stało? – spytał Jamie, sięgając po swojego papierosa. Zaciągnął się po raz ostatni i zgasił go na okładce CD leżącej przy łóżku. Coltrane, Blue Train.

– Nie – odparłam.

Spojrzał na mnie swoimi bystrymi oczami, aż mimowolnie się roześmiałam.

– A co się miało stać, jak sądzisz? – spytałam, siadając i oglądając się na niego przez ramię. – Zerwaliśmy. – Rozejrzałam się po pokoju, szukając swojej bielizny. W panującym tu lodowatym zimnie dostałam gęsiej skórki, więc zasłoniłam piersi rękoma i wstałam. – Czy ty nie jesteś aby adwokatem?

Jakim, kurna, cudem masz klecić linię obrony z takim mózgiem?

– Idiota – odrzekł, wtulając twarz w poduszkę. Pamiętam, że miała kolor cytrynowy. Wydało się to dziwnie kobiecym elementem jak na łóżko zaprzysięgłego kawalera.

– Och, nie bądź dla siebie taki okrutny.

– Mówilem o nim – wymamrotał, przekręcając głowę tak, żeby mnie widzieć.

Chciałam przykucnąć, by zajrzeć pod łóżko, ale nie mogłam. Byłam naga. Przeszłam więc przez salon – czułam na sobie jego wzrok.

– Dokąd idziesz? – usłyszałam stłumione przez poduszkę pytanie.

– Szukam butów – odparłam. Właśnie namierzyłam swoją bieliznę na skórzanej kanapie w kolorze karmelowym. Obok na podłodze leżała moja torebka. Włożyłam majtki, wsunęłam ręce w ramiączka stanika i sięgnęłam do tyłu, by go zapiąć.

Przede mną na niskim stoliku stały nasze puste dwie szklanki: wódka z sokiem pomarańczowym. W sumie brunch. A przy nich leżały napoczęta ciemna czekolada i dwa egzemplarze książki.

Wzięłam jeden do ręki.

– Co to jest? – zawołałam do Jamiego, czytając tytuł: *Sztuka wojny*.

– O co pytasz? – odparł, stając w drzwiach nago.

– O to. – Podniosłam książkę.

– Miałem w tym tygodniu studenta na shadowingu, a ta książka miała mu pomóc w ogarnianiu strategii. – Podszedł i objął mnie ramionami w pasie. Czułam na czubku głowy jego oddech. – Może weźmiesz sobie jeden egzemplarz? Miałabyś fory. – Słyszałam w jego głosie ubawienie.

– Bardzo śmieszne. Może wezmę. – Wsadziłam książkę do torebki.

I tak to właśnie się stało, tak się przewróciła pierwsza kostka. W ciągu pięciu dni od zerwania z Angusem sekstaśma spowodowała przeszukiwanie Google'a po pijaku, na skutek tego wzięłam wolne na żądanie, z wolnego na żądanie wyniknął pijacki seks z łobuzem, a pijacki seks zaowocował darmową książką, która to darmowa książka niedługo wywróci moje życie

do góry nogami. Na amen.

Sukienkę znalazłam na krześle w jadalni. Wysunęłam się z ramion łobuza, włożyłam sukienkę i wróciłam do drania.

– Zapniesz mnie? – spytałam, odwracając się plecami.

Zastosował się.

– Możesz mi zamówić transport? – dodałam słodkim głosem, zakładając buty.

– Oczywiście – odrzekł, już wybierając numer. – Myślisz, że pacjentka będzie potrzebowała powtórki sesji terapeutycznej? – spytał, trzymając telefon przy uchu.

– Może. – Kłamstwo numer dwa. To spotkanie mi nie pomogło, wręcz poczułam się gorzej. Każdy jęk przypominał mi Angusa, a ilekroć zamykałam oczy, widziałam ciało Holly napierające na moje, ciepło jej palców przeczesujących moje włosy czerwonawe w przygaszonym świetle. Nie zrobiłabym tego ponownie. Jadłam powoli kawałek ciemnej czekolady i słuchałam, jak Jamie zamawia samochód.

Zanim dotarłam do domu, moje oczy przypominały podmiejskie okna zmęczone całodziennym dźwiganiem żaluzji, język miałam wyschnięty, do tego od zimna ciekło mi z nosa. Musiałam pokonać trzy biegi schodów do mojego mieszkania, natomiast czułam się jak po sześciu, w kółko usiłowałam wsadzić do zamka nie ten klucz, a alkohol już wyparował. Ale mój umysł oczyścił się w inspiracji.

Podeszłam do ciężkich granatowych zasłon i zaciągnęłam je: szarawe niebo na zewnątrz przechodziło od zmierzchu do nocy i właśnie zaczęło padać. Zdjęłam ubrania, a włożyłam starą koszulę po Angusie – pozostałość po szczęśliwszych dniach, gdy zyskała drugie życie w roli mojej piżamy. Pachniała mydłem. Kiedyś pachniała nim. Zrobiłam sobie earl greya, weszłam do niepościelonego łóżka i podciągnęłam kołdrę pod brodę. Palce u stóp zdrętwiały mi z zimna, słyszałam, jak sąsiadka z góry wraca z pracy,

jej szpilki stukały w mój sufit.

Wtedy po raz pierwszy otworzyłam Sztukę wojny.

Rozdział pierwszy: Rozpoznanie.

Sun Tzu rzekł: „Strategia wojny polega na przebiegłości i stwarzaniu złudzeń. Dlatego jeśli jesteś do czegoś zdolny, udawaj niezręcznego, jeśli jesteś aktywny, stwarzaj pozory bierności. Jeśli jesteś blisko, stwórz pozory dużej odległości, jeśli uwierzą, że jesteś daleko, znajdź się niespodziewanie blisko”.

Całkiem sensowne. Choć o wiele za bardzo skomplikowane jak na moje potrzeby. Ja miałam tylko jeden cel, a mianowicie zniszczyć go tak, jak on zniszczył mnie. Podstępnie. Nieodwracalnie. Przez pół roku naszego związku rozmontowywał puzzle, ukradł ich kluczowy element, a potem je wyrzucił, wiedząc, że nikt już nigdy nie będzie w stanie ich ułożyć. Musiałam jednak mieć plan. Strategię. Coś porządnego. Zrobiłam więc to co zawsze, gdy szukam rozwiązania: a mianowicie listę.

Reputacja

Praca

Pieniądze

Rodzina

Zdrowie

Dom

Zdrowe zmysły

Seks

Cała reszta

Zapisałam ją w swoim dzienniku. W zasadzie to nie był mój dziennik, to był stary notes w fioletowej skórzanej okładce, kupiłam go, żeby sobie zapisywać przydatne francuskie wyrażenia, które chciałam zapamiętać. Zabrałam go na nasz pierwszy weekend w Paryżu. I trzymając go teraz w dłoniach, aż skrzywiłam się na to wspomnienie. Spotykaliśmy się już dwa

miesiące, leżeliśmy nago w pokoju hotelowym, skąpani w różowawym świetle, firanki były rozsunięte, w oddali majaczył szczyt wieży Eiffla. On przed chwilą powiedział, że chce mnie przedstawić rodzicom, a ja pełna nadziei opuszkami palców wodziłam po jego twarzy. Miał małą białą bliznę na górnej wardze, jakby sobie ją rozbił w dzieciństwie.

– Co ci się stało? – spytałam.

W głębi jego oczu coś mignęło. Wstrząs.

– Krykiet – odrzekł, głośno przetykając ślinę. Ale po tym błysku w oczach zorientowałam się, że kłamie. Wtedy po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć jego bezbronność, i to wspomnienie już mnie nie opuściło: błysk, różowawe światło, firanki. Chciałam go chronić.

Właśnie tamtego wieczoru zapisałam coś w notesie po raz pierwszy: *la magie dans la lumière*. Strony od pierwszej do trzeciej były wypełnione podobnymi wyrażeniami, ale przy stronie czwartej najwyraźniej się znudziłam, bo od tego miejsca wszystkie kartki były puste.

Teraz to już nie był mój zeszyt francuskich słówek. Od tego momentu będzie to pisane świadectwo moich planów i postępów w ich realizacji. Takiego głupiego błędu nigdy więcej nie popełnię.

Czytałam dalej: „Przez czynnik pogody rozumiem wpływ sił natury: działanie zimowego chłodu oraz letnich upałów, możliwość przeprowadzenia wojskowej operacji odpowiednio do danej pory roku”. Twarz zapłonęła mi rumieńcem. Zimowy chłód i letnie upały... ten opis doskonale pasował do mojego ostatniego związku. Słowa patrzyły na mnie z kartki, jak niewinny kaktusik, który tylko czeka, żeby puścić mi krew. Napiłam się herbaty. A mój umysł starał się nadać sens zniszczeniu.

Bo to wszystko na początku wydawało się takie obiecujące: Angus był bankowcem, olśniewającym, namiętym i śmiałym. Życie z nim przypominało film: ni z tego, ni z owego przysyłał mi do biura bukiet czerwonych róż, w trakcie biznesowego lunchu dzwonił z toalety w knajpie, by powiedzieć, jak za mną tęskni, braliśmy razem długie kąpiele, wygadując jakieś duperele. No i seks: czasami czuły i delikatny, czasami ostry. Nigdy nie wiedziałam, czego się spodziewać, i nigdy wcześniej nie czułam takiej

pewności, że jestem kochana. Powtarzał, że jesteśmy ostatnimi romantykami w czasach tinderowych przygód, co mnie bardzo odpowiadało.

Bo ponad wszystko na świecie pragnęłam wierzyć, że miłość istnieje i że wypowiedane na ślubie „tak” coś znaczy; że moi rodzice byli wyjątkiem, nie regułą. I Angus dał mi tę wiarę. Urządzaliśmy pikniki nad Sekwaną na kocu ukradzionym z hotelu, niecierpliwi uprawialiśmy seks w miejscach publicznych, do późnej nocy rozmawialiśmy o tym, jak będą wyglądać nasze dzieci (moje oczy, jego włosy), i żartowaliśmy sobie w sposób zrozumiały tylko dla nas. Potrafił mnie rozśmieszyć jednym spojrzeniem nad stołem na przyjęciu. Na początku wszystko było takie proste: ja należałam do niego, on do mnie. W pierwszym tygodniu spędziliśmy razem niemal wszystkie noce. A w ciągu dwóch poznałam większość jego przyjaciół oraz papugę (Eda). To była prawdziwa magia, jak życie w wiecznym zmierzchu.

Aż po paru miesiącach zapadła noc.

Powoli tkął się wokół nas całun ciemności. Zaczęło się od prostytutek w jego historii wyszukiwania, potem przyszły ciche dni, a potem uświadomiłam sobie, że to, co brałam za chwilę słabości, jest tak naprawdę codziennością. Pierwsze uderzenie w policzek, gierki i romans z Kim. Seks stał się ostrzejszy, a ja nie protestowałam, więc może dlatego uznał, że nie ma sprawy, jeśli mnie w czasie kłótni chwyci za gardło. I zaraz potem przeprosiny. Wymówki. Seks na zgodę i łzy. Ilekroć jednak już-już miałam odejść, wystarczyło, bym spojrzała na mężczyznę, w którym się zakochałam, i uderzała mnie pewność, że to przynajmniej po części moja wina. Bo przecież wiedziałam, jak wspaniały umie być Angus, kiedy jest szczęśliwy. Więc zostawałam.

Aż wreszcie pewnego wieczoru wybuchła ostateczna, irracjonalna kłótnia i wybrano za mnie.

Następnego dnia mieliśmy wyskoczyć na narty. I zaczęło się od ustawiania naczyń w zmywarce: on wolał rączkami w górę, a skoro się do tego uporczywie nie stosowałam, to znaczyło, że go nie szanuję. Konflikt szybko eskalował i nie trzeba było długo czekać, a już Angus obwieścił, że nasz związek to porażka. Nie spierałam się – Angus potrzebował czasu, żeby

się uspokoić – tylko zgarnęłam swoje rzeczy, on wziął moją walizkę (już czekającą przy drzwiach) i w milczeniu poszliśmy z tym wszystkim do samochodu. Potem jeszcze pełna napięcia długa droga do domu, łzawy nocny telefon do mojej przyjaciółki Charlotte i misja ratunkowa.

Rano powlokłam się do pracy, bo i tak nic innego nie przychodziło mi do głowy. Szefowej powiedziałam, że wyjazd na narty w ostatniej chwili odwołano. Próbowałam sprawę zatuszować – na pewno to naprawimy – i czekałam, aż Angus zadzwoni. Ale gdy dostałam link do sekstaśmy, całkowicie zmieniłam punkt widzenia. Już nie chciałam, żeby wrócił, już nie chciałam rozmawiać o naszym związku.

Bo to on mnie błagał o ten film, a ja, ponieważ chciałam być dla niego bardziej ekscytująca i miałam nadzieję, że dzięki temu przynajmniej odrobinę powstrzymam go od poszukiwań, uległam. Gdy tylko dostałam link, jak wariatka w kółko pisałam do portalu. Błagałam, żeby to zdjęli. Wydzwaniałam do Angusa i na jego poczcie głosowej zostawiałam kolejne błagania. Wszystko na próżno.

W niedzielę kliknęłam na ten link chyba ze sto razy, sprawdzając, czy może filmik zniknął. Ale nie zniknął, ciągle był. A potem Charlotte zwróciła mi uwagę, że ilekroć na ten link klikam, pewnie podbijam pozycję filmiku w rankingu. Więc przestałam klikać.

Przy drzwiach wejściowych zamiauczała Chiara, kotka sąsiada. Odłożyłam książkę i wpuściłam ją. Wywijała ósemki wokół moich nóg i odprowadziła mnie do mojego fioletowego notesu i *Sztuki wojny*.

Krok 1. Reputacja.

Wydawało się, że to najlepszy wybór na początek, bo życie Angusa i moje było tak ściśle połączone – znałam tyle jego tajemnic. Na pewno znajdę coś, co bym mogła wykorzystać przeciwko niemu: znałam dane jego karty kredytowej, hasło do poczty, wiedziałam, gdzie trzyma kokainę, kim są jego przyjaciele, gdzie mieszkają jego rodzice i że korzystał z usług prostytutek...

Prostytutek.

To na pewno to.

Spotykaliśmy się od pięciu miesięcy, gdy po raz pierwszy się na nie natknęłam w historii jego przeglądarki. Miałam nadzieję, że się mylę, więc spytałam wprost. Wściekł się, i to bardzo – jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie – może faktycznie przesadziłam. Pod tyłoma względami był cudowny, a przecież nikt nie jest doskonały. Potem całe dni się do mnie nie odzywał. Kiedy wreszcie się pogodziliśmy, powiedział, że w ten sposób sobie radził, gdy był głęboko zraniony i czekał, aż przejdzie burza.

Wmawiałam sobie, że ten gniew wynika z zażenowania: został przyłapany na oglądaniu porno. Że droga do zażyłości zawsze jest pełna przeszkód, że namiętność to broń obosieczna i że skoro pragnę tego kochającego Angusa, to muszę zaakceptować również jego mroczne oblicze. Ale wtedy po raz pierwszy w dorosłym życiu poczułam nękający ból, który wywołać może tylko nagła cisza. A jedynym efektem było to, że jeszcze bardziej się upewniłam w swojej miłości do niego. I jeszcze bardziej byłam pewna, że go potrzebuję.

Potem jednak już nigdy mu tak do końca nie zaufałam. Przybierała natomiast na sile moja paranoja: zaczęłam przetrząsać mu kieszenie, ilekroć siadał do kompa, zaglądałam mu przez ramię, udając, że chcę mu pomasować kark. Uważnie śledziłam, które klawisze naciska. Składając wszystko do kupy, kawałek po kawałku. Aż wkrótce poznałam jego hasło do poczty – i do PayPala, bo były takie same: Supercock88.

Gdy znowu znalazłam prostytutki w jego historii, zatrzymałam to dla siebie: w końcu to było tylko porno. Nic ważnego. Nic, co by zasługiwało na kłótnię. Ale po raz trzeci znalazłam je wkrótce po tym, jak dowiedziałam się o jego romansie z Kim.

Tym razem sama weszłam na te strony. Na wszystkie. Nie mogłam się powstrzymać: musiałam wiedzieć, czego on tam szuka. Dlaczego ja mu nie wystarczam. I wtedy zauważyłam, że wszystkie te dziewczyny pracują w jednej agencji, znajdującej się zaraz za rogiem. Nasz związek trwał już wówczas prawie rok. I chociaż znowu o tym nie wspomniałam – po co? to by nic nie zmieniło – zapisałam sobie dane. Numer telefonu, adres, mejl. I imiona trzech dziewczyn, które oglądał najczęściej: Christy, Madelaine,

Heather.

Na wszelki wypadek.

I teraz wreszcie miałam sposobność je wykorzystać. Ale gdy tak siedziałam, słuchając deszczu spływającego z rynien gęstymi głośnymi strumykami, z mrużącą Chiarą u boku, wypełniała mnie kipiąca, toksyczna frustracja. Bo chociaż Angus zrobił mi tyle złego, chociaż tyle o nim wiedziałam – zachowałam imiona dziewczyn i dane agencji – co miałabym z tym zrobić? Nie mogłam tak po prostu powiedzieć o tym ludziom. Po pierwsze: gdybym to zrobiła, on by się zwyczajnie wyparł. Jego słowo przeciwko mojemu: powiedziałby, że jestem niezrównoważona, mściwa, że zmyślam. Po drugie: dlaczego w ogóle ktoś by miał się tym przejąć? Nie, musiałam się wykazać większą pomysłowością. Zrobić coś, czego nie da się zbagatelizować, czego nie sposób zignorować.

Tak jak ja nie mogłam zbagatelizować sekstaśmy wrzuconej do internetu.

wtorek

Sun Tzu rzekł: Jeśli słyszymy o nieudanych przedsięwzięciach na wojnie, winę ponosi przedłużająca się kampania. Atak nie musi być pomysłowy, ale musi być niezwykle szybki.

7 LUTEGO

Cicho zamknęłam za sobą drzwi i zdjęłam buty. Była 19.01. Za pół godziny włączy się nocny monitoring klatki schodowej, a służbę obejmie Jake.

Jake był najprzenikliwszym z portierów w kamienicy Angusa, zupełnie nie pasował do świata piesków pokojowych i granatowych blezerów ze Sloan Square. Chciał być DJ-em, spod rękawów T-shirtu wychodziły mu tatuaże, ukończył też z wyróżnieniem filozofię – o tym wspominał nawet dwukrotnie. Miał oczy marzyciela, skrzyło się w nich coś takiego... Ale za tymi oczami krył się umysł ostry jak brzytwa, karmiony strawą teorii spiskowych i red bullem.

Jake wpatrywał się w ekrany monitoringu wzrokiem istic sokolim. Więc w chwili gdy on obejmował posterunek, rejon klatki schodowej był zakazany.

A w mojej strategii ewakuacji był to punkt niezmiernie ważny.

Dziewięć godzin wcześniej dochodziłam do siebie przy biurku. Podróż metrem okazała się doznaniem brutalnym: jarzeniówki, brak miejsca, połączenie zapachów ciała, curry na wynos i gazet zawilgoconych od mokrych parasolek – wszystko to dziesięciokrotnie zintensyfikowało mojego kaca.

Pracowałam jako analityk badawczy dla firmy nieruchomościowej przy Berkeley Square, więc z oślepiająco jaskrawego ekranu łytał na mnie ogromny arkusz kalkulacyjny przedstawiający wzrost cen nieruchomości

w Londynie w ciągu ostatnich pięciu lat. W głowie mi od niego dudniło: potrzebowałam kawy, dwóch paracetamoli i wehikułu czasu – żeby się cofnąć do tego wieczoru, gdy poznałam Holly, i powiedzieć „nie”.

Otworzyłam pocztę przychodzącą, moje mdłości przybrały na sile, gdy przeglądałam tematy mejli. Nic o sekstaśmie. Może spadła w rankingach.

– Jak tam raport Turnera? – To Val. Valerie. Moja szefowa. Siedziała raptem śmieszny metr ode mnie, ale separowała nas błogosławiona ścianka działowa. Nie mogła więc mnie zobaczyć, jak wpatruję się tępo w monitor i usiłuję nie płakać.

– Nabiera kształtów – skłamałam. Bo nie nabierał, ledwie zaczęłam. Tymczasem robił się pilny. Staralam się o awans na starszego analityka, potrzebowałam podwyżki, a Val pod tym względem niewzruszenie stała po mojej stronie. Nie chciałam jej zawieść, ale jakoś trudno mi się było skupić na czymkolwiek innym niż Angus, sekstaśma i lodowate poczucie straty, które przepływało przez moje wnętrze z każdym uderzeniem serca.

– No dobrze, to dzisiaj po południu muszę mu wysłać tyle, ile mamy – mówił dalej głos Val. – Na jutro.

Za moimi plecami bzyknęła kserokopiarka.

– Jasne – odparłam.

Cholera. Jutro. Spotkanie.

Musiałam się skupić. Znaleźć pomysł. Tymczasem rozwinęłam okno przeglądarki i zrobiłam dokładnie to, czego nierobienie obiecałam Charlotte: zalogowałam się do Facebooka.

Był to jedyny portal społecznościowy, którego używał Angus, i ostatnie okno, przez które mogłam zajrzeć do jego życia. Wiedziałam, że to ryzykowne, ale nie mogłam się powstrzymać. Przez półtora roku rozmawiałam z nim niemal codziennie i obecna cisza była po prostu nieznośna, straszliwa.

Ciekawe, czy zmienił już status związku.

Szczęki mi się zacisnęły na myśl o lawinie mejli – w większości od ludzi, których nie widziałam na oczy od dziesięciu lat – uruchomionej jednym

ewentualnym kliknięciem jego myszki: „Tak mi przykro...”, „Myślałam, że tak dobrze Wam razem...”, „To fatalnie, a mnie się tak cudownie układa w małżeństwie...”.

Osoby postronne widziały w Angusie ideał, który po prostu nie mógłby przyczynić się do rozpadu naszego związku. Każdy więc zakładałby, że to moja wina, że to ja coś zrobiłam nie tak, że mam jakąś kardynalną wadę. Nie mogłabym nawet zaprzeczyć – nie mogłabym powiedzieć o sekstaśmie ani o żadnej innej z naszych tajemnic – nie poniżając się jednocześnie. Nie, mogłam tylko siedzieć cicho i mieć nadzieję, że wyciągną wnioski mniej obciążające niż prawda.

Ze zmrużonymi oczami i napiętym czołem wpisałam go do szukajki: Angus Holl... O, proszę:

Angus: mój znajomy z Facebooka.

Kliknęłam na miniaturkę – i pokazało mi się zdjęcie profilowe. Właśnie wróciliśmy z pięciodniowego wypadu na Gran Canarię. Mieliśmy piasek pod paznokciami. Spalone ramiona. I ja, w pomarańczowym kostiumie, w stringach, w których zawsze mnie uwielbiał, obejmowałam go nogami w pasie, gdy niósł mnie przez fale. Skórę miał opaloną, oczy o barwie whiskey jaśniały, a jego ciemne włosy pachniały balsamem do opalania, gdy zrobiłam to zdjęcie – i byliśmy szczęśliwi.

– Chcesz o tym pogadać? Potrzebujesz mojej pomocy? – spytała Val. Jej głowa pojawiła się nad ścianką. Zminimalizowałam okno przeglądarki i zerknęłam na zegar: 9.43.

– Jasne. O czternastej zapoznam cię z tym, co już mam, OK? – zasugerowałam. Chciałam, żeby mnie zostawiła w spokoju, żebym mogła się skupić. „Zapoznam cię”. To był zwrot charakterystyczny dla Angusa – ilekroć robiłam coś, co mu się nie podobało, cicho prosił, żebym zechciała go „zapoznać”, co się stało, tak żeby on mógł mnie zapoznać ze swoim wywodem, dzięki któremu zrozumiał, że jestem w błędzie. To wyrażenie stało się szybko moim najmniej ulubionym. A jednak proszę: sama go używałam.

Val się uśmiechnęła, jej siwa głowa znowu zniknęła. Złakniona informacji,

z powrotem spojrzałam na ekran. Minęłam wzrokiem miejsce urodzenia i miejsce pracy i o:

„W związku z Taylor Bishop”!

Niczego nie zmienił.

Moje czoło się odprężyło. Płuca odetchnęły. I wszystkie myśli, które z takim trudem odepchnęłam na bok, wróciły ze świeżymi siłami: „Może ciągle mnie kocha... Może to tylko taki etap... Może Charlotte ma rację i on ma problem z tymi kwestiami bliskości... Ten problem, przez który odpycha się tych, którzy znajdują się najbliżej... Może wrzucił tę sekstaśmę, bo gdy zerwaliśmy, był wściekły i zły na mnie, a teraz ją zdejmie. Niedługo. Ludzie robią wszelkiego rodzaju paskudztwa swoim ukochanym. Zwłaszcza swoim ukochanym”.

Tak, osobowość unikająca. To była podstawa amatorskich diagnoz Angusa w wykonaniu Charlotte. Odkąd się poznałyśmy, poddawała świat psychoanalizie: od pierwszego dnia pierwszej klasy w szkole z internatem, na którą jej rodziców było stać, a moich nie. Uczyłam się tam dzięki stypendium (zawsze byłam dziewczyną z potencjałem) i przez ostatnie półtora roku spędziłyśmy wiele wieczorów, analizując Angusa i jego zachowanie. Albo raczej ja. Ja spędziłam wiele wieczorów, pijąc za dużo pinot grigio i słuchając jej zdrowej dawki sceptycyzmu – tak lubiłam o tym myśleć. Diagnoza mojej przyjaciółki zawsze wahała się pomiędzy trzema głównymi hipotezami: osobowość unikająca, destrukcyjny narcyzm oraz fakt, że Angus urodził się w znaku Wodnika. Nie wiedzieć czemu to ostatnie miało dla niej największe znaczenie. Ale z drugiej strony – nie powiedziałam jej wszystkiego. Omijałam co mroczniejsze szczegóły i tylko przebąknęłam o mało znaczących występkach: romansie z Kim, narkotykach, kłamstwach, cichych dniach. Jak już coś powiesz, nie można tego cofnąć, a nie chciałam, żeby patrzyła na mnie, na nas w taki sposób.

„W związku z Taylor Bishop”.

Gdy kolejny raz przeczytałam to zdanie, moja determinacja pierzchła, oddech spowolnił, a silne jeszcze przed paroma godzinami pragnienie, by Angusa zniszczyć, osłabło. Moje uczucia do niego zawsze były zagmatwane

i skomplikowane. Miłość podszyta strachem. Gniew przetykany tęsknotą. A smutek, że tak bardzo się zmieniliśmy jako para, zawsze ustępował nadziei, że może jakoś znajdziemy drogę do siebie.

Może sytuacja wymknęła się spod kontroli. Muszę z nim porozmawiać.

Wpatrywałam się w ekran, próbując wszystko zrozumieć. Ale nagle coś jasnoniebieskiego i migoczącego przyciągnęło mój wzrok. U dołu strony. Przewinęłam jeszcze kawałek.

I proszę: jaskrawoniebieskie niebo nad migotliwym śnieżnym stokiem. Do zdjęcia pozuje on, uśmiechnięty, promienny, szczerząc te swoje wybielane zęby, które świeciły w ciemności jak kostium halloweenowy, ilekroć szliśmy do klubu nocnego. I ona. Uśmiechnięta promiennie u jego boku.

Jego była dziewczyna. Ta, do której już w życiu się nie odezwie. Kim.

Ostatecznie tego wieczoru włamałam się do mieszkania Angusa. Czy wtedy wiedziałam, że robię coś niewłaściwego? Oczywiście. Jasne, że wiedziałam. Tylko że już mnie to nie obchodziło.

Po pierwsze: potrzebowałam rękawiczek.

Nie miałam dużo czasu na przygotowania (był wtorek, a on miał wrócić w czwartek), więc przeoczyłam kwestię odcisków palców. Co prawda moje odciski i tak nie bez powodu były rozsiane po całym mieszkaniu – jeszcze przed tygodniem stanowiliśmy przecież parę – ale są takie lekcje wzięte z kryminalistycznych programów telewizyjnych, których po prostu nie da się zapomnieć. Jedna z tych lekcji brzmi: Nie zostawiać odcisków palców. A druga: Nie zostawiać śladów elektronicznych.

Nie włączałam światła, nie chciałam, żeby moja obecność w jakikolwiek sposób przyciągnęła uwagę sąsiadów. Ale mieszkanie znałam doskonale – wiedziałam, które deski w podłodze skrzypią, gdzie są kanty, których lepiej uniknąć. A przez drzwi balkonowe wpadło akurat tyle sztucznego światła, żebym rozpoznała kształty w ciemnościach: stolik do kawy, zimny

marmurowy blat kuchenny i czarna skórzana kanapa, na której zwykle oglądaliśmy maniakalnie seriale telewizyjne. Jeszcze teraz czułam na sobie jego ramię, ciepło oddechu w moich włosach, gdy wtulałam się w niego i mówiłam, kto moim zdaniem jest złym bohaterem. Dużo się nauczyłam od tych złych. Z ich błędów.

Przeszłam do kuchni, otworzyłam drzwi stalowej lodówki, żeby sobie zapewnić odrobinę światła, i zajrzałam do szafki pod zlewem. Klęcząc na zimnej podłodze, znalazłam to, czego szukałam: karton z rękawiczkami jednorazowymi, których Angus używał do brudnych robót. Wyjęłam dwie i wciągnęłam na dłonie.

Ciche ciemne szuranie. Ruch. Gdzieś za mną, po lewej.

Odwróciłam głowę.

Serce podskoczyło mi w piersi, wzrokiem szukałam postaci w mroku.

Znowu ten szelest. Dobiegał od okna.

Przestałam oddychać. Zamarłam. I wtedy on poruszył się w promieniu światła.

Ed. Papuga Angusa.

Jego wielka klatka zawsze wędrowała po całym mieszkaniu, a tym razem wylądowała w salonie, na podłodze przy oknie. Ed stał w snopie światła rzucanym przez żarówkę za oknem: burza zielono-żółtych piór i dwoje czarnych oczu. Wpatrywał się we mnie. Wiedział, że nie powinno mnie tu być.

Ocknęłam się, słysząc pikanie otwartej lodówki, przebiegłam wzrokiem po kolorowych butelkach, gąbeczkach i szmatkach pod zlewem. W głowie formował mi się plan, ale na razie jeszcze nie miał konkretnych kształtów. Mój wzrok spoczął na białej rurze odpływowej, wijącej się jak opasły wąż – połykiwała w świetle lodówki.

W listopadzie rura ciekła. Nic wielkiego – naprawa zajęła pięć minut – ale fachowiec wziął 150 funtów za dojazd. Więc patrzyłam uważnie, jak naprawiał, na wypadek gdyby kiedykolwiek przytrafiło się to u mnie w domu – mój budżet nadwerężała już sama pasta do zębów.

Nie było to skomplikowane, a hydraulik okazał się chętnym nauczycielem: na rurze były trzy nakrętki, jedna z nich się poluzowała i trzeba było ją dokręcić. Łatwizna.

Więc teoretycznie żeby spowodować nowy przeciek, musiałam tylko tę nakrętkę z powrotem poluzować. Wyciągnęłam rękę i zrobiłam to, używając siły potrzebnej do odkręcenia opornego słoika z dżemem truskawkowym. Wybrałam środkową. I odkręciłam nie do końca, lecz tyle, żeby wydostawała się jednostajna strużka. A potem przesunęłam wiaderko ze środkami czyszczącymi na lewo, żeby woda do niego nie skapnęła.

Patrzyłam, jak na dnie szafki zaczyna się tworzyć mała kałuża. Przy odrobinie szczęścia ta miarowa strużka przedostanie się do mieszkania poniżej, zanim Angus wróci z nart, wkurzając już i tak wściekłą sąsiadkę z dołu, panią Clifton – wiceprzewodniczącą rady mieszkańców.

Niewykluczone, że takim odwetem dawałam dowód małostkowości, a moja obecność w mieszkaniu Angusa może dowodziła szaleństwa – ale musiałam coś zrobić. Nie mogłam pozwolić, żeby mu wszystko uszło na sucho. I nie byłam szalona tak sama z siebie – nie bez powodu „zbrodnia namiętności” jest uważana za skuteczną linię obrony – byłam po prostu wściekła. Naprawdę wściekła. Wściekła tak, że oczy zachodziły mi mgłą. Jak zobaczyłam to zdjęcie Angusa i Kim, jak zdałam sobie sprawę, że zabrał ją na nasz wyjazd, a ja zostałam w Londynie, sama, ze złamanym sercem, rozgoryczona i wypisująca setki mejli do RedTube’a, podczas gdy on mnie ignorował, tak się we mnie gotowało, że nie pamiętam, żeby się tak gotowało, odkąd widziałam, jak ojciec zdradza moją matkę.

Tak więc plan (wymyślony tego dnia, gdy wpatrywałam się w arkusz kalkulacyjny przez zasłone łez) miałam prosty: pod jego nieobecność włamać się do jego mieszkania i zdobyć klucz do kamienicy.

Dzięki temu gdy zmienią kod dostępu do bocznego wejścia do garażu – a ze względów bezpieczeństwa zmieniali go co miesiąc – ja dalej będę mogła tam wchodzić i w razie potrzeby skorzystam z klucza do jego mieszkania, który to klucz cały czas miałam, ale też zyskam dostęp do jego skrzynki na listy, umieszczonej zaraz przy wewnętrznych drzwiach prowadzących do

garażu. A to otwierało nieprzebrane możliwości wzniesienia zamętu.

Cicho zamknęłam drzwi szafki, potem piszczącą lodówkę i wsunęłam dłoń do stojącej na niej małej glinianej miski, w której Angus trzymał zapasowe klucze. Palcami znieczulonymi przez rękawiczki szukałam po omacku upragnionej zdobyczy. Duży. Twardy. Metalowy. I osobny. Znalazłam. Leżał wśród samotnych recepturek, trzech mniejszych kluczy na kółku, promocyjnego otwieracza do butelek i kilku zniszczonych długopisów.

Wsunęłam go do wierzchniej kieszonki torebki i rozejrzałam się.

Skarpetki.

Jego szczęśliwe skarpetki.

Mogłam się dostać do wnętrza jego głowy.

W sypialni panował mrok, tylko pomarańczowe cyfry błyskały do mnie z budzika przy łóżku: 19.13. W szafie nie wisały już moje ubrania, ale poza tym nic się nie zmieniło. Ciągle tu nim pachniało – jego korzenną wodą po goleniu, płynem do płukania – a na łóżku wciąż leżała ta sama szara metalizująca narzuta, na której się po raz pierwszy „kochaliśmy”. To jego określenie, nie moje. Na koniec odwrócił się do mnie, objął mnie i wyszeptał:

– Gdzie mam podpisać?

Nigdy wcześniej nie czułam się tak bezpiecznie.

Ale wtedy nad łóżkiem wisiał brzydki obraz – w zgniłych zieleniach i szarościach – który on uwielbiał, a ja nienawidziłam. Powiedział, że to dzieło w stylu Marka Rothko. Niech mu będzie. Do tej właśnie ściany mnie przycisnął, gdy po raz pierwszy chwycił mnie za gardło.

Przed łóżkiem stała wielka komoda. Mahoniowa. Mosiężne okucia. Wybraliśmy ją razem – nasz pierwszy wspólny mebel. Otworzyłam górną szufladę po lewej i wsunęłam dłoń do środka.

Bo co prawda wiele rzeczy da się w związku ukryć – jak już się nauczyłam – ale innych ukryć się po prostu nie da. Na przykład: Czy on chrapie? Jaką lubi kawę? I które skarpetki przynoszą mu szczęście? Skarpetki, które wkłada tylko na ważne spotkania albo na golfa z ojcem.

Skarpetki, które muszą być czyste, gdy on ich potrzebuje, o ile nie chcesz dostać po twarzy.

Niewyszkolone oko nie dostrzegłoby w nich nic nadzwyczajnego – prozaiczne brązowo-czarne prążki – sama w przyćmionym świetle ledwie odróżniałam je od innych. Ale nie musiałam. Czekają w ściśle określonym miejscu: po lewej w szufladzie skarpetkowej, zawsze zwinięte razem, dokładnie na końcu i oddzielone od reszty niewielką srebrną papierośnicą.

Wyjęłam je, dzięki latarce w telefonie upewniłam się, że to na pewno one, wsadziłam do torebki. Mimo że Angusa tu nie było, traktowałam je z najwyższą ostrożnością.

Jeszcze raz sięgnęłam do szuflady i wymacałam tę twardą srebrną papierośnicę. Bo papierośnica nie tylko była markerem dla szczęśliwych skarpetek: w niej Angus trzymał kokę na czarną godzinę – główne zapasy przyklepał srebrną taśmą do spodu kanapy. Otworzyłam papierośnicę, wyłuskałam ze środka białą torebkę i niespiesznie poszłam do salonu.

Obróciwszy przerdzewiały klucz na stałe wetknięty do zamka drzwi balkonowych, wyszłam na zewnątrz i stanęłam przy poręczy. I gdy tak stałam, wyglądając na poszczerbiony horyzont Londynu, pomyślałam o tych wszystkich wieczorach, które spędziłam na balkonie z Angusem, gdy popijał swoją odprężającą po pracy szkocką. O 20. Co wieczór. Te wszystkie zmarnowane godziny. Ta cała zmarnowana miłość. Wzięłam więc tę torebkę białego proszku i upuściłam za balustradę.

Chciałam ją po prostu wyrzucić, żeby spadła na chodnik, ale niezamierzenie wycelowałam o wiele lepiej. Wręcz idealnie.

Spadła na balkon piętro niżej. Na balkon pani Clifton.

I chyba wtedy plan się skryształizował. Przeciek. Torebeczka koki, którą pani Clifton znajdzie na balkonie.

Narobię mu kłopotów w radzie mieszkańców.

To ciągle był drobiazg. Ciągle błahostka. Ale kostki domina już się przewracały z coraz większą prędkością.

Zerknęłam na telefon: 19.17. Zostało mi trzynaście minut, a właśnie

ujrzałam uchylone drzwi do jego gabinetu, więc tam skierowałam swoje kroki.

Stary skórzany fotel patrzył na mnie oskarżycielsko. Kiedyś uprawialiśmy na nim seks. Rozejrzałam się: krzesło, biblioteczka, biurko, bloczek post-itów i niewielki ceramiczny kubek, a w nim dwa podkreślacze – różowy i żółty. Obok niewielki stosik papierów.

I na środku, emitując blask niemal nabożny w tym zaciemnionym pokoju, stał komputer Angusa. Otworzyłam historię: Agent Provocateur, Ocado, Hotmail, Amazon. Nagle przyszło mi do głowy, że może nie wylogował się z RedTube'a. Może ma zapisane hasło. Może sama bym mogła skasować ten film. Wpisałam do paska adresów RedTube. Przeszłam do ekranu logowania. Wpisałam jego adres mejlowy. A następnie powoli, pilnując, żeby nie uderzyć w niewłaściwy klawisz, wpisałam jedyne znane mi jego hasło: S-u-p-e-r-c-o-c-k-8-8.

Tętno mi przyspieszyło.

Ekran zrobił się biały.

Wstrzymałam oddech.

No niestety.

„Niepoprawna nazwa użytkownika lub hasło!”

Twarz mi płonęła, żołądek się ścisnął, chciało mi się płakać. W głowie miałam tylko swoje nagie ciało – bladą skórę, nieśmiały uśmiech – i Holly z lepkiem błyszczkiem i długimi ciemnymi włosami do pasa. Chwile niezdarności. Uderzające o siebie zęby. Głosy. Nagranie. I Angus trzymający kamerę.

Pieprzyć go.

Wróciłam do historii i kliknęłam na stronę Agent Provocateur.

Potrzebowałam czegoś drogiego, po czym widać by było namysł i staranie, co czytelnie wskazywałoby zamiary – coś jak komplety bielizny noszone przez modelki na stronie głównej. Czerwone, koronkowe i zaprojektowane w sam raz dla Felicii, pięknej – ale zaręczonej – kobiety, która mieszkała obok Angusa, w mieszkaniu nr 81. Wybrałam stanik 34C, maleńkie majteczki

i pas do pończoch, po czym przeszłam szybko do płatności. Zaznaczyłam zapakowanie zamówienia na prezent i dodałam spersonalizowany liścik: *Mam nadzieję, że niedługo Cię w tym zobaczę. Ucałowania, A.*

Potem wpisałam jego dane z PayPala. I już, gotowe.

Sąsiadka z dołu: zrobione. Sąsiadka obok: zrobione.

W moich żyłach buzowała adrenalina, gdy siedziałam sama w ciszy, wpatrując się w rozneglizowane kobiety uśmiechające się do mnie z ekranu. Wyobraziłam sobie, jak Felicia dostaje prezent, a potem pomyślałam o urodzinach Angusa przypadających za trzy dni – o urodzinach, które spędzi z Kim, a nie ze mną – i o jego urodzinowym swetrze czekającym już w pięknym opakowaniu w mojej szafie. Potem pomyślałam o policzku, narkotykach, przeprosinach, zapewnieniach, że mnie kocha, i o tym, jak łatwo o mnie zapomniał. Zagotowało się we mnie: chciałam go zranić. Chciałam, żeby wszyscy, cały świat zobaczył, jaki on jest naprawdę. I wtedy to się stało.

Wtedy właśnie wpadłam na pomysł, który zmienił bieg mojego życia na zawsze.

Otworzyłam przeglądarkę. Przeszłam do hotmaila. I powoli wpisałam. S-u-p-e-r-c-o-c-k-8-8.

Tym razem zadziałało: weszłam.

Czułam w nadgarstkach pulsowanie krwi, gdy otwierałam nową wiadomość i zaczęłam pisać. Krótko. Konkretnie. Rezerwacja. W nadchodzący piątek. Punktualnie o 20. *Proszę przysłać Christy i Madeleine. Albo ewentualnie Heather. To moje urodziny – zastanowiłam się chwilę – więc proszę, żeby przyszły ubrane tylko w wysokie buty, płaszcz i z żółtymi kokardami w pasie. I choćbym nie wiadomo o co pytał, mają cały wieczór mówić tylko „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”. Proszę obciążyć mnie należnością za całą noc.*

Wysłałam.

Dołączyłam dane karty kredytowej: dał mi tę kartę kilka miesięcy temu – żebym zarezerwowała lot, gdy Candice, sekretarka jego działu, za długo z tym zwlekała. I żadnym sposobem nie miałabym szans zapamiętać tych

szczegółów przez te wszystkie miesiące, tylko że zapisałam je w telefonie. W życiu się nie domyśli, że to ja.

A potem siedziałam, wpatrując się w ekran, trochę oszołomiona tym, co zrobiłam. Czekałam, aż przyjdzie potwierdzenie, że płatność w takiej a takiej wysokości została zaakceptowana. Wyobrażałam sobie tę scenę, gdy dziewczyny przyjdą w tych żółtych kokardach. Czy będzie tu Kim?

Minęły cztery minuty, potem pięć, a mejl ciągle nie nadchodził. Kątem oka widziałam zegar w prawym górnym rogu ekranu. Zostało mi sześć minut. Trudno mi będzie zdążyć. Mało nie wymiękłam. Prawie bym odpisała, że to była pomyłka, że odwołuję. I nagle w ósmej minucie przyszło potwierdzenie.

Zamówione. Zapłacone. Suma obciążenia na pewno rzuci się w oczy komu trzeba i wywoła dociekania. Każda suma powyżej 1000 funtów wymagała wyjaśnień, a należność za całą noc wynosiła 3580. Dodałam adres mejlowy agencji do czarnej listy, by żadna dalsza korespondencja nie trafiła do skrzynki przychodzących. Skasowałam mejl z potwierdzeniem. Skasowałam go z kosza. Podobnie jak mejle, które sama wysłałam. Potem wyczyściłam historię przeglądarki, wstałam i ruszyłam do wyjścia.

Wsunęłam buty, otworzyłam drzwi, po czym ostrożnie je za sobą zamknęłam. Spokojnie zeszałam klatką schodową, sprawdzając godzinę na telefonie: 19.39. Miałam dziewięć minut spóźnienia. Nie mogłam ryzykować, że zarejestruje mnie monitoring pomiędzy parterem a II piętrem, włączający się po 19.30. Musiałam skorzystać z planu B. Szybko pokonałam trzy biegi betonowych schodów na poziom drugi, wsiadłam do windy, zjechałam do podziemia, minęłam skrzynki pocztowe – w skrzynce Angusa nic nie było – obeszłam pole widzenia kamery i opuściłam budynek tą samą drogą, którą przybyłam. Gdy zamknęłam za sobą ciężkie drzwi garażu i wyszłam na ciemną ulicę, usłyszałam w oddali ruch uliczny z King's Road i szybkim krokiem ruszyłam w tym kierunku. Czułam na policzkach chłód nocnego powietrza i mżawkę. Wyjęłam małą czarną parasolkę z torebki, otworzyłam ją i zasłoniłam sobie twarz. A gdy dotarłam do rogu ulicy, zobaczyłam, że przede mną zatrzymuje się pusty autobus, więc wsiadłam do niego.

To Angus nauczył mnie, gdzie są umieszczone dwie kamery monitoringu. Większość mieszkańców nie chciała kamer w całym budynku – cenili sobie prywatność. Aby więc ograniczyć monitoring do minimum, a zmaksymalizować bezpieczeństwo, o rozmieszczeniu kamer zdecydowano, rozumując w następujący sposób: złodzieje nie korzystają z windy. Żeby się dostać wyżej niż na parter, muszą skorzystać ze schodów pomiędzy parterem a drugim piętrzem. Najwyraźniej więc to miejsce jako jedyne wymagało kamery. Ta logika była rozsądnie przekonująca, pod warunkiem że sprawca nie znał jej założeń. Tak więc kamera numer jeden była umieszczona strategicznie w rogu podestu klatki schodowej na pierwszym piętrze i obejmowała większość schodów w górę i w dół – od parteru do piętra pierwszego i od pierwszego do drugiego, oprócz jednego stopnia. Ta działała codziennie od 19.30. Kamera numer dwa została umieszczona w podziemiu przed samochodami – na najbardziej prawdopodobnej drodze złodziei – i była włączona stale. Kamerę na schodach ominęłam, windą pokonując monitorowany odcinek, a tę w podziemiu, korzystając z wyjścia zamkniętego zamkiem szyfrowym – do niego miałam już teraz klucz – które znajdowało się w martwym polu.

Wnikliwą instrukcję na temat monitoringu w budynku otrzymałam na dość wczesnym etapie naszego związku. Właśnie wróciliśmy z czterdziestej rocznicy ślubu rodziców Angusa – on chciał uprawiać seks na klatce schodowej, ale ja nie chciałam wylądować na YouTubie. Ironia losu najwyższej próby. Ostatecznie, po wielkiej dyskusji na temat rozmieszczenia kamer monitoringu, gdzieś koło siódmego piętra skapitulowałam.

Pamiętam, jak w mojej naiwnej wyobraźni dzwoniły już dzwony weselne, gdy Angus wdzierał się we mnie tamtej nocy. Ale gdy uderzyłam kolanami w betonowe stopnie, w ogóle nie przyszło mi do głowy, jak ważna okaże się ta wiedza.

I przypuszczam, że jemu również nie przyszło to do głowy.

środa

Sun Tzu rzekł: Poznaj dobrze wroga i poznaj dobrze siebie, a w stu bitwach nie doznasz klęski.

8 LUTEGO

– Gdzie on jest, do cholery? – szeptało jedno poważne dziewczę do drugiego. – U mnie już dziesiąta.

Siedziały po drugiej stronie stołu. Kwintesencja powagi: przyszły na świat w tych korpoubrankach i w życiu nie dałyby się namówić na trójkącik. Dokładnie taka chciałabym być. Tymczasem jednak należałam do dziewcząt, które się włamują, by zamówić komuś prostytutki.

A to były moje bezpośrednie rywalki.

Zebraliśmy się w sali konferencyjnej całą siódmką: te dwie poważne, Val, ja, Nigel – szef działu badawczego – i dwie osoby, o których nie miałam pojęcia. Ale powód, dla którego tak siedzieliśmy pod fatalnym korporacyjnym światłem, przy łuszczących się wczorajszych pasztecikach, jeszcze nie przybył.

Spóźniał się. Dwadzieścia osiem minut. Nie mieliśmy wyjścia, mogliśmy tylko czekać, rozmawiać i zastanawiać się, czy rośliny doniczkowe przy oknie są prawdziwe czy plastikowe.

Mnie średnio to obchodziło: za bardzo byłam zmęczona, a nędzną resztę miejsca w moim przytomnym umyśle zajmowała Felicia z mieszkania nr 81. Bielizna była dobra na pierwsze posunięcie, ale potrzebowałam czegoś, by podbić stawkę. Musiała wiedzieć, że to nie było jednorazowe wydarzenie. Niech jej narzeczony wścieknie się jak należy. Niech zobaczą, że naprawdę mają powód do zmartwienia.

Wpatrywałam się w swój telefon, przewijając śmieciowe mejle w nadziei,

że umknął mi ten z RedTube'a, gdy otworzyły się drzwi i do sali wszedł on.

A więc to był David Turner?

Wyobrażałam go sobie zupełnie inaczej. Nie miał okularów, brody ani podartych dzinsów za cztery stowy – żadnych żenujących prób odgrywania luzaka. Miał na sobie garnitur. I wielki srebrny zegarek nurkowy na silnym, solidnym nadgarstku. Jak na mój gust był trochę za śliczny – gęste brązowe włosy o złotych przeblaskach, silna żuchwa, proste zęby, szerokie ramiona i niebieskozielone oczy – ale wszedł z pewnością siebie człowieka, który by się stawiał przed twoim domem z boomboxem, gdybyście mieli kosę.

I przez to od razu go polubiłam. Dopóki się nie odezwał.

– Będę szczery, jeśli państwo pozwolą – zaczął, po czym przysiadł na brzegu stołu – spodziewałem się czegoś więcej.

Przy stole stały trzy wolne krzesła.

Fiut.

I tak siedzieliśmy, w nerwowej ciszy, zwykle zarezerwowanej na poranek po jednorazowym numerku; w ciszy tak potężnej, że słychać było, jak sąsiad przelyka ślinę. Stanowiliśmy część stosunkowo nowego działu firmy, mieliśmy za zadanie wyszukiwać na rynku niewykorzystane jeszcze możliwości nieruchomości inwestycyjnych. David Turner był największym klientem, z jakim mieliśmy szansę dotąd pracować. Nikt z nas nie chciał go stracić, a tymczasem on najwyraźniej nie był zadowolony.

Myślałam gorączkowo.

Tydzień temu Val wprowadziła mnie w temat, podając mi wizytówkę: David Turner, Turner Group, Nieruchomości inwestycyjne, inwestycje budowlane.

– Szuka nowych projektów, czegoś nietypowego, świeżego, możliwości rozwoju – powiedziała. – Ma nadzieję, że znajdziemy mu coś, czego nikt inny nie znajdzie. Ale nie wiemy, do kogo jeszcze z tym poszedł, więc musimy zrobić na nim wrażenie. – I lekko ściszej głos, dodała: – Wiesz, on się wychował z siedmiorgiem rodzeństwa. – Powiedziała to tak, jakby duża liczba rodzeństwa ogromnie zmniejszała szanse na sukces w biznesie. –

I zobacz, to w dodatku dobry człowiek, zawsze przeznaczają duże sumy na cele charytatywne.

A więc nasza trójka (ja i te dwie poważne) miała tę samą misję: znaleźć coś, czego nie znalazł nikt inny.

W moim odbiorze oznaczało to, że muszę przeczesać miasto z lupą w rękę i wykopać spod ziemi jakieś skarby. Nawet gdybym była w szczytowej formie, to zadanie by mnie przerastało, a przydzielono nam je akurat w okresie, gdy spadła mi na głowę ta Angusowa rozpierducha. Kiedy więc ten człowiek powiedział, że oczekiwał czegoś więcej, z mojego punktu widzenia nie było to takie nieuzasadnione. Rzeczywiście powinnam była zrobić więcej i w normalnych okolicznościach bym zrobiła. Bezwład zawodowy zupełnie nie leżał w mojej naturze: zawsze byłam sumienna i oddana. Ale teraz grałam poniżej swoich możliwości. I zabołało, gdy ktoś to głośno powiedział.

– Panie Turner, to tylko wstępna faza naszych poszukiwań. – To odezwała się Val, niezłomna dyplomatka. – Na pewno już niedługo znajdziemy coś więcej. – Spojrzała na mnie, rozkazując wzrokiem: „Powiedz coś”.

– Właśnie, prosił pan, żeby pokazać, na jakim etapie jesteśmy – wtrąciłam się. – To zupełnie nie oddaje ostatecznych efektów, których się spodziewamy. Minał zaledwie tydzień z maleńkim okładem. – Mówiłam spokojnym głosem. Pewnie. Ale krew mi tętniła. „Skup się na oddechu, kochanie”. To Angus nauczył mnie, jak nie okazywać zdenerwowania.

– Na razie jestem rozczarowany. – David innymi słowami ujął wcześniejszy komunikat.

I nagle jego oczy, granatowozielone, skierowały się na mnie.

Auć.

„Cholera. Ani mi się waży rumienić”.

Cisza zrobiła się wręcz gęsta. Przełknęłam ślinę i czekałam, aż włączy się ktoś inny i coś powie. Ale na próżno. I on też milczał. Tylko sobie siedział i patrzył, jak moja blada skóra robi się różowa. Nie miałam wyboru, musiałam mówić dalej.

– Niewątpliwie zdaje pan sobie sprawę – podjęłam, nie spuszczać wzroku – że gdyby nietypowe inwestycje, których szukamy, dało się znaleźć od ręki i wyłonić w ciągu tygodnia, to każdy by mógł się w nie zaangażować. Z definicji są one trudne do znalezienia. Ale robimy postępy, tylko to po prostu trwa. – Czekałam, aż odwróci wzrok, ale on nic.

– Postarajcie się po prostu... podejść do tego bardziej nowatorsko, dobrze? – I uśmiechnął się. TYM uśmiechem.

– Oczywiście – odparłam, zrywając wreszcie kontakt wzrokowy. Nie znosiłam słowa „nowatorski”. Kojarzyło mi się z okresem budowania zespołu, gdy wszyscy musieli nosić plakietkę z imieniem i dzielić się z grupą jakąś swoją tajemnicą.

– Świetnie. Cieszę się, że jesteśmy jednomyślni. – Uśmiech nie schodził z jego ust.

– Świetnie. – Sama odpowiedziałam grzecznym uśmiechem.

Val najwyraźniej uznała, że spotkanie ani trochę nie przebiega zgodnie z planem, więc zarządziła ewakuację.

Kiedy jednak minęłam Davida Turnera, który rozmawiał przy drzwiach z jedną z poważnych, spojrzał na mnie tak, że wiedziałam, że nigdy tego spojrzenia nie zapomnę. Po prostu przywarło jak brud do patelni.

Już po chwili siedzieliśmy z powrotem na swoich miejscach, wszyscy oprócz Val. Ona stała przy moim biurku, załamując ręce niczym lady Makbet.

– Będziemy musieli coś zrobić – mówiła, patrząc na mnie. – To ważne.

– Wiem.

Potem poszła na swoją stronę oklejonej wykładziną ścianki działowej, a ja ciężko opadłam na krzesło.

Włączyłam prywatną sesję w przeglądarce i nieporadnymi palcami wpisałam 192.com, potem „Felicia” w okienko z imieniem i „SW3” – kod pocztowy Angusa – w okienko „adres”. I kliknęłam „szukaj”.

Pojawił się ekran logowania.

Cholera.

Chciałam zostawić jak najmniejszy e-ślad. Pod ekranem logowania znajdowała się oferta „zarejestruj się za darmo”. Zawisłam nad nią kursorem. Zawahałam się.

Jasna dupa.

Wypełniłam pola.

Imię: Angus.

Nazwisko: Hollingsworth.

e-mail: mrhollingsworthtoyou@hotmail.com

Hasło: Supercock88

Wyślij.

Wyskoczył nowy ekran, zachęcający mnie do zalogowania się na konto pocztowe, żeby dokończyć rejestrację.

Cholera.

Żołądek mi fiknął kozła: stąpałam po coraz bardziej grząskim gruncie i powinnam była się zatrzymać. Ale nie mogłam. Wiedziałam, że logując się na jego konto z pracy, popełnię błąd, że za łatwo można to wyśledzić, ale mejl z potwierdzeniem już pojawił się w jego wiadomościach przychodzących i tylko czekał, aż Angus go znajdzie, przeglądając pocztę w swoim białym szlafroku i kapciuszkach hotelowych – musiałam brnąć dalej.

Tak więc, upewniając się, czy w monitorze nie odbija się aby postać jakiejś osoby, która by za mną stanęła, czy w ogóle nie śledzi mnie żadne wścibskie spojrzenie, otworzyłam kolejną zakładkę. Przeszłam do hotmail.com i zalogowałam się do jego poczty.

Na samym szczycie listy znalazłam mejl: *Proszę potwierdzić rejestrację na stronie 192.com*. Kliknęłam „potwierdzam rejestrację” i przekierowało mnie z powrotem na ich stronę.

Zrobiłam głęboki wdech, wróciłam do tamtej zakładki, zablokowałam wysyłanie mejli ze 192.com, skasowałam mejl potwierdzający z jego poczty przychodzącej i z kosza, po czym się wylogowałam z hotmaila.

Ręce mi drżały, szczęki się zacisnęły, ale jako nowy użytkownik witryny

mogłam bez przeszkód szukać Felicii na 192.com. Więc poszukałam. Pod tym kodem pocztowym mieszkały dwie Felicie, ale tylko jedna w budynku Angusa. Felicia Bronwyn Jones. Zarejestrowała się w spisie wyborców. Była współwłaścicielką mieszkania – pewnie z narzeczonym – oraz numeru telefonu stacjonarnego 02079460139.

Zapisywałam go w notesie przy biurku, gdy wyskoczyło małe powiadomienie w prawym dolnym rogu ekranu – przyszedł mejl od Charlotte.

Jak się czujesz? Ch. doczeka się zemsty od losu.

Ch. to skrót od Chujka – tak zaczęła nazywać Angusa od razu, gdy zerwaliśmy. W niezręczny sposób dowiedziałam się, że moja poczta służbowa ma filtr na wulgaryzmy.

Cześć, skarbie – odpisałam – dzięki, wszystko w porządku. Los na pewno się tym zajmie.

Los, czyli Sun Tzu i ja.

Na dworze zrobiło się już ciemno, a ja leżałam w łóżku, przeglądając na laptopie stare zdjęcia Angusa i moje. Z podłogi obok mnie dobiegał szum elektrycznego grzejnika, na stoliku zawibrował mój telefon: przyszedł esemes od mamy.

Kotku, daj mi, proszę, znać, czy wszystko w porządku.

Wszystko w porządku, Kocham Cię – odpisałam.

Ale ona знаła prawdę.

Ostrzegła mnie, jakie niebezpieczeństwo grozi mi ze strony Angusa, na długo zanim się o tym przekonałam.

– Niepokoję się – mówiła.

– Dlaczego?

– On cię wypełnia słonecznym blaskiem, a to nigdy się nie kończy dobrze.

Wtedy pomyślałam, że to projekcja, że jej zdaniem wszystkie związki

kończą się tak, jak jej z moim ojcem. Czy to w ogóle możliwe, żeby słoneczny blask miał jakieś złe strony? A kiedy to powiedziała, ciągle chodziłam nieprzytomna od ciepła jego spojrzenia, miodu w jego głosie, śmiechu, gdy mnie łaskotał, i zapachu jego włosów na poduszce. Nic na całym świecie nie mogło się z tym równać.

Ale mama nie projektowała: po prostu знаła to z własnego doświadczenia: ten ból, gdy słońce zachodzi, a na zimnym świecie zostają tylko wiatr i deszcz.

I nie musiałam długo czekać, by samej ten ból poznać.

Bo im więcej Angus wciągał do nosa białego proszku, tym stawał się straszniejszy.

Wróciłam myślą do chwili, gdy po raz ostatni spojrzałam mu w oczy – kiedy patrzył pod światło, miały kolor whisky. To było chwilę przed tym, jak wysiadłam z samochodu, wzięłam walizkę z tylnej kanapy, wtoczyłam ją do budynku, a Angus odjechał...

Wpatrywałam się w monitor: wszystkie selfie, które robiliśmy w łóżku. Zawsze uśmiechnięci. Ja całuję go w policzek. On puszcza oko do obiektywu. Screen shoty ewentualnych prezentów urodzinowych: napowietrzacz do wina, lekcje pilotażu, klips na banknoty. Kilka zdjęć penisa. Kolejny screen shot, tym razem mejl miłosny, który przesłałam Charlotte, żeby jej udowodnić, że Angus nie jest taki zły. Przysłał mi go kilka miesięcy wcześniej, gdy wyjechał służbowo do Hongkongu: *Gdybym w tej chwili mógł wypowiedzieć jedno życzenie, chciałbym mieć Cię przy sobie. A.*

Zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby. Mięknęłam.

Po prostu to czułam.

Moja determinacja słabła. Czułam, jak wir nostalgii chwyta mnie za kostki, jak próbuje mnie wciągnąć w otchłań – nie mogłam do tego dopuścić. Sięgnęłam więc po środek, którego skuteczności byłam pewna: kliknęłam na link do mojej sekstaśmy. Chwilkę musiałam zaczekać – miałam słabe wi-fi – ale wreszcie się załadowała i ruszyła. Czerwonawe światło, włosy Holly, mój wstydlivy uśmiech. Szybko zamknęłam okno i wróciłam do zdjęć.

Zaznaczyłam każde zdjęcie z albumu „Angus i ja”, kliknęłam „skasuj”, a potem podłączyłam telefon do komputera, żeby urządzenia się zsynchronizowały. Teraz już nic ze mnie nie zadrwi. Żadne szczęśliwe wspomnienia nie wciągną mnie w otchłań.

Przy łóżku, na wierzchu stosu książek leżał mój fioletowy notes, a pod nim *Niežnośna lekkość bytu*, książka o modzie napisana przez kostiumologa z telewizji, nieprzeczytany egzemplarz „New Yorkera” i *Sztuka wojny*. Sięgnęłam po tę ostatnią, wzięłam długopis, który leżał obok, i zaczęłam pisać.

Słyszałam posykiwanie i bulgotanie bojlera z mojej małej kuchni, kątem oka widziałam wielki stos prania w rogu pokoju.

Angus dalej będzie wiódł swoje życie z pralnią chemiczną – jedyne, co się zmieni, to obsługująca je kobieta – a ja po półtorarocznej służbie wróciłam, by patrzeć, jak moje pranie kłębi się bez końca w stalowych bębnach pralek w pralni samoobsługowej na rogu.

Tamtego wieczoru, mocno przyciskając długopis do kartki, wykreśliłam pozycje z mojej listy, robiąc notatki na marginesie. I mogę tylko przypuszczać, że jeśli Los patrzył na to, co robię, to klaskał w dłonie ze złośliwą satysfakcją: kostki domina dalej się będą przewracać bez przeszkód. Ale gdy znowu tę listę przeczytałam, mimowolnie się zastanowiłam: co w sumie osiągnęłam? Prostytutki. Przeciek pod zlewem. Kokaina na balkonie pani Clifton. Felicia. I szczęśliwe skarpetki.

To wszystko było takie śmieszne, takie niemądre – a ja chciałam zrobić coś, co naprawdę by go zraniło.

Tylko co to miałyby być?

czwartek

Sun Tzu rzekł: Sprowadzając zagadnienie wojny do pięciu zasadniczych czynników, szybko możesz dojść do sedna sprawy. Pierwszym z tych czynników jest czynnik moralny, następnym – pogoda, trzecim – teren (na którym wojna ma się toczyć), czwartym – dowodzenie i piątym teoria, czyli taktyka wojenna.

9 LUTEGO

– Dobra, kawa na ławę. – Val skrzyżowała ramiona na piersi. – Jest źle czy fatalnie?

W nocy nie spałam dobrze i teraz gapiłam się za okno, na budynek naprzeciwko, starając się skupić na czymś wzrok.

– Taylor?

– Przepraszam. Nie jest świetnie – odparłam, kierując na nią spojrzenie. – Nie mam pojęcia, od czego zacząć. – Kilka dni temu spódniczka z beżowej skóry jakimś zrzędzeniem losu błędnie trafiła do wielkiej pralki w pralni samoobsługowej. Teraz była za krótka i za ciasna, a przez to nieporadnie dreptałam, gdy wykladałam owoce swoich poszukiwań na stole. Powinnam była ubrać się w coś innego.

Siedziałyśmy w sali konferencyjnej na piętrze dla klientów: trzy szklane ściany oddzielały nas od nieprzerwanego strumienia szarych garniturów, zdobnych szwów i pastowanych butów. A Val krążyła wokół stołu w milczeniu, nerwowo klikając długopisem, i słuchała mojego sprawozdania. To kiwnęła głową. To chrząknęła. Jaskrawe wykresy. Punktory. Mapy. Niezliczone czerwone gwiazdki z założenia wskazujące na coś ważnego. Dla niewprawnego oka był to pogmatwany bajzel. To był pogmatwany bajzel – ale nie dla Val.

– Hmm... to jest ciekawe. – Wzięła do ręki kartkę z dwoma wykresami

liniowymi. Umieściłam pod nimi kilka notatek. – Co tu mamy? – spytała.

– Wzrost wartości. Niebieska linia przedstawia nieruchomości z jakimś terenem zielonym, a czerwona położone w pobliżu szkół. Na górnym wykresie jest zachodni Londyn, na dolnym wschodni. Ale to nic nowego, Val. To wszystko już wiemy.

– Możemy je połączyć – odparła – wyłonić jakiś wskaźnik. Może dołączyć sąsiedztwo sklepów spożywczych?

W mojej kieszeni coś zawibrowało.

– O, co my tu mamy... – powiedziała Val, uśmiechając się z zaciśniętymi zębami. Wzrokiem podążała za jakąś postacią przechodzącą za moimi plecami, kciuk wrócił do klikania długopisem. – Co on tu znowu robi?

– Co? Kto? – spytałam, odwracając się, zanim zdążyła mi odpowiedzieć.

David Turner przechodził powoli, patrząc na nas, towarzyszyła mu jedna z poważnych. Pomachał, uśmiechał się, aż tętno mi podskoczyło, więc odwróciłam wzrok i wyciągnęłam telefon z kieszeni, żeby się czymś zająć.

– Ciekawe, co ona mu podsunęła... – powiedziała Val, przyglądając się poważnej. – Mogę to wziąć? – dodała, ruchem głowy wskazując dokumenty.

– Jasne – odparłam, wpatrując się w telefon. Charlotte upewniała się, czy idziemy wieczorem na jogę. Był czwartek. W czwartki zawsze chodziliśmy na jogę.

– Jeszcze nie odpisali? – spytała Charlotte. – To śmieszne! – Miała na sobie grafitową wełnianą sukienkę i grube czarne rajstopy, na oparciu krzesła wisiał beżowy płaszcz. Wgryzła się w cytrynę ze swojego drinka, dzinu z tonikiem, zakręciła kostką lodu w kieliszku, a gdy to zrobiła, na jej palcu zamigotał niewielki pierścionek zaręczynowy.

Charlotte: dziewczyna, dzięki której poznałam, co to chłopcy, wódka i radości płynące z opróżnienia połowy butelki syropu na kaszel, gdy się leży na słońcu.

Charlotte: z boleśnie bogatymi rodzicami i słabością do ezoteryki.

Charlotte: moja najlepsza przyjaciółka.

Zapewne moja jedyna przyjaciółka od rozstania z Angusem. Killkoro znajomych, których miałam w Londynie, zanim się związałam z Angusem, straciłam przez zaniedbanie – na początku nie potrzebowałam nikogo poza nim, pod koniec zaś nie miałam siły na cieżką gadaninę i uprzejmości – a jego przyjaciele... no właśnie. Jego. Ale Charlotte to Charlotte i trwała przy mnie.

Była wysoka i eteryczna, jasnobrązowe włosy miała ostrzyżone w bob z wydłużonym przodem, a ta fryzura podkreślała jej oczy: orzechowe, okrągłe i migoczące. Należała do osób, których życie nie rozpadło się nigdy na kawałki, ale gdy przytrafiało się to mnie, nigdy nie mówiła złego słowa. Więc kiedy Angus przed tygodniem mnie rzucił, pierwsze, co zrobiłam, gdy odwiózł mnie do domu i zamknęłam drzwi, to wybrałam jej numer.

Była 22.30 we wtorek, Charlotte uczyła w liceum, więc musiała się stawić w pracy o 7.30 rano, oraz mieszkała z narzeczonym, ale już po 40 minutach zameldowała się na moim progu z flaszką dżinu, paczką zioła i śpiworem, którego nie widziałam od naszej wyprawy na narty w liceum. Do niedzieli wieczorem nie zostawiła mnie ani na chwilę.

A potem nadszedł poniedziałek, Jamie i *Sztuka wojny*.

– Nie odpisali – odparłam. Charlotte pomagała mi napisać dziesiątki wściekłych mejli do RedTube’a, okraszonych takimi wyrażeniami jak „rażące lekceważenie”, „bezprzykładne pogwałcenie” czy „karygodny i haniebny”. Oglądała dużo prawniczych programów w telewizji i była specjalistką od alibi, przeoczonych tropów, pokrzyżowanych planów i żargonu prawniczego, a dzięki sztuce konwersacji takim specjalistką stałam się i ja.

– To jest niezgodne z prawem. Muszą to usunąć. Pewnie mogłabyś pozwać Angusa – dodała, rozglądając się za kelnerką.

Skuliłyśmy się w ciemnym kącie w Nam Long. To była nasza „joga”. Rzeczywiście ubrane w elastyczne spodnie stawiałyśmy się w studiu ze swoimi matami, pełne najlepszych zamiarów – ale zawsze kończyło się to w ten sam sposób: uciekałyśmy przez wyjście ewakuacyjne prowadzące z szatni damskiej na tyły budynku. Ostatecznie po prostu szłyśmy skrótem i spotykałyśmy się od razu w Nam Long.

– Poważnie, musimy znaleźć ci jakąś pomoc prawną. Spytam Bena, czy kogoś zna. Angus tym razem naprawdę przeszedł samego siebie.

Ben był jej narzeczonym. Pięknym. Miłym. O takiej budowie ciała i barwie skóry, jakie zapewnia tylko mieszane pochodzenie. Z zawodu aktor, z przymusu ekonomicznego twórca korporacyjnych filmów szkoleniowych z dziedziny BHP. I członek klubu Shoreditch House.

– Naprawdę uważasz, że potrzebuję adwokata? – spytałam. Załamywała mnie sama myśl o tym, że musiałabym pokazać filmik kolejnej osobie. Wstydziłam się. Jakim cudem w ogóle się zgodziłam na ten trójkącik? Dlaczego pozwoliłam mu nagrywać? I jak do tego doszło, że mój błąd poznał cały świat?

– No, jeśli oni nie zareagują, a Angus nie będzie chciał z tobą rozmawiać, to nie widzę innego wyjścia. – Dopiła drinka i zaczęła ssać kostkę lodu.

– Chciałabym się po prostu na nim odegrać – wypaliłam. I czekałam na jej reakcję. Może się zgodzi i pomoże mi knuć.

– Nie, nie rób tego – odparła, zaciskając zęby na kostce i kręcąc głową. – On tak wszystko zamota, że wyjdzie, że to twoja wina. Najlepiej, gdybyś się wycofała i dała działać adwokatowi.

I w wypadku kogoś takiego jak Charlotte byłoby to słuszne podejście: ona miała pozycję i pieniądze, żeby wynająć takiego prawnika, który przerobi sekstaśmę w dochodowy pozew. Ja nie. Miałam natomiast numer Felicii spod 81. I skorzystałam z niego w drodze na spotkanie z Charlotte.

Ponieważ to ja rezerwowałam bilety na romantyczny wypad na narty – mój i Angusa – wiedziałam, o której dojedzie z Gatwick na Victorię: o 17.30. Pewnie bym nie zapamiętała tak dokładnie godziny, gdyby on nie narobił tyle rabanu, że będzie na dworcu w godzinach szczytu. Ale taki pociąg pasował do lotu. Więc tak zostało.

Na Buckingham Palace Road zaraz przy Victoria Station były dwie budki telefoniczne, obie jak najbardziej czynne. Wiedziałam o tym, bo widywałam w nich ludzi korzystających z telefonu. Swoją drogą, budzili we mnie podejrzenia, bo kto w dzisiejszych czasach korzysta z budki telefonicznej,

o ile czegoś nie kombinuje. Ale automat telefoniczny to wspaniałe narzędzie dla stalkera: nigdy nie wiadomo, kto z niego dzwonił. Tak więc o 17.45 stanęłam w budce obwieszanej wizytówkami i ulotkami prostytutek i knajp ze striptizem, wrzuciłam 20 pensów i wcisnęłam brudne klawisze.

Dokoła mnie szarą ulicą sunęli turyści, ciągnąc walizki, niosąc kubki z kawą albo sprawdzając w telefonie drogę. Miałam na głowie czarną bejsbolówkę i odwróciłam się twarzą od ulicy, w stronę jezdni i szeregu zaparkowanych autokarów po drugiej stronie. Angus będzie musiał zaciągnąć swoją walizkę chodnikiem, żeby złapać taksówkę do domu. Właśnie dlatego wybrałam tę dokładnie budkę o tej dokładnie godzinie: gdy Felicia wreszcie wszystko skojarzy, będzie oczywiste, że to Angus dzwonił. Nie byłam jeszcze pewna, jak jej pomóc w tym kojarzeniu – jak powiązać bieliznę i telefon z Angusem – ale wiedziałam, że odpowiedź jest gdzieś na podorędziu i tylko czeka.

Powoli wybrałam numer: 0207 946 0139. Felicia Bronwyn Jones.

Usłyszałam dwa sygnały, zanim włączyła się poczta głosowa: „Cześć, tu Felicia i Joe, nie możemy teraz odebrać telefonu, ale zostaw, proszę, namiary po sygnale. W pilnej sprawie proszę dzwonić pod 0770 090 0007”.

Pip.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

I rozłączyłam się. Felicia oficjalnie miała stalkera, a ja oficjalnie miałam numer jej komórki: 0770 090 0007.

Łatwy do zapamiętania jak dżingiel z pizzerii.

Dwadzieścia sekund później opuściłam budkę, zamknęłam jej brudne czerwone drzwi i przeszłam na drugą stronę ulicy, byle dalej od trasy Angusa. Powietrze było gęste od spalin, a niebo ciemne i bezgwiazdne. Ze schyloną głową szłam na spotkanie z Charlotte w Nam Long o 18.30.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedziała, sięgając przez drewniany blat, by ścisnąć mi rękę. I bardzo chciałam, by miała rację. Ale życie mnie nauczyło, że częściej bywa odwrotnie: ilekroć mi się wydaje, że wpłynęłam do bezpiecznej przystani, okazuje się, że to oko cyklonu.

Odwróciła głowę w stronę baru i machnęła ręką na kelnerkę: farbowane czarne włosy, w nosie srebrny kolczyk, od którego odbiło się światło.

– Dla koleżanki poproszę jeszcze jedną piña coladę, a dla mnie dżin z tonikiem – zawołała z uśmiechem.

– Nie, ja już dziękuję – sprostowałam, zwracając się do kelnerki. A Charlotte wyjaśniłam: – Nie dam rady więcej.

Spojrzała na mnie z troską.

– Cały dzień nic nie jadłam, żołądek już mnie boli – tłumaczyłam. Ale fajny był ten szmerek w głowie, gdy na chwilę mieszały się szczegóły mojego życia.

– Dobra – skapitulowała. – Burger?

– Burger – zgodziłam się, wypijając resztę drinka. Po czym ruszyliśmy do baru. Gdy kelnerka podchodziła do kasy, usłyszałam lecącą właśnie piosenkę: *Satisfaction* Stonesów.

– Mam nadzieję, że ten jego wyjazd był okropny – powiedziała Charlotte, wyjmując pieniądze z portmonetki, gdy kelnerka podsunęła jej rachunek po porysowanym kontuarze.

– Ja też – odparłam, wyciągając banknot dwudziestofuntowy, żeby zapłacić swoją część. Wzrok utkwiałam we wnętrzu torebki i dodałam, starannie dobierając słowa: – Choć nie sądzę. – Na chwilę zawiesiłam głos. – Zabrał Kim.

Wbiła we mnie płonący wzrok.

– Co takiego?!

Nie chciałam jej tego mówić. Bo potem ona spyta, skąd wiem, a ja będę musiała przyznać, że zaglądałam na jego Facebooka, a uzgodniłyśmy, że nie będę tego robić.

– Zajrzałam na jego Facebooka – przyznałam, marszcząc nos.

– Och, kochanie, tak mi przykro – powiedziała, głośno wypuszczając powietrze i kładąc mi dłoń na ramieniu.

Ruszyliśmy do wyjścia.

Na Old Brompton Road mieniło się od czerwonych tylnych świateł

samochodów. Gdy skręciłyśmy w lewo, by minąć pralnię chemiczną, punkt sprzedaży prasy z całego świata i ciemny pub, z którego wylewało się na ulicę głośne towarzystwo, wcisnęłam w kieszenie zmarznięte ręce.

Przez jakiś czas milczałyśmy, mijając nagie zimowe drzewa, przeszłyśmy na drugą stronę ulicy, lawirowałyśmy między kałużami, które w świetle latarni robiły się bursztynowe, i wreszcie odezwała się Charlotte:

– Nie mieści mi się w głowie, że ją zabrał. No bo co to, kurwa, ma być?

– Wiem, wiem.

Nie mogłam pojąć, co Kim ma, czego nie mam ja – dlaczego wołał ją. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to że w niej było coś uspokajającego, czego nie było widać na jej fotografiach, które oglądałam; coś, co sprawiało, że traktował ją lepiej niż mnie. Tylko to jedno miało sens. Bo ona była taka zrobiona, taka sztuczna: włosy rozjaśnione, sztuczne uśmiechy i błyszczące kiecki ledwie zakrywające cycki. W ogóle nie wyglądała na dziewczynę w typie Angusa. Ja byłam w jego typie: naturalne ciemnoblond włosy sięgające do ramion, wzrost średni, smukła, wyraziste, szerokie kości policzkowe i szaroniebieskie oczy, których kolor kiedyś porównał do morza w zimowym sztormie.

Sam mi mówił, że jestem w jego typie. Wiele razy.

Jakoś sobie nie wyobrażałam, że ją zabiera na kolację biznesową; nie wyobrażałam sobie, że Kim budzi taką sympatię jak ja jego skromnej matki czy ojca elitarysty – gdy dyskutowali ze mną o wczesnych pracach Turnera i nie posiadali się z radości, że ja, specjalistka od nieruchomości biznesowych, wiem, kto to był. Ale z kolei z nią się spotykał przez dwa lata, zanim się poznaliśmy – i przez krótki okres później – więc najwyraźniej się myliłam. Zdjęcia, na których opierałam swoje przypuszczenia, znalazłam w pudełku po butach na dnie jego szafy. Na odwrocie podpisane były jej imieniem: Kimmy. Nigdy mu nie powiedziałam o tym pudełku. Miałam po prostu nadzieję, że z czasem ona zniknie z naszych wspomnień.

– Właśnie dlatego nie możesz zaglądać na jego Facebooka – powiedziała Charlotte, przerywając mi rozmyślenia. – Tylko się tym zadręczasz.

Gdy szłam, spódniczka mi podjeżdżała do góry, więc poprawiałam ją i obciągałam.

– Masz całkowitą rację – powiedziałam – ale po prostu jakoś nie mogę się powstrzymać.

Piña colady już prawie nie działały, wracał natomiast smutek, do którego powoli się przyzwyczajałam. Na rogu przed nami świecił żółto-czerwony neon naszej burgerowni, zbliżyliśmy się do niego szybko, aż w końcu weszliśmy przez drewniane drzwi i usiadliśmy przy stoliku pod oknem. Szyba była zaparowana, ale widziałam na dworze parę całującą się pod sygnalizatorem. Ona trzymała ręce w tylnych kieszeniach jego spodni i przegapili zielone. Najwyraźniej się jednak nie przejmowali.

– Potrzebujesz antidotum – powiedziała Charlotte. – Może ten koleś z zeszłego tygodnia, ten prawnik?

– Jamie? Nie, on chce się tylko pukać. A ja potrzebuję, żeby facet chociaż udawał, że chce ze mną chodzić.

– Dobra, daj mi swój telefon. – Wyciągnęła rękę.

– Po co? – spytałam, wyjmując komórkę z torebki.

– Zaufaj mi.

Podejrzliwie patrzyłam na jej pracowite palce. Czułam zapach frytek i byłam głodna.

– Co robisz? – spytałam. – Jest prawie wyładowana.

– Zaczekaj.

Znowu spojrzałam na parę na dworze. Przechodzili na drugą stronę ulicy. I zniknęli.

– Dwie sekundy, serio. – Skupiona szybko poruszała palcami.

– Nie piszesz do nikogo, prawda? – spytałam. Ostatnie, czego mi było trzeba, to parę słów do słuchu wysłanych Angusowi z mojego telefonu.

– Nie – odparła. – Uspokój się. Dobra, teraz musisz wejść na swoje info na Facebooku. – Podniosła wzrok i podała mi telefon.

– Słucham?

– Zaloguj się na fejsa.

– Po co?

– Taylor – napomniała mnie stanowczo.

– Dobra. – Zalogowałam się i oddałam jej telefon.

– OK, gotowe. – Nachyliła się do mnie, tak byśmy obie widziały ekran telefonu. Patrzyła na mnie moja twarz z imieniem i nazwiskiem pod spodem.

– Nie chcę być w aplikacji randkowej – powiedziałam, podnosząc wzrok na Charlotte.

– Wiem. Ale nie chcesz też usychać z tęsknoty po jakimś dupku. – Przesunęła palcem i ekran wypełniła męska twarz: trzydzieści parę lat, świetne włosy, pewny siebie uśmiech zdradzający lekki dystans do zaistnienia tej fotografii. – Wiesz, jak to działa, prawda?

– Tak jakby.

– To proste: klikasz serduszko, jeśli facet ci się podoba, a krzyżyk, jeśli nie. Ten nam się podoba, bo jest sexy. – Palec Charlotte dotknął serduszka, które zrobiło się czerwone. I pojawiło się kolejne zdjęcie.

– Faj – zareagowałyśmy jednogłośnie i Charlotte wybrała krzyżyk.

– Widzisz? Proste. Potem, jak ciebie też lajkują, znajdujesz parę. I potem mogą do ciebie pisać. To jak randki dla opornych – dodała, podając mi telefon.

– Skąd ty w ogóle wiesz, że takie aplikacje istnieją? – spytałam, mrużąc oczy. – Zaraz wychodzisz za mąż.

– Owszem, ale również uczę w liceum. Wiem wszystko.

To była prawda. Wiedziała o rzeczach, które mnie w ogóle nie przychodziły do głowy: znała najnowsze apki, slang i jakieś sekswskazówki, które podsłuchiwała w damskiej toalecie. Te to bym najchętniej zapomniała.

– A więc słuchaj, co zrobimy – podjęła Charlotte. – Zjemy te burgery, gdy w końcu, do cholery, odbiorą od nas zamówienie – rozejrzała się za kelnerką – potem przynajmniej spróbujesz skorzystać z tej aplikacji, zanim pójdziesz dzisiaj spać, a potem znowu rano. A jeśli się sparujesz z kimś

fajnym, spotkasz się z nim. Nie musisz chcieć, po prostu pójdziesz. Może będziesz miała randkę na walentynki. I może się zdziwisz.

Tak właśnie zrobiłyśmy. Zjadłyśmy burgery. Ja zjadłam frytki. A potem poszłyśmy do domu: ona do swojego cudownego Bena, ja do pustego łóżka i fioletowego notatnika. I zapisałam w nim relację z całego wieczoru. Nie dlatego, że postanowiłam prowadzić pamiętnik, po prostu musiałam komuś powiedzieć, a nikogo innego nie miałam.

Spotkałam się dziś z Charlotte. Było zabawnie, ale dalej mi smutno. To tak jakby dokoła mnie trwała ulewa, a ja bym ją ciągle ignorowała, czekając, aż przejdzie, ale ona nie przechodzi. Robi się tylko coraz ciemniej i ciężej. Po prostu nie jestem w stanie uwierzyć, że on mi to zrobił. Te wszystkie rzeczy. Jutro, w piątek, są urodziny Angusa. A ja ciągle myślę o zeszlorocznych, zastanawiając się, w którym miejscu zboczyliśmy z drogi, i o tych prostytutkach, i zastanawiam się, czy postąpiłam właściwie. Chcę, żeby zapłacił za to, co mi zrobił, ale zupełnie sobie nie wyobrażam, że jestem z kimś innym. No dobra, czas do łóżka.

Deszcz bębnił o okno, zamknęłam oczy i próbowałam zasnąć. Miałam na sobie kraciaste spodnie od piżamy oraz stary T-shirt – jego koszula poszła w odstawkę – i było mi zimno. Podciągnęłam kołdrę pod brodę i czekałam, aż myśli się uspokoją. Ale się nie uspokajały. Krążyły i krążyły. Czułam go obok siebie, jego ciepło, ciężar jego ciała. Słyszałam, jak oddycha. Słyszałam jego głos. Poranne chropawe „Niedzielna dziewczyno!”. Tak mnie nazywał – swoją Niedzielną Dziewczyną. „Kiedy nadchodzi niedziela, a ty byś się zwinął na kanapie z jedną jedyną osobą na całym świecie, to jesteś w domu”. Niczego więcej nie potrzebowałam. Próbowałam zdusić te wspomnienia, przewracałam się z boku na bok. Ale wszystko na próżno, one nieustannie wracały, pobudzały mnie jak strzał z gaźnika. Otworzyłam gwałtownie oczy: przez szparę w zasłonach wpływało światło i padało prosto na mój telefon przy łóżku. Sięgnęłam do niego i otworzyłam aplikację. Co szkodzi wypełnić polecenia Charlotte?

Na ekranie pojawiła się rewia twarzy. I imion. James. Peter. Walter. Dace. Lars. Cedric. Fajne notki. Dusze na sprzedaż. Niektórzy przystojni. Niektórzy nie. Ale żaden nie był Angusem, a ja tęskniłam.

Niemniej parę razy przełamalam się i kliknęłam serduszko. Krzyżyk jeszcze więcej razy. I ostatecznie biologia wzięła górę, bo zapadłam w głęboki sen. A gdy się obudziłam rano... miałam parę.

A w zasadzie sześć.

piątek

Sun Tzu rzekł: Kiedy wróg jest w lepszej sytuacji, musisz go niepokoić. Kiedy jest wypoczęty i dobrze odżywiony, musisz go osłabić. Kiedy wypoczywa, zmusz go do ruchu.

10 LUTEGO

Może gdybym od razu po wejściu zobaczyła Davida, nie upiłabym się tak bardzo.

Ale nie zobaczyłam. No i się upiłam.

Była 20, siedziałam tu od 18.30 i Walter, moja nieudana przystawka przed powrotem do świata randek, cedził przez zęby coś bez sensu. Otaczały nas przyćmione światła, srebrne wiaderka z lodem i morze żółtych serwetek – wszystkie złożone w kapelusz wiedzy – ale on miał taki monotony głos, że nie pomagał ani nastrój, ani wino.

A wiedziałam, co mówię, bo byłam przy czwartej kolejce.

O 8 rano, gdy zasugerował kolację, wydało mi się to czarujące. Przynajmniej jego zdjęcie wyglądało obiecująco. Ale gdy o 20 z drugiej strony stołu siedziała jego wersja bez retuszu, bez filtrów, moje wrażenia stały się upiorne. Niemniej spotkaliśmy się: dwójka niedopasowanych, obcych sobie ludzi umówiła się w Signor Sassi. Knajpa miała dobre recenzje, znajdowała się w Knightsbridge – czyli z pracy miałam tu jeden przystanek metra – i teoretycznie wszystko prezentowało się świetnie, ale im dłużej tu siedziałam, tym gwałtowniej podskakiwałam, ilekroć otworzyły się drewniane drzwi. Nie chciałam, żeby mnie ktoś tu zobaczył. Nie chciałam, żeby mnie ktoś zobaczył z Walterem.

– To naprawdę szalenie interesujące – mówiłam. Właśnie mi wyjaśniał, na czym polega jego praca – coś z instrumentami pochodnymi – a ja jadłam trzecią bułkę, skupiając się na tym, że są urodziny Angusa, że Christy

i Madeleine ze swoimi żółtymi kokardami niedługo staną w jego progu, a ja ciągle nie jestem pewna, co o tym myśleć.

Walter miał pieprzyk po lewej stronie ust i gdy mówił, ów pieprzyk podrygiwał. Wciąż patrzyłam w ten punkt, aż bałam się, że facet pomyśli, że nie mogę oderwać wzroku od jego ust. Niedużych. Suchych. Odwróciłam więc spojrzenie i rozglądałam się po lokalu.

I wtedy go zobaczyłam. Nie Waltera. Cztery stoliki dalej. Twarz miał trochę zasłoniętą przez tył blond głowy osoby siedzącej naprzeciwko, ale to na pewno był on.

David Turner.

Zanim się upewniłam, że to on, nasze spojrzenia się spotkały. Cholera. Odwróciłam wzrok i próbowałam się skupić na Walterze. Na jego pieprzyku. Ale David już mnie dostrzegł i czułam, że mnie obserwuje. Chciałam, żeby twarz mi się odprężyła, serce się uspokoiło. Ale nic z tego.

Walter dalej wygłaszał swój monolog, ja się uśmiechałam. Kiwałam głową.

Co tu robi David Turner?

Obserwowałam go kątem oka: mówił, uśmiechał się, wiercił się na krześle. Nagle skupiłam wzrok na blond głowie siedzącej naprzeciwko niego. Wyglądało na to, że należy do mężczyzny, nie do kobiety.

Interesujące.

– Jak ci smakowały ravioli? – spytał Walter.

– Bardzo – odparłam i znowu napiłam się wina.

„Jak ci smakowały ravioli”. Waltera nie było stać na nic bardziej interesującego. Nie to co Angus. W piętnastej minucie naszej pierwszej solidnej randki nachylił się do mnie, spojrzał mi w oczy tymi swoimi źrenicami o barwie whiskey i powiedział: „Jesteś niebezpieczna”. A potem dodał z uśmiechem: „Nie szkodzi, ja też”. Pewnie wiedziałam, że to blef, ale co tam. Liczyło się napięcie.

Walter nie był niebezpieczny ani trochę.

Znowu spojrzałam na Davida. Jego strój wskazywał na spotkanie w interesach – różowa koszula, krawat i garnitur na miarę. Właśnie nalewał

wina. Czerwone. Mięsień po lewej stronie szczęki drgał pod zarostem. David popijał z wielkiego kieliszka, skupiając się całkowicie na tym, co mówi siedzący przed nim mężczyzna. Mrużył oczy. Słabnące zainteresowanie. A gdy tak patrzyłam, jego zachowanie zmieniło się odrobineczkę, niewielka zmiana w postawie – lekko się wyprostował – brwi się ściągnęły, śmiał się tak bardziej po męsku i zrozumiałam: wiedział, że mu się przyglądam.

– Mnie moje też – powiedział Walter.

– Super – uśmiechnęłam się, przekładając sztucce.

– Mam wrażenie, że cały czas mówię tylko ja – rzekł. – Powiedz coś o sobie.

– A co chciałbyś wiedzieć?

– Wszystko. – Uśmiech. – Może zaczniesz od początku?

Cholera. Jemu się zdaje, że idzie nam świetnie.

Zaśmiałam się nerwowo.

– No dobrze... Ty pomyśl nad pytaniem, a ja skoczę do łazienki. – Wstałam, odkładając na stół żółtą serwetkę. Musiałam stąd uciec. Choćby tylko na chwilę.

– Dobra.

Ruszyłam w stronę schodów: były strome, kręcone, na ścianach wisiały lustra, odbijało się w nich wnętrze restauracji. Wspinałam się, oddychając głęboko, a mój sztuczny uśmiech zniknął z każdym stopniem.

Jedną ręką pchnęłam drzwi do damskiej toalety, a drugą wyciągnęłam telefon z torebki.

Ty suko! – napisałam nieporadnymi, pijanymi palcami. *On jest okropny!* Zdołałam wpisać tyle liter z imienia Charlotte, by program dopowiedział sobie resztę, i kliknęłam „wyślij”. Bez skutku. Nie miałam zasięgu.

– No świetnie – powiedziałam na głos. Dziewczyna w srebrnych butach wyszła z kabiny za moimi plecami i ruszyła do umywalki. – Nie ma zasięgu – wyjaśniłam, gdy odkręciła kurek. Uśmiechnęła się do mnie półgębkiem, osuszyła ręce i wyszła.

Wsadzając telefon z powrotem do torebki, przysunęłam twarz do lustra: prezentowałam się mizernie. Czerwone wino zabarwiło mi zęby na dziwny

kolor, twarz wydawała się bardzo blada w zestawieniu z czarną sukienką, a w tym bezlitosnym świetle skóra pod oczami wyglądała odrażająco. „Co ja tu, u diabła, robię?”

Po dwóch minutach wyszłam, pomimo upojenia alkoholowego dotarłam do schodów, by wrócić do miłego Waltera.

Pewnie nie przyszłoby wam do głowy, że przeznaczenie wydaje jakiś dźwięk, a jednak: wysoki brzdęk. Jakby jedna z kostek życiowego domina potknęła się o łyżeczkę albo wpadła do pustej filiżanki. A jeśli zamkniesz oczy, ten dźwięk poczujesz gdzieś w środku.

– Taylor Bishop – powiedział.

Brzdęk.

Oczywiście, może to wcale nie było przeznaczenie. Może on mnie po prostu śledził. Nie ulega jednak wątpliwości, że to wyglądało na przeznaczenie. Podniosłam wzrok, zacisnęłam chwyt na lichej poręczu, żeby złapać równowagę. David Turner mijał mnie na tych wąziutkich schodach.

Nigdy nie miałam słabości do Pierce'ów Brosnanów tego świata. Nie ufałam ich gładkości, ich fornirowanej fasadzie i tej pełni, którą w nich wyczuwałam. Pełni oznaczającej, że mnie nie potrzebują. Moje serce zawsze zdobywali wewnętrznie załamani i nieprzewidywalni, poezja ich wyszczerbionych krawędzi przemawiała do mojej wyobraźni. W Davidzie Turnerze nie było żadnego pęknięcia, żadnej rysy, więc mnie nie interesował. Ani trochę. A jednak, jednak jakoś z trudem sobie przypominałam, jak się oddycha.

– Hej – odezwałam się. Zaskoczona. Jego odbicie rozprysło się w kawałkach luster na ścianach.

– Co pani tu robi? – spytał.

– Jem. Jestem, jestem z... – nie wiedziałam, jak nazwać Waltera – z kolegą.

– Super. A więc wszystko OK? – zażartował. I nowy uśmiech, bardziej osobisty, przemknął przez jego twarz.

Roześmiałam się.

– Nie. Jest strasznie. A co u pana? – Ściszyłam głos. Niemal do szeptu.

A puls mi galopował. Czułam zapach alkoholu.

– Tak samo – odparł – ale ja rzeczywiście jestem z kolegą. Niedawno rozstał się z żoną. – Ruchem głowy wskazał salę w dole. – Próbuję go rozweselić, żeby nie skończył ze sobą w walentynki.

– Och, bardzo mi przykro.

– Wiem, jedno wielkie gówno. – Cały czas patrzył mi w oczy. – Może powinniśmy zorganizować jakąś ucieczkę?

Nie mogłam się oprzeć.

– Zdecydowanie. – Roześmiałam się.

I dalej staliśmy, w milczeniu. Czułam ciepło jego ciała, zapach szamponu – korzenne limonki – i strasznie chciałam go dotknąć. Ale nie mogłam. On był klientem, poza tym na dole czekał Walter. Ruszyłam.

– No to miłego wieczoru, panie Davidzie – dodałam. – Cieszę się, że się spotkaliśmy.

Dobre zagranie. Zawodowe.

– Ja też się cieszę – odrzekł.

Czułam, że mi się przygląda, kiedy schodziłam do Waltera. I podobało mi się to.

– Jak cię nie było, przynieśli kartę deserów – oznajmił mój towarzysz, gdy usiadłam.

Odpowiedziałam uśmiechem.

– Ja chyba się zdecyduję na sernik – mówił dalej.

Udawałam, że czytam menu, serce uderzało mocno o wrażliwy punkt w moim gardle.

– A ty co zjesz? – spytał.

– To samo – zdecydowałam, odkładając kartę na stół.

– Opowiedz mi o swojej pracy – poprosił.

Jego dłoń – miękka i płaska – spoczęła na mojej. Zacisnęłam zęby, wzdrygnęłam się w duchu. Myślałam tylko o tym, że muszę swoją dłoń zabrać, ale nie chciałam być niegrzeczna. Zdażyłam już zapomnieć, jak

straszne są pierwsze randki.

– Pracuję w nieruchomościach.

– Naprawdę?

– Tak. Głównie zajmuję się badaniem rynku.

Rozglądałam się po sali. Szukałam twarzy Davida pośród pozostałych gości. I znalazłam jego krzesło. Było puste. Wyszedł. A także mężczyzna, z którym jadł...

Kurwa.

– Ach tak. – Walter napił się wina, puścił moją rękę, zmrużył oczy i się uśmiechnął. Próbował flirtować.

Cholera.

– A więc rynki. Rynki nieruchomości – powiedziałam, rozmyślnie siląc się na niedbały ton.

Nagle to zobaczyłam: nieznaczny ruch gdzieś w kącie. I mimowolnie skierowałam tam wzrok.

Tylko na momencik.

Jeden. Jeden jedyny. Ruch. Samotny marker pośród białego hałasu.

Bo ten szczątek ruchu mógł być czymkolwiek: mógł to być kelner wracający z przerwy na papierosa, gość, który pomylił drogę do łazienki, cokolwiek. Ale to był David Turner, który z roześmianymi oczami kiwał na mnie ręką.

Na mnie.

Wiedziałam, że nie powinnam iść. Że to nierozsądne. Że on jest klientem. Ale byłam pijana. A on był niespodziewanym promieniem światła przenikającym ciemności, które rzucił na świat Angus. Przecież każdy czasami potrzebuje światła.

– Przepraszam cię. Muszę szybko wracać do kibelka – powiedziałam. – Chyba coś mi weszło w zęby. – Cofnęłam ręce i jedną zasłoniłam usta. – Muszę się wynitkować. – Wzięłam torebkę i wstałam.

– Może ja ci pomogę? – zaproponował Walter, ale pokręciłam głową

i ruszyłam przez salę, ciągnięta przez niewidoczną linię zakotwiczoną głęboko w mojej klatce piersiowej. Schody. Lustra. W końcu dotarłam do wąskiego, ciemnego przejścia, w którym stał David. A on chwycił mnie za nadgarstek i zaciągnął w kąt. Staliśmy tak razem, kryjąc się w ciemnościach. On miał już na sobie płaszcz – czarny – a na szyi jasnoszary szal.

– Co robisz? – spytałam ze śmiechem. Od wina kręciło mi się w głowie.

– Organizuję naszą ucieczkę – odrzekł, wystawiając głowę za róg i zerkając na stoliki.

– To szalone. – Ale śmieszne również.

– Ćśśś – syknął, przykładając palec do ust.

– Dokąd uciekniemy? – wyszeptałam.

– Dokądkolwiek.

– A co z twoim przyjacielem?

– Wciągnąłem go w nasz plan. W pełni go akceptuje. Pojechał do domu utopić smutki w alkoholu i dzwonić po pijaku do prawie byłej żony. Biedny frajer. – Mrugnął okiem.

– Jesteś pijany? – spytałam. W niczym nie przypominał faceta, którego poznałam kilka dni temu.

– Bardzo. A ty?

– Owszem, trochę.

– No to świetnie. Dobra, tędy. – Poprowadził mnie chyba do kuchni. – Znam tajemne wyjście.

– O, naprawdę? To nie jest twój pierwszy raz, co?

– Jestem głęboko urażony twoją insynuacją – odparł. Kącik ust powędrował mu w górę.

– Ale mój płaszcz...

– O cholera, gdzie go masz?

– Wzięła go hostessa. – Staliśmy przed kuchnią, czułam zapach czosnku i słyszałam skwierczenie.

Właśnie mijął nas młody, nieśmiało wyglądający kelner. David dotknął

jego ramienia.

– Zechciałby pan przynieść płaszcz tej pani i podać nam go na zewnątrz? – spytał grzecznie i miło.

– A który to?

– Kochanie, jak wygląda twój płaszcz? – spytał mnie David. Cały spiskujący.

„Kochanie”.

– Granatowy, rozmiar osiem. Duże złote guziki – odparłam, palcem rysując na sobie guziki.

Kelner kiwnął głową i rozdzieliliśmy się: on poszedł do szatni, my do wyjścia ewakuacyjnego oznaczonego zielonym napisem zwisającym z sufitu na przerdzewiałym łańcuszku. David prowadził mnie za rękę.

Dotarliśmy na koniec korytarza, pchnęliśmy ciężkie drzwi i wyszliśmy w zaśmiecony zaułek. Chłód przyłgnał do mojej skóry, padało.

Po prawej mieliśmy hałaśliwy pub, a za nim śmierzzące ciemności. Przed sobą przemieszane czerwono-żółte światła, pisk opon i klaksony głównej ulicy. Z drzwi za nami wyszedł kelner, trzymając przed sobą nerwowo mój płaszcz.

– To ten? – spytał.

Kiwnęłam głową. A gdy David podał mu 10 funtów, wzięłam płaszcz i rozpostarłam go, żeby go włożyć, zobaczyłam Waltera przez okno, siedzącego w przyćmionym świetle w oczekiwaniu na mój powrót. „Powinnam się pożegnać”. Ale nagle David znowu wziął mnie za rękę i poprowadził ku Brompton Road.

– Gdzie chcesz jechać? – spytał. Właśnie machał na taksówkę. Był spory ruch, gdzieś niedaleko wył alarm samochodowy.

– Gdziekolwiek – odparłam. – Byle gdzie indziej. – Zapinałam guziki płaszcza, wypuszczając obłoczki pary.

– Dobra odpowiedź – skwitował, wyciągając telefon.

– Dlaczego? – zaśmiałam się podejrzliwie.

– Zobaczysz. – Wybierał numer. – Dzień dobry, poproszę pokój.

Nadstawiłam ucha. Pokój?!

– Słucham? – spytałam, ale mnie uciszył. Znowu przyłożył palec do ust.

– Turner. Dziękuję, do zobaczenia za pięć minut.

– Davidzie, nie jadę z tobą do hotelu! – W moich uszach głośno wyły syreny alarmowe.

– Spokojnie, muszę wziąć prysznic. Jestem na nogach od piątej rano. A potem pójdziemy do baru czy gdziekolwiek.

Podjechała taksówka. Kierowca, koło sześćdziesiątki, z gęstą pajęczyną różowych żyłek lśniących na policzkach, opuścił szybę.

– Dokąd? – spytał.

– South Kensington – odrzekł mój towarzysz, nachylając się do otwartego okna. – Hotel Ampersand.

Taksówkarz skinął głową, podniósł szybę, a David otworzył mi drzwi.

Stałam na chodniku, krew mi tętniła. Czy ja znowu podejmuję złą decyzję?

– Zawsze jesteś taka trudna? – roześmiał się, obejmując mnie w pasie ramieniem i zmuszając, bym ruszyła się z miejsca. – Naprawdę, muszę tylko wziąć prysznic. Nic poza tym.

Więc wsiadłam, a on wsiadł za mną i zatrzęsnał drzwi. Samochód ruszył, czułam przy sobie obecność Davida, ciepło jego dłoni na moim kolanie. Krople deszczu przyklejały się do szyby, zbierając się w strużki, patrzyłam między nimi na przechodniów biegnących przez ulicę, trzymających się za ręce i przeskakujących przez kałuże. Do walentynek zostały cztery dni, więc większość witryn sklepowych pyszniła się kompozycjami jakichś czerwonych serduszek i róż, idealnie pasujących do połyskującego wilgotnego asfaltu jezdni: czerwone tylne światła samochodów odbijały się w nim długimi nierównymi liniami. Gdy zbliżyliśmy się do Harrodsa, jego charakterystycznych białych kulistych lamp, zatrzymaliśmy się na światłach. Dojrzałam bezdomnego, który spał w wejściu przykry kawałkiem kartonu i stosem ubrań. Światła zmieniły się na zielone. Oparłam się o zagłówek i zmrużyłam oczy, aż obrazy i światła zlały się razem. Tak było najładniej. Jak

zdjęcie zrobione z długą migawką.

Wkrótce zobaczyłam w oddali Muzeum Historii Naturalnej, ale myśmy skręcili wcześniej w lewo, w wąską ulicę z grubymi białymi słupami i wiktoriańskimi domami.

– Tu tutaj – powiedział David do kierowcy. – Przed nami po prawej. – Serce mi przyspieszyło, gdy się zatrzymaliśmy. – Świetnie, dzięki. – Przez mały otwór w szybie podał kierowcy banknot dwudziestofuntowy.

Był to imponujący biały budynek z czarną dziesiątką na filarach po obu stronach wejścia. Na oknach parteru stały doniczki z wypiełgnowanymi roślinami, nad wejściem wisiała podświetlona brytyjska flaga, każdy balkon miał zdobną czarną balustradę w rodzaju kojarzonym zwykle z Paryżem. Zajrzałam do środka: słabe żółte światła kusily ciepłym blaskiem.

David położył mi dłoń na plecach, bym weszła.

Kobieta stojąca w niewielkiej recepcji otaksowała mnie wzrokiem spod ubrązowanych powiek. Poczułam się niezręcznie.

– Dobry wieczór, dzwoniłem w sprawie rezerwacji. Nazywam się Turner.

Postukała w klawisze i podała mu kartę.

– Pokój trzysta trzy – powiedziała.

– Mogę poprosić szczoteczkę do zębów? – spytał.

Kobieta podała mu dwie.

– Och, ja nie potrzebuję – sprostowałam.

– Nie bądź egoistką. – David odwrócił się do mnie z uśmiechem. – Może tę drugą chcę dać mamie pod choinkę.

– Trzecie piętro – dodała recepcjonistka.

Ale on już prowadził mnie do windy. Czułam na plecach ciepło jego dłoni.

– Gdzie masz swoje rzeczy? – spytałam, gdy drzwi windy otworzyły się z brzdękiem i weszliśmy do kabiny.

– Nie mam swoich rzeczy. Zamierzałem wieczorem pojechać do domu na wsi.

Patrzyłam na migające światła, gdy w milczeniu jechaliśmy na górę.

Drugie piętro. Trzecie. Drzwi się otworzyły: bordowy chodnik w złoto-czarne wzory. Obrazy na ścianach: pejzaże, konie. I szereg drzwi po obu stronach korytarza. Za każdymi kryli się ludzie ze swoimi tajemnicami, których nigdy nie poznam.

Zaprowadził mnie do numeru 303.

Gdy otworzył drzwi, włączyły się światła – ciepłe i przyćmione – a David odsunął się, by mnie przepuścić. Na dwóch wielkich oknach wisały ciężkie granatowe zasłony przewiązane złotym sznurem. Po prawej stało wielkie łóże z ciemnego drewna, ze świeżą pościelą, na której leżała jedna jedyna musztardowa poduszka. Pośrodku pomieszczenia stała kanapa z beżowej skóry, a przed nią stolik. Z sufitu zwisał niewielki żyrandol. Po lewej znalazło się jeszcze miejsce na musztardowo-złote krzesło w stylu henrykowskim.

– Proszę się rozgościć, madame – powiedział, również wchodząc do środka i zamykając drzwi. – Nie krępuj się. – Zdjął płaszcz i rzucił go na posłanie. – Daj mi pięć minut. – Ruszył w stronę łazienki. – Koło łóżka stoi telefon, zamów szampana czy coś – dodał z uśmiechem. A potem zamknął drzwi łazienki i zostałam sama.

Podniósłszy słuchawkę, wcisnęłam o i po chwili usłyszałam głos kobiety, prawdopodobnie tej samej, która nas zameldowała.

– Recepcja, słucham – powiedziały ubrązowane powieki i osądzające spojrzenie.

– Poproszę butelkę szampana do pokoju trzysta trzy.

– Oczywiście – odrzekła oschle. – Jakiego?

– Veuve? – zasugerowałam.

– Oczywiście. Coś jeszcze?

– Macie jakiś tort czekoladowy? – Słyszałam, jak stuka w klawisze.

– Oczywiście.

– Dzięki. – Odłożyłam ciężką słuchawkę na widełki i się rozejrzałam.

Było pięknie. Jak z magazynu. Ale im więcej chłonełam wzrokiem, tym szybciej biegly moje myśli. Co ja wyprawiam? Gdzieś w trzewiach obudził się cichy pomruk paniki. „Nie powinno mnie tu być. A jeśli coś się stanie? Mogę

stracić pracę. Nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie to wyglądało, jakbym chciała robić karierę przez łóżko...” Przed oczami stanęła mi Val, jak ze ściągniętymi ustami kręci siwą głową.

Ale mnie się wszystko mąciło, a mózg miałam zbyt rozmiękczone, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję. Musiałam się napić wody. Podeszłam do minibaru, otworzyłam go i wyjęłam wodę Evian.

Słyszałam Davida w łazience. Woda uderzała o kafelki. Niedługo wyjdzie. Usiadłam z wodą na kanapie, jedną nogę skromnie podłożyłam pod pośladki – nie chciałam, żeby pomyślał, że chodzenie do hotelu z klientem to dla mnie chleb powszedni – i sięgnęłam do torebki po telefon.

Była 21.

Do Angusa właśnie przyszły prostytutki.

Prąd przebiegł mi przez brzuch, klatka piersiowa tak się ścisnęła, że nie mogłam oddychać, bolały mnie ręce.

Teraz nie było odwrotu.

Napiłam się wody – była cudownie zimna – i wyobraziłam sobie tę scenę. Dziewczyny, kokardy, twarz Angusa. Co robi? Co robi Candice, gdy zobaczy rachunek? Powie od razu jego szefowi, Henry’emu?

Nagle szum wody ustał. Słyszałam, jak David wychodzi spod prysznica, stąpa po kafelkach, więc wrzuciłam telefon z powrotem do torebki, naciągnęłam sukienkę na kolana i czekałam, aż się pojawi.

Włosy miał mokre, przyklejone do głowy, włożył hotelowy szlafrok. Gruby i biały. Gdy stanął w drzwiach łazienki, za jego plecami kłębiła się para, miał bose stopy i włochate nogi. Podniosłam na niego wzrok i uśmiechnęłam się, gdy ruszył w moją stronę, rozkładając ręce w geście „tadam”.

– Już uwiedziona? – spytał. Usiadł koło mnie, drugim ręcznikiem wycierając włosy. Siedzisko ugięło się pod jego ciężarem. – A więc, panno Bishop – uśmiechnął się szeroko.

– A więc, panie Turner. – Siliłam się na luz, ale w powietrzu wisiało napięcie.

– Prawda czy wyzwanie? – spytał.

– Prawda. – Roześmiałam się.

– Doskonale. Jakim, kurwa, cudem, jesteś singielką?

Nienawidziłam tego pytania. Niezmiennie. Brzmiało jak komplement, ale odbierałam je jako zarzut, jakby mnie posądzano albo o niezrównoważenie psychiczne, albo o fatalną technikę fellatio. Pomimo wszystkich swoich wad związek z Angusem chronił mnie przed takimi pytaniami przez półtora roku i w tej chwili zatęskniłam za tą ochroną.

Odpowiedziałam więc pytaniem na pytanie:

– A ty?

I znowu napiłam się wody.

Ściągnął brwi.

– Ile masz lat, tak swoją drogą? Dwadzieścia sześć?

– Jezu – roześmiałam się – to już drugie główniane pytanie. Ale w czerwcu kończę trzydziestkę, jeśli musisz wiedzieć.

– Bzdura – odparł. – Zupełnie na tyle nie wyglądasz.

– A ty? Ile masz lat? – Poły szlafroka mu się rozchyliły, widziałam włosy na kłacie.

– A może zgadniesz? – Ciągłe wycierał włosy ręcznikiem.

– No nie wiem... – Przechyliłam głowę na bok i napiłam się wody. – Czterdzieści sześć?

Zamarł.

– Chyba, kurwa, żartujesz?

– Czemu? – zaśmiałam się.

– Bo mam, kurwa, trzydzieści osiem.

– Niemożliwe. Nie wierzę ci.

Podszedł do łóżka, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął portfel: stary, czarny, skórzany. Bardzo zniszczony. Następnie podał mi niewielki plastikowy dokument z bezbarwnym zdjęciem i zaświadczeniem, że właściciel może prowadzić pojazdy mechaniczne.

Spojrzałam na datę urodzenia. Nie kłamał.

– No dobra, twoja kolej. – Wyciągnął rękę. – Chcę zobaczyć twoje dokumenty.

Sięgnęłam do torebki, zajrzałam do ciemnego wnętrza i znalazłam portfel. Przy okazji dostrzegłam telefon. Ekran się świecił. Jedno nieodebrane połączenie: Angus.

Krew uciekła mi do stóp.

– No pokaz. – David wysunął rękę jeszcze bardziej. – Na pewno nie jest tak źle.

Podalam mu dokument i próbowałam oddychać. To niemożliwe.

Dlaczego dzwonił?

– Cholera. – David oglądał moje zdjęcie. – Ta fota nie oddaje ci sprawiedliwości.

Nie odpowiedziałam. Nie byłam w stanie. Siedziałam po prostu, uśmiechając się i patrząc, jak David czyta szczegóły mojego prawa jazdy.

– Bolton Gardens? Jakim cudem cię stać na mieszkanie w SW5? – spytał.

– Oddawaj – powiedziałam, sięgając po prawko, ale on zrobił unik, jakbyśmy się bawili. – Mieszkam w rozpadającej się kurnej chacie, takim cudem – wyjaśniłam.

A prawda wyglądała tak, że wprowadziłam się tam dla Angusa. Miałam stamtąd bliżej do niego i ten adres bardziej niż poprzedni pasował do wersji Taylor, której on ode mnie oczekiwał. Do wersji na wysokich obcasach. Tej, która się wpasowywała w jego życie śliczne jak z obrazka. Nadwerężyłam więc kartę kredytową, by mieć na depozyt, i wyprowadziłam się z przystępnego, sensownego, przestronnego mieszkania w Greenwich – jakieś 30 metrów od znaku „Witamy w Lewisham”, z szufladą na sztucce, która się nie rozpadała, gdy szarpnęłam za mocno – do kawalerki w Bolton Gardens, za którą płaciłam 65 procent swojej pensji i gdzie musiałam sobie wywichnąć bark, ilekroć chciałam wejść do „łazienki”.

Znowu sięgnęłam po swoje prawo jazdy. David już miał zrobić kolejny unik, ale tym razem je złapałam i ze śmiechem wyrwałam mu je z palców. Dzieliła nas niewielka odległość, patrzył na mnie. Czułam zapach jego

włosów, ciepło jego ciała. Uśmiechałam się. Ta bliskość była jednak niebezpieczna, więc cofnęłam się i siadłam głębiej na kanapie.

Odłożyłam prawko na miejsce, a potem podniosłam na niego wzrok. Trzymał swój telefon.

– Co robisz? – spytałam.

– Chwileczkę – odrzekł z uśmiechem, nie podnosząc oczu. – Szukam czegoś.

– Pisziesz esemes?

– Oczywiście, że nie. – I nagle rozbrzmiała latynoska wersja *Sexual Healing*, ten cały rytm, talerze i perkusja. Skojarzyło mi się to z wakacjami na egzotycznej wyspie. Zaczęłam się śmiać, a on wyciągnął rękę. Patrzył na mnie szczęśliwym wzrokiem i roześmiał się takim śmiechem z całego serca, takim, że aż widać ósemki.

Sięgnął po moją rękę.

– Nie mogę tańczyć, Davidzie – zaprotestowałam. – Jestem pijana. Przewrócę się.

– Bzdury. – Jego palce chwyciły moje i już pomagał mi wstać. Obrócił mnie raz, dwa razy i znowu. Cudownie kręciło mi się w głowie, obraz się zamazał, wszelki ból zniknął. David przyciągnął mnie do siebie i kołysaliśmy się do muzyki, czułam na szyi zapach jego wody kolońskiej, ciepło ciała tuż przy sobie. Potem mnie odepchnął, ja się roześmiałam, obróciłam, i już z powrotem mnie przyciągnął. Nasze twarze były blisko siebie, obejmował mnie w talii, jego oddech pachniał metalem, winem i mężczyzną. A ja się śmiałam.

– Obsługa – odezwał się głos od progu. Donośnie, jakby ten ktoś stał już w środku.

Padłam z powrotem na kanapę, patrząc, jak David idzie do drzwi. Profesjonalny, dojrzały. Jak nie on.

Do środka wszedł niewysoki mężczyzna z wielką tacą. Ustawił na stoliku wiaderko z szampanem, dwa kieliszki i ciasto. Z głośnym pyknięciem otworzył butelkę i nalał trunku.

– Ciasto czekoladowe? – spytał David, gdy tylko za kelnerem zamknęły się drzwi.

– Ciasto czekoladowe zawsze się przyda – odparłam.

– Nic dodać, nic ująć – odrzekł, podając mi kieliszek szampana. Usiadł koło mnie i wznosił toast. – Za niespodziewany rozrywkowy wieczór.

– Na zdrowie – odparłam, stuknęliśmy się kieliszkami i napiłam się szampana.

Czułam obok ciepło jego ciała – siedział tak blisko, nagi pod szlafrokiem – w tle ciągle grała muzyka. I myślałam „On ma rację, to po prostu rozrywkowy wieczór”.

– Więc – odezwał się głosem cichym i ochryplym. – Prawda czy wyzwanie?

– Prawda. – Uśmiechnęłam się.

Od alkoholu miał zaczerwienione oczy.

– Dobra, nie możesz skłamać – powiedział, nachylając się. – Zamierzasz użyć później tego ciasta do jakichś konkretnych celów?

Roześmiałam się.

– Oj, daj spokój, Davidzie, idziemy do baru, pamiętasz? Ubieraj się. – Ale nie mówiłam szczerze, wcale nie chciałam, żeby się ubierał. Po prostu nie zamierzałam za bardzo mu ułatwiać. Wówczas nie traktowałby mnie poważnie.

– Czuję się rozczarowany – odrzekł, podchodząc powoli do okna. Patrzyłam, jak je otwiera. Wyobrażałam sobie, jak mięśnie ramienia napinają się pod szlafrokiem.

– Palisz? – rzucił przez ramię, gdy okno ustąpiło i do środka wpadła fala chłodnego powietrza.

– Czasami – odparłam, ruszając w jego stronę.

Podszedł do swojego płaszcza, ciągle leżącego na łóżku, wyjął paczkę papierosów – cameli – i tanią przezroczystą zapalniczkę. Ciemnoczerwoną. Potem wychylił się na zewnątrz, zapalił, zaciągnął się i podał mi papierosa. Też się wychyliłam i oto oboje opieraliśmy się o szorstki parapet, dzieląc się fajką, i w tamtej chwili nie chciałam być nigdzie indziej. Spojrzałam w dół na

ulicę. Śmietniki. Trzymające się za ręce pary wracające chwiejnym krokiem z pobliskiego baru. A wszystko skąpane w srebrnym świetle.

– No dobra, jeszcze jedno – odezwał się David.

– Jeszcze jedno i moja kolej.

– OK. Prawda czy wyzwanie?

– No, jak tak się wychyłam za okno, powiem raz jeszcze: prawda. – Zaśmiałam się. Dłonie opierałam na szorstkim zimnym kamieniu.

– Od pierwszej chwili zrozumiałaś, że ci się podobam? – Wypuścił dym i podał mi papierosa, nie odrywając ode mnie wzroku. – Musisz odpowiedzieć szczerze, pamiętaj.

– A kto mówi, że mi się podobasz? – spytałam, zaciągając się i odwracając wzrok, by spojrzeć na ulicę w dole.

– Wiedziałem, że ty się podobasz mnie – odrzekł, wyciągając rękę po papierosa. – Ale pewnie tak to jest z miłością: albo jest, albo jej nie ma.

Czułam, jak usta mi się rozchylają, wypuszczając dym.

– Więc mnie kochasz? – zakpiłam. – Rany, szybko poszło.

– Wiesz, o czym mówię – odrzekł, też spoglądając w dół.

I rzeczywiście wiedziałam. Tak było z Angusem, od pierwszej chwili, gdy usłyszałam jego głos.

Zmarzłam, więc cofnęłam się do środka, a David zgasił papierosa o parapet i poszedł w moje ślady. Stałam tyłem do niego, rozglądając się, ale słyszałam, jak okno się zamyka, chłód przestał napływać do pokoju, a potem jego dłoń dotknęła moich pleców, ciepłymi palcami. I odwróciłam się do niego. Kiedy przysunął się do mnie, poczułam bliskość jego ciała, a potem jego oddech na szyi, na brodzie, przy ustach. Miał szorstkie policzki.

I pocałował mnie. Miękkim językiem.

Smakował papierosami i pachniał limonką korzenną. Wszystko inne przestało się liczyć.

– Naprawdę masz siedmioro rodzeństwa? – spytałam cicho, odsuwając się i próbując rozładować napięcie. Nasze wargi ciągle się stykały. Czułam jego

oddech.

– Stalkowałaś mnie? – roześmiał się cicho, trzymając dłonie na mojej talii.

Uśmiechnęłam się.

– Nie, nie chciałoby mi się, myślałam wręcz, że jesteś dupkiem. Moja szefowa cię sprawdzała.

– Dupkiem? – spytał.

Nasze usta ciągle się stykały.

– Owszem. A jesteś?

– Tak jakby. Mam jedną siostrę rodzoną i sześcioro rodzeństwa przyrodniego z dwóch poprzednich małżeństw ojca... ale nie powinnaś wierzyć we wszystko, co wyczytasz.

– Wiem.

Znowu mnie pocałował. Nasze języki zetknęły się koniuszkami. Przytrzymał mnie dłońmi. Odsunęłam się. Ociupinkę.

– Prawda czy wyzwanie? – spytałam.

Wciągnął powietrze.

– Prawda.

– Twój ulubiony... – specjalnie zawiesiłam głos – ...kolor.

Zaczął się śmiać, widziałam, jak zęby mu błyskają w przyćmionym złotym świetle.

– Mógłbyś się zamknąć, proszę?

Uśmiechnął się szeroko, a potem znowu poczułam jego usta na swoich. I jego szorstki zarost.

Poprowadził mnie tyłem, jedną rękę trzymając na plecach, drugą na włosach, aż pchnął mnie na łóżko i położył się na mnie. Leżałam częściowo na jego płaszczu – wyciągnął go spode mnie i odrzucił. Miał ciężką i ciepłą klatkę piersiową, czułam to przez materiał sukienki. Nasze usta się muskały. Potem się uśmiechnął, ja też, i znowu mnie pocałował. Jego dłonie poruszały się pod moją sukienką, ciągnąc za gumkę rajstop. Ukląkł i zsunął je ze mnie powoli, z łydek, z kostek, ze stóp.

– Hej – powiedział. Pocałował moją stopę i zrzucił rajstopy na podłogę. Głos miał ochrypły, a oczy łagodne. Potem położył się obok mnie, dłonią gładząc mi twarz.

– Hej – odrzekłam cichutko, rozchylając usta. Dalej leżałam na plecach, wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po policzku. Szorstki zarost i miękka skóra. I przypomniałam sobie, jak ten zarost połyskiwał, gdy zauważyłam Davida w restauracji, jak zaciskały mu się szczęki, gdy starał się udawać, że mnie nie zauważył. Roześmiałam się.

– Z czego się śmiejesz? – spytał, podnosząc głowę. Pocałował moją dłoń, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Z niczego.

– Jestem śmieszny, tak? – Nachylił się nade mną, teraz opierając się na łokciu.

– Odrobinę – odparłam. Wsunęłam palce w jego włosy – miękkie – a potem jego usta natarły na moje, jego ręka sięgnęła w dół, rozwiązała pasek szlafroka, który zsunął mu się z ramion. Ściągnął mi majtki. Kolanem rozsunął moje nogi i cały czas patrzył mi w oczy.

A potem wszedł we mnie.

Oddychałam szybko, serce tłukło mi się o klatkę piersiową. Z nawyku wyciągnęłam ramiona za głowę, a on chwycił mnie za nadgarstki i przez chwilę myślałam o Angusie, ale potem poczułam zapach włosów Davida – korzenną limonkę – i nasze biodra się złączyły, czułam w uchu jego gorący, głośny oddech. I zapomniałam, przynajmniej na chwileczkę.

Tamtej nocy spałam mocno u boku Davida. Całkowicie nieświadoma, co przyniesie nadchodzący tydzień. No skąd miałam wiedzieć? Dopiero rano, o szóstej, wyrwał mnie z tego zadowolenia głos w mojej wyobraźni: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin...”.

I wtedy sobie przypomniałam.

sobota

Sun Tzu rzekł: Jeśli nie liczysz się ani z siłą wroga, ani też nie znasz własnej siły, możesz być pewny, że poniesiesz klęskę w każdej bitwie.

11 LUTEGO

Obudziłam się z ustami wduszonymi w poduszkę i we włosy. W pokoju unosił się słaby zapach papierosów, zasłony były rozchylone, wpływało przez nie szare poranne światło, delikatnie bębniąc na moich powiekach. Czułam obok siebie ciepło ciała Davida, jego ramię w talii i miękkie włosy pod palcami.

– Dzień dobry – wyszeptał mi w ucho.

– Dzień dobry – wychrypiałam. W zasięgu wzroku miałam nietknięte ciasto i pustą butelkę po szampanie. A kryształki żyrandola nad nimi rzucały odblaski na ścianę.

Na karku czułam jego oddech, usta leciutko dotykały mojej skóry, dostałam gęziej skórki.

Obróciłam się przodem do niego, a on odgarnął mi włosy z ust i zagarnął za ucho.

– Jak głowa? – spytał.

– W porządku – wyszeptałam.

Objął mnie. Całym swoim ciałem. Były to takie objęcia, które w ułamku sekundy mówią ci wszystko, co musisz wiedzieć o drugiej osobie.

– Boże – powiedział, przewracając się na plecy. – Ta noc była niesamowita. – Uśmiechał się do sufitu.

– Mhm... – odparłam, przewracając się na bok, tyłem do niego. Patrzyłam w okno, na światło odbijające się od butelki szampana, na moją czarną

sukienkę przewieszoną przez krzesło w rogu pokoju. To była jedna z tych chwil, które zapamiętam na zawsze. Już wtedy to wiedziałam. Polaroidowe zdjęcie z wyobrazonej talii, którą wszędzie ze sobą nosiłam. Jeden z tych nielicznych momentów w moim życiu, gdy wszystko było dobrze.

– Od lat się tak dobrze nie bawiłem – powiedział z ciężkim westchnieniem. – Chciałbym zostać z tobą na zawsze w tym łóżku.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć – wolną ręką właśnie przeczesywał włosy. Trochę ciemnoblond, trochę brązowe. Jak się ten kolor nazywa?

– A więc zróbmy tak – odparłam, po czym ponownie skierowałam wzrok na okno.

– Umowa stoi. – Znowu zaczął całować mnie po karku. Oddech miał ciepły, kłuł mnie zarostem. Z zimnej ulicy gdzieś na zewnątrz dobiegał szum samochodów.

– Więc powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem, Davidzie Turnerze – odezwałam się.

Roześmiał się, czułam jego oddech na uchu. I potem jego zęby. Delikatnie.

– Hmm... wydaje mi się, że wiesz już wszystko – zaśmiał się. – A co byś chciała wiedzieć?

– Cokolwiek. – Był taki ciepły w ten zimny lutowy poranek.

– Cokolwiek?

– Tak, cokolwiek.

– No dobrze. – Westchnął głęboko. – Mam syfilis.

– Och, daj spokój. No nie, poważnie, powiedz mi coś. Chcę cię poznać.

– Na przykład co? – Teraz słyszałam w jego głosie wahanie. To powinno było mnie ostrzec.

– Na przykład to, co najmniej chcesz mi powiedzieć – zdecydowałam, odwracając się twarzą do niego.

A on milczał. Nie takim zamysłonym milczeniem, tylko takim głośnym, które zawsze podszyte jest bólem.

– Poważnie, powiedz mi cokolwiek – podjęłam.

Rozchylił leciutko usta.

– Właściwie jedną rzecz faktycznie powinienem ci powiedzieć – wydusił.

– Świetnie. Co to takiego?

Odchrząknął, widziałam, jak podskakuje mu jabłko Adama.

– No szybko – ponagliłam go. Panika krążyła mi w żyłach. – Za dużo napięcia.

– To fatalnie zabrzmiało, ale tak się tylko wydaje, więc daj mi wyjaśnić.

W jego oczach było coś ostrożnego i odsunął się ode mnie jeszcze kawałek, tak żeby należycie skupić wzrok na mojej twarzy.

– No dobra, co to jest? – Już się nie uśmiechałam, natomiast na pewno się skrzywiłam.

– Nie rób takiej miny. – Kciukiem rozmasował zmarszczki na moim czole.

– Co to jest? – powtórzyłam. Teraz już ponuro.

– Widzisz...

– Davidzie... Co to takiego?

– Jestem żonaty.

– Że co?! – Krew odpłynęła mi z twarzy. – Czy ciebie, kurwa, pogięło??? – syknęłam, odpychając go i zawijając się w splecione prześcieradło. Nieporadnie wylazłam z łóżka, a on został tam nagi i patrzył, jak idę przez pokój.

– Powiedziałaś, że dasz mi wyjaśnić – rzekł spokojnie.

– Wtedy sądziłam, że to jest coś, co można naprawić. – Serce mi waliło jak oszalałe, ale mówiłam cicho i spokojnie. Spłynął na mnie welon lodu. Miałam dość, tak strasznie dość facetów, którzy mnie oszukiwali. Chciałam po prostu pójść do domu.

Szybko przeszłam do łazienki, po drodze zgarniając sukienkę z krzesła, rajstopy z podłogi i majtki z kanapy. Trzasnęłam drzwiami i zasunęłam zasuwkę.

Przez noc rozmazał mi się tusz na oczach, więc zwilżyłam chusteczkę

z pudełka stojącego pod lustrem i próbowałam doprowadzić się do ładu. Łazienka była wielka i biała, miała ogromne czyste lustro, białe firanki na niedużym oknie, które wychodziło na tyły hotelu, i wielką wolno stojącą wannę na lwich łapach. Z takim pomieszczeniem powinny się kojarzyć miłe wspomnienia. Wiele razy korzystałam z takiej wanny z Angusem.

David zapukał delikatnie do drzwi.

– Taylor, to nie jest tak, jak myślisz – powiedział.

– Nie? – odparłam. Spuściłam chusteczkę i spryskałam twarz wodą. Sięgnęłam po ręcznik, żeby ją osuszyć, i przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze. Błada. Smutna.

– Mamy umowę.

– Boże drogi! – krzyknęłam przez drzwi. – Poważnie? – W lustrze pojawiła się twarz Kim, a potem Angusa. I mojego ojca. A potem mojej mamy, zalana łzami. – Dlaczego nic nie powiedziałaś? Nie sądziłaś, że nasza mała pogawędka „dlaczego ciągle jesteś singlem” była doskonałą okazją, żeby o tym napomknąć?

– Nie chciałem tego zepsuć – odrzekł.

– Czego? – spytałam, wycierając twarz. – Romansu?

– Nie.

Otworzyłam drzwi i minęłam go pędem, unikając jego wzroku.

– Nie ma tu nic do psucia – podjęłam, zakładając płaszcz. Sięgnęłam po torebkę, otworzyłam drzwi do pokoju, zatrzasnęłam je za sobą i tym pięknym złoto-czarnym korytarzem pognałam do windy. Buty zwisały mi w ręku, czułam się głupio. Naprawdę głupio.

A David? No cóż, dał mi odejść.

Łzy zaczęły grzecznie, aż weszłam do swojego mieszkania. Dopiero wtedy popłynęły. Ale za to jak: padłam na podłogę i leżałam jak odrzucony wiersz, który nigdy nie trafił do kosza na śmieci. Wyglądało na to, że gdziekolwiek pójde, komukolwiek zaufam, mężczyźni mnie okłamują. I to zawsze tak

wyglądało. Zaczynając od mojego ojca.

Pierwsze siedem lat mojego dzieciństwa było idyllą, w każdym razie w moich wspomnieniach: wakacje nad morzem, śmiech, zdmuchiwanie świeczek na torcie, choinki przybrane tandetną lametą, nawet jeśli na sam dzień Bożego Narodzenia byłam sama z mamą. Ale mniej więcej w tym czasie, gdy dowiedziałam się, że Świętego Mikołaja nie ma – który to fakt poznałam za pośrednictwem niejakej Emily, koleżanki ze szkoły, nie doszłam do tego sama – dowiedziałam się też, że nie ma również innego magicznego mężczyzny w moim życiu. Mojego ojca.

Albo raczej dowiedziała się o tym moja mama. A potem ja – z jej łez, jego oddalających się kroków, ze stosu gazet rosnącego przed wejściem, aż wniósł je do środka życzliwy sąsiad. Bo nie byłyśmy jego jedyną rodziną. Mama nie była jego jedyną żoną. Tamto życie i życie z nami łączyło tylko jego nazwisko – i dzięki temu właśnie ostatecznie został przyłapany. Karta kredytowa przysłana na niewłaściwy adres. Pewnie za szybko wypełniał formularz. Pokręciło mu się jedno z drugim. A może podświadomie chciał, by go przyłapano. W każdym razie to była jedna z tych sytuacji, które się widuje w popołudniowych talk show w TV i zakłada, że zaprezentowani ludzie są bezrobotnymi aktorami: bo przecież nikt nie jest taki głupi, prawda? Ja na jej/jego miejscu... Jasne! A jednak myśmy nie wiedziały. Poza tym, że bardzo dużo podróżował służbowo i że z byle powodu wszczynał kłótnie z matką, żeby tylko zniknąć na kilka tygodni – albo na ważne święta, takie jak Boże Narodzenie – nie wiedziałyśmy.

Mama nigdy się z tego wstrząsu nie pozbierała, a gdy ja poszłam do szkoły z internatem, zaczęłam mówić ludziom, że mój tato umarł, jak miałam siedem lat. Nawet Angus tak myślał. Bo w pewnym sensie ojciec umarł. Nigdy już go nie zobaczyłam. Choć jednak pojawił się w moim życiu na krótko niczym kometa, kształtował mnie – jak to celnie diagnozowała Charlotte. To przez niego całe życie niestrudzenie szukałam happy endu, dla którego zniosłabym wszystko. Tylko żeby sobie udowodnić, że happy end w ogóle istnieje. Podobnie jak małżeństwo, wesela, obrączki, kwiaty i suknie zawsze znaczyły dla mnie najwięcej. Jakby tylko ten ktoś, kto obieca, że mnie

nigdy nie opuści, mógł wypełnić pustkę, którą pozostawił po sobie ojciec, odchodząc.

Dawno już wyblakły wspomnienia o nim, a pustka ciągle była. Ale jednego wspomnienia, jednego obrazu nigdy nie zdołałam unicestwić: ojciec w koszuli w czerwono-zieloną kratkę, z papierosem w ustach, oczy żywo zielone. Przed nim na brązowym dywanie leży jakieś dziesięć płyt winylowych, a on szykuje składankę: Stonesi, Coltrane, Leonard Cohen, The Doors, Bob Dylan, James Taylor – mój imiennik – i jakieś ostatnie utwory Beatlesów. On podśpiewuje, ja też próbuję, ale nie znam słów. Melodia. I tylko ja i on na dywanie, i ta składanka. Wtedy po raz ostatni spędzaliśmy czas we dwójkę.

Zaraz po odejściu ojca mama wyrzuciła tę składankę, podobnie jak całe kartony rzeczy, których choćby dotknął. Ale są takie fotografie, robione mentalnym aparatem, które wypalają się nam w głowie na całe życie. I tamten obraz z ojcem pozostaje niekwestionowanym królem pakietu, do którego zawsze się odnoszę w najtrudniejszych momentach, szukając w nim potwierdzenia albo pocieszenia. W tamtej chwili polaroid z ojcem zajmował pozycję zaraz obok polaroida z Davidem, w łóżku, tuż zanim mi powiedział, że jest żonaty.

Przez półtorej godziny leżałam tak zwinięta jak kupka nieszczęścia. Na tyle wystarczyło mi łez. A gdy w końcu wyschły, wstałam, włączyłam czajnik i zrobiłam sobie herbaty. Uruchomiłam komputer: musiałam się skupić na pracy. Zaniedbałam ją, a potrzebowałam tego awansu – oznaczałby, że spłacę swoją kartę kredytową, że nie będę już żyła z dnia na dzień, z lepszym CV może z czasem znajdę bardziej lukratywną posadę. I praca była czymś konstruktywnym, na czym mogłam się skupić. Czymś niezwiązanym z facetami.

Bo od chwili zerwania pochłaniały mnie albo nienawiść do Angusa, albo znieczulanie, przy czym ani jedno, ani drugie nie skutkowało. Alkohol pomagał tyle co plasterki, a próby zemsty wbrew moim oczekiwaniom nie okazały się balsamem na rany. Wyobrażenie Angusa w łóżku w towarzystwie dwóch prostytutek z żółtymi kokardami wręcz nie dawało mi spokoju,

ilekroć traciłam czujność. Igraszki z Jamiem tylko jeszcze bardziej mnie skołowały, a po nocy z Davidem zostały mi rany większe niż na początku. Najlepiej by było, gdybym to wszystko zostawiła za sobą. Narysowała linię na piasku. Przekroczyła ją. Nic, co przed tą linią, nigdy się nie zdarzyło.

Tak, mogłam liczyć tylko na pracę. Tylko ją byłam w stanie kontrolować. I tylko tej jednej części mojego życia Angus nie mógł tknąć. Skupię się, pozbieram i zdobędę ten cholerny awans.

Okolo 16.30, po pięciu godzinach intensywnego skupienia, robiłam sobie przerwę i właśnie otwierałam lodówkę, poczułam na twarzy bijący z niej chłód. Włosy mi ciągle śmierdziały papierosami, zastanawiałam się, czy je umyć. I wtedy usłyszałam cichutki dźwięk. Delikatne pukanie: palcem w drewno. Najpierw to zignorowałam, ale przybrało na sile. I stało się bardziej natarczywe. Ktoś pukał do drzwi.

Zamknęłam lodówkę i podeszłam do wejścia.

– Kto tam? – spytałam.

– Ja.

Zerknęłam przez wizjer. Stał tam.

Angus.

W uszach mi zaszumiało. Oczy zaszły mgłą.

Cholera.

Co on tu robił? Chodziło o prostytutki?

Wie, że to ja?

– Cześć – powiedziałam przez drzwi.

Cholera.

– Otworzysz? – spytał.

Zagryzłam policzek, serce łomotało mi w piersi.

Znowu zerknęłam przez wizjer. Ręce, które wcześniej miał za plecami, teraz trzymał przed sobą. A w nich róże.

Kurwa.

Kiedys gdzieś czytałam, że sieć pająka jest mocniejsza niż stal. Moja miłość do Angusa też zawsze taka była: ledwie widoczna dla oka, ale niezniszczalna. A im bardziej się miotałam, tym bardziej się w nią wplątywałam. Naprawdę jednak sądziłam, że on przerwał tę nić, że wreszcie posunął się za daleko. Dopiero gdy stanął tam, po drugiej stronie moich drzwi, gdy jego obecność była wyczuwalna, zrozumiałam, że nici się postrzępiły, ale nie pękły. A im dłużej Angus tam stał, tym mocniej nić zaciskała się na moim sercu.

– Czego chcesz? – spytałam ostro. Wcale jednak nie czułam się pewnie.

– Kochanie, otwórz drzwi, bardzo cię proszę – odparł. Chyba nie był wściekły.

– Jestem zajęta. – Przyglądałam mu się, czekając, aż odejdzie.

– Taylor, proszę. – Głos mu się załamał, oczy patrzyły błagalnie w judasza. I nagle mój umysł wypełnił obraz: sutki Holly napierające na mnie, zapach jej piżmowych perfum i jej ciemne włosy muskające moją twarz. Policzki mi zapłonęły.

– Nie ma o czym rozmawiać, Angusie – powiedziałam spokojnym i cichym głosem.

– A mogę ci tylko to dać? – spytał, podnosząc kwiaty.

Zawirował we mnie płomień.

– O ile nie są to magiczne kwiaty, które umieją usuwać sekstaśmy z Internetu, to nie chcę ich – odparłam już nie tak spokojnie.

– Kochanie, wiem, że jesteś zła – nie poddawał się – ale naprawdę musimy pogadać. Bardzo cię proszę. – W jego oczach była jakaś łagodność, bezbronność, a to mi przypominało mężczyznę, którym był, gdy się poznaliśmy... tego, który organizował spontaniczne pikniki nad Sekwaną.

Zawahałam się.

– Kochanie, to ja, musisz ze mną chociaż porozmawiać. Nie zachowuj się niemądrze.

Westchnęłam i uchyliłam drzwi. Pachniał tak, jak pachniała jego różowa

koszula, zanim płyn do prania mnie tej woni pozbawił. I to mnie powaliło. Zaparło mi dech w piersi.

– Cześć – powiedział. Wpychał mi te kwiaty. Wyglądał na zmęczonego, jakby nie spał całą noc. Znowu pomyślałam o prostytutkach i żółtych kokardach i gardło mi się ścisnęło.

– Tak? – spytałam ochryple. – Czego chcesz?

– Kochanie, staram się naprawić sytuację – wyjaśnił, ruchem głowy wskazując kwiaty.

– A te kwiaty w czym niby mają pomóc? – Staralam się mówić cicho – sąsiedzi mieli otwarte szeroko okna – ale ostatecznie syknęłam: – Jeśli chcesz naprawić sytuację, zdejmij film i nigdy się już do mnie nie odzywaj.

Powiało na mnie jakimś pyłem, światło zrobiło się szare i blade. On był ubrany w niebieskie džinsy, kremowy pulower i granatowy szalik. Skórę miał opaloną, głowę zwiesił, wzrok wbił w ziemię.

– Zdjąłem – odrzekł. – Oczywiście, że go zdjąłem.

Tym mnie zaskoczył, aż zakręciło mi się w głowie.

– Kiedy? – spytałam. Sprawdzalam w środę, to jeszcze był.

– Wczoraj. Chciałem zrobić to wcześniej, ale wyjechałem w góry i nie miałem tam Internetu. Dzwoniłem do ciebie wczoraj – mówił dalej. Cicho. – Miałem urodziny, a bez ciebie było tak źle...

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale zabrakło mi słów. Na chwilę zobaczyłam oczy Davida i potem dwie żółte kokardy. Staralam się niczego po sobie nie okazać. Angus nie mógł się zorientować, że wiem o prostytutkach. Że wiem, jak spędził wczorajszy wieczór.

– Proszę – powtórzył. Wargi mu drżały, nie śmiał patrzeć mi w oczy. – Nie musisz mnie przyjmować z powrotem, ale daj mi wytłumaczyć, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. – Podniósł wzrok. W oczach miał łzy.

Przeprosin widziałam już wiele, ale przez półtora roku naszego związku nie widziałam, żeby Angus płakał. To mnie wytrąciło z równowagi.

Nagle jednak moją głowę wypełniły nagie ramiona Holly i jej śmiech.

– Angusie, wiesz, że ja nie chciałam trójkąta. Zrobiłam to dla ciebie. –

Mówiłam tak cicho, że prawie mnie nie było słychać. – A ty wrzuciłeś ten film do Internetu.

– Kochanie, jak to robiłem, byłem naćpany. – Łzy popłynęły, Angus starał się uspokoić głos.

– Byłeś naćpany? To ma być wymówka?

– Nie oczekuję, że mi wybaczysz – szeptał – ale chcę, byś zrozumiała, jak to się stało. Po naszym zerwaniu naćpałem się w trzy dupy. Zaraz jak cię odwiozłem, zadałem sobie pytanie, co ja, kurwa, nawyczyniałem. Tak wszystko zniszczyłem. Więc oglądałem ten film, bo tak bardzo za tobą tęskniłem, no i go, kurwa, wrzuciłem. Nie mam pojęcia, co ja sobie myślałem – mówił, łkając i kręcąc głową. – Byłem taki wkurwiony na to wszystko. Na siebie. Miałem nadzieję, że nigdy się nie dowiesz. A potem się dowiedziałas i dzwoniłaś do mnie, ale ja nie miałem siły odebrać, stchórzyłem. Strasznie się wstydziłem. – Przerwał i zacisnął zęby. – Więc wyparłem wszystko. Udawałem, że to się nie stało. Wiedziałem, że nigdy mi tego nie wybaczysz, bo przecież jak? – Podniósł na mnie wzrok, a błaganie w jego głosie niczym melasa wciekało w szczeliny mojego pancerza. I znowu spuścił wzrok.

– Angusie, tu chodzi nie tylko o taśmę. Również o całą resztę.

– Wiem, że to wszystko moja wina. – Stał, kręcąc głową. – Zaslugujesz na kogoś lepszego. I dlatego zgłosiłem się do anonimowych narkomanów, Taylor – wyznał cichutko. – Chodzę na mityngi, mam sponsora i tak dalej. – Zwiesił ramiona. Ciemne włosy miał przetłuszczzone. – Wiem, że to wszystko było złe i bardzo trudne dla ciebie. Ale chcę być człowiekiem, na jakiego zaslugujesz. Kochanie, przemyśl to. Do wszystkich kryzysów między nami zawsze dochodziło, jak byłem naćpany.

Miał rację: wszystko przez prochy. I kiedy stałam, patrząc na niego, gorąco pragnęłam, żeby tę sytuację dało się jakoś naprawić. Żeby było tak, jak powinno.

Robiło się niebezpiecznie. Miękłam. On musiał sobie pójść.

– To wspaniale – powiedziała cicho. – Mam wielką nadzieję, że te

spotkania ci pomogą, ale musisz już iść, naprawdę. – I chciałam zamknąć drzwi.

– Kochanie. – Sięgnął ramieniem, żeby mnie powstrzymać. – Znasz mnie. Wiesz, jakie to dla mnie trudne: wyciągnąć rękę, okazać słabość. Nie chodzę do AN na herbatkę. Robię to, bo nie mogę cię stracić. Po prostu nie mogę. Zbyt wiele dla mnie znaczysz. Ale wydaje mi się, że bez ciebie nie dam rady. Boże, naprawdę, chyba nie mogę... – Jego wzrok znowu padł na punkt w podłodze między stopami. – Chyba nie jestem w stanie żyć bez ciebie. No spójrz na mnie: nawet nie mogę spać, gdy ciebie nie ma w łóżku. Te ostatnie dziesięć dni to było piekło. – Podniósł wzrok, a jego oczy przebiły się prosto do mojego rdzenia. – Jesteś moją niedzielną dziewczyną, kochanie. Zawsze będziesz.

Zaczerpnęłam powietrza i uspokoiłam myśli. Dziesięć dni? Miałam wrażenie, że minęło dziesięć tygodni. I nigdy niczego nie pragnęłam tak jak Angusa. On był moim happy endem. Nagle jednak zalała mnie gorąca fala gniewu: on, Kim, migocząca biel stoku narciarskiego...

– A co z Kim, Angusie? – spytałam kąśliwie. – Wiem, że zabrałeś ją na narty. Widziałam zdjęcia. Jaki dzień jej przypisałeś? Poniedziałek?

Patrzył, jakbym walnęła go pięścią w brzuch.

– To był błąd – powiedział mi w oczy.

– Owszem. Ostatnio popełniłeś wiele błędów.

– Ona nic nie znaczy w moim życiu – dodał. Powoli. Jakby mu zależało, żebym zrozumiała.

– No to miło wiedzieć, że poświęciłeś mnie na coś, co nic dla ciebie nie znaczy – odparłam, rzucając kwiaty na ziemię.

– Jezu, jak możesz być taka zimna? – spytał, przysuwając się do mnie i ujmując moją twarz w dłonie. – Po prostu się pogubiłem, najdroższa. – Bez przekonania próbowałam się odsunąć, ale gdy tak zaglądał mi w oczy, moje serce biło jak oszalałe. – Chcę, żebyś to zrozumiała. Bo masz rację, popełniłem za dużo błędów. Ogromnych błędów. Szczerze mówiąc, chwilami całe moje życie wydaje się jednym wielkim błędem. Wszystko

oprócz ciebie. Kocham cię.

Jego oddech pachniał miętówkami. A on był taki ciepły.

– Ale Kim to nie ty. Nikt nie może zastąpić ciebie. Ty jesteś moim domem, czy ci się to podoba czy nie. – Pocałował mnie, cały drżący. Delikatnie. To było takie czułe, on smakował tak znajomo, a cała siła, którą wciąż miałam, zaczęła mi się rozpuszczać na języku jak papier ryżowy.

Cofnęłam się, spojrzałam na jego twarz – niewielką bliznę na górnej wardze – i poczułam ból w sercu. O to właśnie chodziło w Angusie: zawsze w nim była jakaś pustka, bezbronność, którą ja chciałam wyleczyć. I po prostu nie sposób było mu nie wybaczyć. Nawet jeśli rozum błagał o coś wręcz przeciwnego.

– Mogę wejść? – spytał głębokim szeptem.

Czułam za plecami obecność kanapy, na której na pewno będziemy się kochać, jeśli go wpuszczę. Tej samej kanapy, na której po raz pierwszy wyszeptał „kocham cię”. W klatce piersiowej poczułam ostry ból. Omal go nie wpuściłam. Ale usłyszałam w uchu głos matki. Widziałam słone ślady wyschniętych łez na jej policzkach. Musiałam być silna.

– Nie – odparłam szeptem. Ponieważ stał w progu, odepchnęłam go i zamknęłam drzwi.

– Kochanie, to niczego nie zmienia – powiedział Angus łamiącym się głosem. – Po prostu przyjdę jutro. Nic nie poradzę. Ciągle cię kocham.

Wpatrywałam się w drzwi, opierając na nich dłonie, i słuchałam jego oddalających się kroków.

– Kocham cię – powtórzył, teraz już głośniej.

– Wracaj do siebie, Angusie – powiedziałam. Wiedziałam, że jeśli szybko nie odejdzie, ulegnę.

I przez moment był cicho. Słyszałam jego kroki po drugiej stronie drzwi.

– Jedyne, czego pragnę, to zacząć z tobą wszystko od nowa – powiedział. – Czyste płótno. Udawać, że to całe gówno się nie stało, i teraz zrobić to tak, jak trzeba. Wierzę, że na to zasługujemy.

Czekałam, aż się zmęczy i pójdzie sobie.

– Dobra – rzekł i zapadła cisza. Z drżeniem serca znowu czekałam na dźwięki, które oznaczałyby, że skapitulował, na jego oddalające się kroki. Ale to nie nastąpiło. Więc to ja w końcu odeszłam od drzwi. Szukałam komórki – chciałam sprawdzić, czy rzeczywiście film zniknął.

Znalazłam – ładowała się przy łóżku. Weszłam do mejla z linkiem, kliknęłam i nic. Link nie działał.

Film zniknął.

Czoło mi się wygładziło, ciężar zelżał, westchnęłam głęboko.

– Kochanie – Angus łomotał do drzwi – tu jest kurewsko zimno. Wpuść mnie, proszę.

Ruszyłam w stronę wejścia.

– Naprawdę nie możesz mi chociaż dać jakiegoś koca? – Jego głos dobiegał teraz z niższego punktu, jakby Angus siedział na progu. – Ty chyba nie rozumiesz, skarbie. Mogę tu zamieszkać na zawsze, wszystko mi jedno. – I najwyraźniej usłyszał moje kroki, bo ściszył głos, już nie krzyczał. – Dobra, zostaw mnie tu, zamarznię na śmierć. Ale mogę mieć ostatnią prośbę?

– Jaką?

– Poproszę to pomarańczowe bikini. Dotrzyma mi towarzystwa.

I nic więcej już mówić nie musiał.

Bo David dał mi niebezpieczne porównanie: był żonatym mężczyzną, którego żona wyrozumiale traktowała randki z innymi, mężczyzną, który rano dał mi tak po prostu odejść, ledwie mnie odprowadził do drzwi. Natomiast Angus, pomimo wszystkich naszych problemów, pomimo swoich wad, potrzebował mnie. A co więcej, udowodnił, że chce o mnie walczyć.

Więc sięgnęłam do zimnej metalowej zasuwki. Przekręciłam ją. I wpuściłam go.

niedziela

Sun Tzu rzekł: Wiodąc armię krętą drogą, można zwodzić wroga, wabiąc go w pułapki.

12 LUTEGO

Miałam na sobie jego zielony urodzinowy sweter i nic poza tym, gołe nogi zaplątały mi się w pościel. Z mojej maleńkiej kuchni dobiegały odgłosy zdradzające, że szykuje się kawa, i to one mnie wybudziły. Rozejrzałam się po pokoju: na środku stolika leżały niewielka kupka zdartego niebiesko-srebrnego papieru pakowego, kawałek wysychającego sera brie i kilka okruchów na desce, a obok stały róże w dzbanku na wodę. I po chwili pojawił się Angus, idący nago w stronę łóżka z dwoma kubkami w rękach. Przypomniałam sobie: wpuściłam go.

Odstawił kawę na (ciągle nieprzeczytany) egzemplarz „The New Yorker” po mojej stronie, a potem wskoczył do łóżka, które skrzypnęło.

Położył się przy mnie i wsunął nos w moje włosy.

– Boże, jak ja tęskniłem za twoim zapachem – powiedział. Zamknęłam oczy.

Ja też tęskniłam za Angusem. Miał takie ciepłe spojrzenie, a ostatnie dziesięć dni było takie burzliwe. Czułam się jak kwiat, który ledwo-ledwo przetrwał zamieć śnieżną.

– Strasznie wcześnie – odparłam. Mój głos skrzypiał jak łóżko. Opatulił mnie ciasno narzutą, swoją nogę przełożył przez moje uda. Patrzyłam w stronę okna: przez zasłony widać było skraweczek jaskrawobiałego nieba. A pod oknem, błyskając i wibrując, leżał na szafce nocnej mój telefon. Sięgnęłam po niego: Charlotte.

– Cześć – powiedziałam, odchrząknawszy.

– Cholera. Masz głos, jakbyś się dopiero obudziła. – Zerknęłam na zegar, była 10.07.

– Bo się dopiero obudziłam – odparłam, opierając się na łokciu i sięgając po kawę. – Co słyhać? – Wypiłam łyk kawy, mocnej, gorącej, i odstawiłam kubek.

– U mnie w porządku, ale jak piątek? Miałaś do mnie napisać z informacją, jaki on jest. Pamiętasz?

– Ach... – Ręka Angusa zniknęła pod kołdrą, jej ciepły dotyk spoczął na moim biodrze, a już po chwili muskała moje udo. – Próbowałam, ale był fatalny zasięg – powiedziałam. – No więc on był okropny.

– Kto był okropny? – spytał Angus, a ja wzrokiem kazałam mu być ciszej i odsunęłam komórkę.

– Ktoś z tobą jest? – spytała Charlotte ubawiona. – No, to teraz już rozumiem, że wczoraj nie zadzwoniłaś. – Roześmiała się.

Głęboko wciągnęłam powietrze.

– No tak.

– To Charlotte? – spytał Angus głośno. – Cześć, Charlotte – dodał do telefonu.

Zamilkła. Słyszałam, jak poruszają się trybiki w jej głowie.

– Czy to Angus? – spytała w końcu.

– Tak – odparłam cichutko.

– Co to, kurwa, ma być? – spytała.

– Rozumiem cię, ale nie znałyśmy całej prawdy.

Słyszałam, jak przetyka ślinę. Szukała słów.

– Przepraszam, ale mnie zatkało. Mówiłaś mamie? – spytała, panując nad głosem.

– Nie. To się stało dopiero tej nocy. I ona nie zrozumie.

– To jasne jak, kurwa, słońce. Kochanie... – weszła na wysoki ton i przez chwilę się uspokajała. – Pomijając fakt, że zabrał na narty jakąś inną dziewczynę zaraz po waszym zerwaniu, to wrzucił do Internetu sekstaśmę

z tobą. Zapomniałaś już?

Angus całował mnie w kark, głowę miał przy telefonie, a nie chciałam, żeby usłyszał, co mówi Charlotte, więc odsunęłam się i wychyliłam jeszcze bardziej na swoją stronę łóżka.

– Wiem, to naprawdę nie jest takie proste, no i już go usunął. – Mimo że tak powiedziałam, czułam, że ona ma rację.

– Och, usunął go? Ileż w tym galanterii.

Chwilę milczaliśmy, ona oddychała, potem ja, potem ona, potem ja, aż wreszcie się odezwała.

– To fiut, kochanie. Przykro mi, ale musisz od niego spierdalać. Natychmiast.

Zaczerpnęłam powietrza.

– Mogę porozmawiać o tym z tobą kiedy indziej? Naprawdę wierzę, że zrozumiesz, jak usłyszysz, dlaczego to wszystko się stało. – Obejrzałam się na Angusa, który teraz leżał na plecach z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Niczego, kurwa, nie zrozumiem – odparła Charlotte. – Ale dobra. Może jutro wieczorem? W tym tygodniu jest przerwa semestralna, więc w czwartek jadę do Szkocji na cztery dni. Czyli w tym tygodniu jogi nie ma.

– Pewnie, jutro mi pasuje.

– Ja pierniczę, Taylor – powiedziała, głośno wypuszczając powietrze – czasami mnie martwisz. Ale Kocham cię i pogadamy jutro.

– Też cię Kocham – odparłam. I rozłączyliśmy się.

Obróciłam się, żeby być przodem do Angusa, a on wsunął dłonie pod mój sweter i połaskotał mnie, przyciągając do siebie.

– Nie – śmiałam się, gdy mnie przytulał.

– Tak – odparł, też ze śmiechem. A potem łaskotanie ustało i leżeliśmy kilka chwil, podczas gdy słowa Charlotte odbijały się echem w mojej głowie. Miała rację?

– Będzie dobrze – powiedział w moje włosy, jakby czytał mi w myślach. – Ona musi się tylko oswoić z tą sytuacją.

Odsunęłam się i spojrzałam na niego: opalona skóra, gęste rzęsy, silna szczęka, ciemne włosy siwiejące na skroniach i troszkę spłaszczony koniuszek długiego, wyrafinowanego nosa.

– Może – odrzekłam. Westchnęłam głośno i wtuliłam głowę w ciepłe miejsce między jego brodą a klatką piersiową.

– Co chcesz dzisiaj robić? – spytał, głaszcząc mnie po włosach.

– Mam trochę roboty. To ważne i jestem już bardzo spóźniona.

– Jakiś wielki projekt?

– Naprawdę wielki. Awansowy. – Przypomniał mi się David. Spałam z naszym najważniejszym klientem i nawet się nie wymieniliśmy numerami. Jakim cudem?!

– To cudownie, kochanie. A co to takiego? – spytał Angus, siadając.

– Dużo by opowiadać i to chyba tajemnica. Ale... mamy nowego klienta. Mam mu znaleźć coś na inwestycję, mnóstwo nas przy tym pracuje.

– O, brzmi podniecająco. Przyniosę ci laptop. – Nigdy wcześniej Angus nie przejawiał zainteresowania moją pracą. Wyglądało na to, że się rzeczywiście stara, że teraz naprawdę wszystko ma być inaczej.

– To może poczekać – odparłam, dotykając jego ramienia.

– Nie, zrób to już, a ja przygotuję coś do jedzenia. – Podeszedł do biblioteczki po mój sprzęt. Gdy nachylał się, by postawić go przy mnie, czułam jego zapach: pot, piżmo, kawa. – Co to za klient? – spytał, przechodząc do łazienki. Zostawił drzwi uchylone. Widziałam jego odbicie w szybie kabiny prysznicowej, gdy wciskałam guzik zasilania.

– Niejaki David Turner – odparłam. Aż mną wstrząsnęło, gdy wypowiedziałam jego nazwisko na głos, jakby był po prostu jednym z klientów.

Słyszałam, jak Angus sika. Był tak blisko.

– David Turner... – powtórzył. – Pierwszy raz słyszę.

Spuścił wodę, umył ręce, wytarł je i wrócił. Podeszedł do łóżka, sięgnął po telefon i zaczął coś pisać.

– Turner Group – dorzuciłam, czując ulgę, że nie poznali się na żadnej kolacji biznesowej jakimś zaszranym zrzędzeniem losu.

– O mój Boże, co za nudziarz – powiedział Angus, patrząc na swój ekran. – Nikt, kto jeszcze nie posiwiął, nie powinien być filantropem. To po prostu śmierdzi z daleka. No ile ten gościu ma lat? Czterdzieści?

Trzydzieści osiem.

– No, to co tam dla niego masz? – spytał, spoglądając na mnie.

– Pieprzyć to – odparłam z uśmiechem.

– Hmm, więc dowolna inwestycja? Pod warunkiem, że to nieruchomość? – spytał, ściągając brwi.

– Tak. Ale musi to być coś sprytnego, coś takiego, na co nikt inny jeszcze nie wpadł.

– Dobra. – Usiadł obok mnie. – Może w sumie mam pewien pomysł... Może się nada... Eastbourne. Co ty na to?

– To miasto na wybrzeżu? – spytałam z powątpiewaniem.

– Tak. Tam się teraz organizuje duża budowa – mówił powoli. – Większość ziemi kupił już Nikołaj Stiepanowicz. To cały nowy plan kreowania przestrzeni publicznej. Ten jest skierowany do osób powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia: budownictwo pod wynajem, szpital, tego typu sprawy. Miał już ustawionych wszystkich inwestorów, ale jeden z nich się nieoczekiwanie wycofał.

Słuchałam, kiwając głową i przyswajając jego słowa. Słyszałam o Stiepanowiczu: jego ostatnia inwestycja całkowicie przeobraziła przedmieścia Oksfordu, ceny domów w okolicy w ciągu pięciu lat się potroiły, a z przestarzałej dzielnicy sklepików wyrosło wielkie centrum handlowe. Skutki były niewyobrażalne. Ale ten plan opierał się na bardzo wyselekcjonowanym kręgu najzamożniejszych inwestorów. Nigdy nawet nie trafił na rynek. Zaangażowanie Davida w coś takiego byłoby wielkim zwycięstwem. Tego właśnie szukał.

– Prace budowlane mają się zacząć w maju, więc szukają już nowej inwestycji. No i stracili wielką sumę, więc będą potrzebowali kilku

inwestorów dla uzupełnienia deficytu: jeśli ten twój David Turner chce sobie trochę zarobić, to ma szansę.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – spytałam.

– Chcieliśmy ich reprezentować. Do zdobycia były wielkie pieniądze, ale ci idioci poszli do kogoś innego. Kumpel jeszcze ze szkoły powiedział mi o tym inwestorze, który odpadł. To było bardzo poufne, ale wiedział, jaki byłem wkurzony, kiedy Stiepanowicz z nas zrezygnował, i sądził, że to mnie ubawi. No i rzeczywiście, ubawiło. To nie koniec – dodał z absolutną powagą. – Musimy omówić coś o wiele ważniejszego, zanim choćby pomyślisz o jakichkolwiek działaniach.

– Co takiego?

– Chcę, żebyś się dobrze, bardzo dobrze zastanowiła, zanim odpowiesz. Żadnych odruchowych reakcji.

Wiedziałam, o co mu chodzi.

– Jajecznicą – odpowiedziałam.

– Doskonale. – Z szerokim uśmiechem wrócił do kuchni.

– Dziękuję – krzyknęłam za nim i przeszłam do poczty. Otworzyłam nową wiadomość, wpisałam adres Val i opisałam plan Eastbourne. Zasugerowałam, że to może być doskonała okazja dla Davida. A gdy wpisałam jego imię, przypomniałam sobie jego oczy – z bliska wydawały się granatowe. Przegnałam ten obraz i dodałam, że musimy jak najszybciej porozmawiać. A potem kliknęłam „wyślij”.

Angus włączył światło, wchodząc do swojego mieszkania. Jego znajomy zapach wypełnił moje nozdrza, spięłam się. Nie czułam się tu dobrze. Zamknął drzwi za nami, wprowadził do sypialni moją walizkę z kosmetykami i zapasowymi ubraniami, które zawsze u niego trzymałam, a potem podszedł do Eda. Jego klatka dalej stała przy oknie. Zerknęłam w lewo na kuchnię, gdzie niedawno zorganizowałam przeciek – teraz nie było po nim śladu.

Angus podszedł do mnie, objął mnie ramieniem i zaprowadził do sypialni.

– Witaj w domu – rzekł ciepło.

Odpowiedziałam uśmiechem i szybko zerknęłam na mahoniową komodę – szczęśliwe skarpetki Angusa nadal znajdowały się w moim mieszkaniu. A pani Clifton na pewno już znalazła kokainę, którą jej wrzuciłam na balkon. Zerknęłam na łóżko i zadrżałam. Spał na nim z prostytutkami? Na tę myśl zalał mnie gniew. Ale co ja tu mam do osądzania? Sama je przecież zamówiłam. A przez czas, gdy byliśmy osobno, raczej nie robiłam za wzór cnót.

Nachylił się i ujął moją twarz w dłonie. I pocałował mnie. Przyszło mi do głowy, że smakuje gumą miętową, a nie szkocką, jak zwykle. Czyli naprawdę się starał.

– Rozbierz się, kochanie – powiedział, ruszając do garderoby. – Mam niespodziankę. – Puls mi przyspieszył, gdy rozpinałam suwak sukienki, która zaraz spadła na podłogę.

Obejrzał się.

– Bieliznę też.

– Co robisz? – spytałam, zdejmując stanik i majtki.

– Szukam czegoś... – odrzekł. – O, już mam.

Podszedł do mnie. Spojrzałam na jego dłonie: trzymał w nich wielką żółtą wstążkę. Jej końce zwisały w powietrzu.

Spojrzałam na niego pytająco, dysząc ciężko.

– Och, nie bój się, to tylko zabawa. – Wyciągnął ręce i związał wstążką moje dłonie.

Mój umysł pracował gorączkowo.

Czy on wie?

– Teraz położę się na łóżku i chcę, żebyś przeszła się tak po sypialni – dodał.

Głośno przelknęłam ślinę.

– Czuję się głupio – zamrugałam szybko powiekami, gardło mi się

ścisnęło.

– Nic ci nie będzie. Będzie fajnie. Zaufaj mi.

Położył się na łóżku, ułożył sobie poduszki pod głowę, a ja wyszłam z sypialni. Drżałam, gdy przechodziłam przez próg. Ale on po prostu leżał, czekając na mnie jak gdyby nigdy nic. „Skąd ten pomysł? Czy to jakiś sprawdzian?”

– Podejdź tu – polecił, poklepując pościel obok siebie. Obeszłam łóżko i stanęłam obok niego. Lampka nocna, z zielonym abażurem i bursztynową żarówką, rzucała dziwny cień na bok twarzy Angusa. Czułam, jak krew mi pulsuje.

Wyciągnął rękę, delikatnie pociągnął za kokardę, rozpakowując mnie niczym prezent gwiazdkowy. Przyciągnął mnie do siebie i położył na łóżku. I nagle był nade mną, a ręce miał między moimi nogami.

Później leżałam w łóżku, w jego objęciach, z głową na jego klatce piersiowej, jego palce głaskały moje ramię, a wszystkie podejrzenia pierzchły. „On nie wie. Wyczułabym to”.

– Angus?

– Hmm? – Oczy miał półprzymknięte, oddychał ciężko, zapadając w sen.

– Mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście. To jest w kłótniach cudowne: dzięki nim związek staje się silniejszy, o ile go oczywiście nie zniszczą. Chcę, żebyś mi mówiła absolutnie wszystko i o wszystko mnie pytała. – Oczy miał teraz otwarte. Wpatrywał się w sufit. I powiedział to tak, że przyszło mi do głowy, że też mnie chce o coś spytać.

Przełknęłam ślinę.

– Co się stało z Kim?

Zrobił głęboki wdech, jego klatka piersiowa uniosła się wysoko.

– Popęlniłem błąd. Odruch. To było głupie – wyznał i wypuścił powietrze.

– Czy to z jej powodu zerwaliśmy? – Nie spuszczałam wzroku z jego twarzy, wypatrując mgnienia prawdy.

– Nie – odrzekł, układając się nade mną i zaglądając mi w oczy. – Oczywiście, że nie. Jestem po prostu idiotą. Bałem się. Znasz mnie, mam czterdzieści dwa lata i...

– Czterdzieści trzy – przypomniałam.

– Dobra, czterdzieści trzy, mądralo, i nigdy jeszcze nie byłem w tak poważnym związku jak nasz. Wiem, że to trąci frazesem, ale naprawdę się przeraziłem.

– Czego? – spytałam. Czułam zapach jego skóry, korzennej wody kolońskiej.

– Że cię rozczaruję – odrzekł łamiącym się głosem.

– Jak miałbyś mnie rozczarować?

– No, popatrz na niektóre rzeczy, które zrobiłem. Były straszne. Wiem. Sam sobie nie ufałem. Więc uznałem, że łatwiej to zakończyć.

– A Kim? – Nie chciałam wałkować tematu, ale musiałam mieć pewność.

– Kim się po prostu nawinęła pod rękę. Ale kocham ciebie i nigdy już nigdzie nie pojedę.

A ja mu uwierzyłam.

I wtedy jego wargi – suche, ale miękkie – znalazły moje, nasze palce się splotły i wszystkie pytania zniknęły.

– Teraz moja kolej – rzekł. Leżał na plecach, ja trzymałam głowę na jego ramieniu. – Mogę cię o coś spytać? – Dochodziła północ, oczy miałam przymknięte. Znowu się kochaliśmy, w mieszkaniu panowała cisza. Wszyscy sąsiedzi albo wyjechali za miasto, albo udali się już na spoczynek. Miałam wrażenie, że nasza lampka nocna to jedyne światło na całej półkuli północnej.

– Oczywiście – odparłam, głaszcząc jego klatkę piersiową.

– Gdyby się wydarzyło coś, co by cię bardzo, bardzo zdenerwowało, to chciałabyś, żebym ci o tym powiedział, czy wolałabyś, żebym to zachował dla siebie?

– Słucham? – Pomyślałam o Davidzie i Jamiem, jak Angus by się czuł, gdybym mu o nich powiedziała. Czułam, jak serce mi się zatrzymuje. – Na przykład co? Co masz na myśli? – spytałam, wysuwając się z jego objęć, żeby móc na niego spojrzeć.

– W zasadzie nic strasznego – zaczął, ale jednak zamilkł.

– Nie, Angusie, chciałabym, żebyś mi powiedział. – Hipokrytka.

Spojrzał na mnie niepewnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Głośno przełknął ślinę, a otwarte okno sypialni zagrzechotało na wietrze.

– To, co robiliśmy wcześniej... to z tą wstążką...

– Tak?

– No więc ja tego nie wymyśliłem.

– Nie? – spytałam cicho. O cholera. O cholera.

– Nie ja to wymyśliłem, to ktoś inny – kontynuował, odwracając ode mnie wzrok. – Proszę, obiecaj, że nie będziesz się złościć.

– Obiecuję. – Kurwa. – Chcę, żebyś mi wszystko powiedział.

Obejrzał się na mnie z rezerwą.

– Dobra, no więc w piątek coś się wydarzyło. – Posłał mi zbolące spojrzenie. – W moje urodziny. – Wziął mnie za rękę. – Pojawiły się tu dwie kobiety w płaszczach, a pod spodem miały na sobie tylko żółte kokardy zawiązane w pasie.

Patrzyłam na niego, usta mi zdrętwiały, jak zawsze, gdy kłamię. Próbowałam się odprężyć.

– No nie wiem, jak to powiedzieć ładnie, kochanie... to były prostytutki. Ktoś mi przysłał na urodziny prostytutki. – Patrzył mi prosto w oczy.

– Co takiego? Kto?! – spytałam. Jaka oburzona! Kłamczucha.

- Naprawdę nie wiem. To w ogóle nie wszystko, ale daj mi dokończyć.
- Dobra. – Wpatrywałam się w niego, próbując odgadnąć, czy z nimi spał.
- Chcę ci powiedzieć, że nie pozwoliłem im zostać, nie uprawiałem z nimi seksu, tylko je po prostu odesłałem. Spędziły tu maksimum trzy minuty. Z początku myślałem, że może się zgubiły czy coś.
- A co to ma wspólnego ze wstążką?
- No więc wyszły. Zdenerwowały się, natomiast wyszły. Ale jedna z nich rzuciła mi w złości pod nogi swoją wstążkę.
- Żółtą? Tę żółtą wstążkę? – spytałam, sięgając po tamtą rzuconą na podłogę.
- Tak, tę żółtą wstążkę – potwierdził, odwracając wzrok.
- Faj, Angusie, jak mogłeś mi to zawiązać?
- Bo to było... wiem, że to brzmi fatalnie... to było podniecające. Nie mogłem się zgodzić, bo cały czas myślałem o tobie. Wiedziałem, że to już na pewno będzie koniec, jeśli to zrobię. Ale chciałem.
- Och.
- Nadal nie wiem, kto je przysłał. Z początku sądziłem, że to Harry. – Harry był jego najbliższym przyjacielem, za to ja go nigdy nie polubiłam. Głównie dlatego, że przysyłanie prostytutek na urodziny było numerem dokładnie w jego stylu. – Ale wczoraj rano zadzwoniła Candice i powiedziała, że zapłacono za nie moją kartą kredytową. To musiał być któryś z tych zawistnych zębów w robocie, co nie? – spytał, zerkając na mnie. – To jedyne sensowne tłumaczenie. Albo może Candice. Spójrzmy prawdzie w oczy: ona chętnie by mnie dopadła. Powiedziałem, że to nie ja, ale ona dalej, że już dzwoniła do tej agencji, a oni twierdzą, że to ja zamówiłem te dziwki. I że jeśli nie zapłacę, wniosą skargę. – Przełknął ślinę. – Dokąd, kurwa, ten świat zmierza? Teraz w ogóle nie odbierają naszych telefonów. – Głęboki oddech. – Powinienem donieść, że prowadzą burdel – dokończył.
- Boże... – Poczucie winy dusiło mnie od wewnątrz. – Co za koszmar. A nie możesz wstrzymać płacności? A jeśli spróbują wnieść skargę, powiesz, że je odesłałeś?

– Już to zrobiliśmy. Ale nie w tym rzecz. Zamawianie dziwek na firmową kartę wygląda naprawdę fatalnie, jeśli nie znajdę dobrej wymówki, ukarzą mnie dla przykładu. No bo wiesz, to była jednak moja karta kredytowa. – Wypuścił powietrze. – Boże, boję się iść jutro do pracy. Będzie niezła nerwowa. Wiesz, jaka jest Candice.

– Owszem.

No bo wiedziałam. Przede wszystkim dlatego zamówiłam te prostytutki. Wiedziałam, że ona nakręci aferę. Była nieprawdopodobnie nadgorliwa i poprawna.

– Co za suka. Już napisała o wszystkim do Henry’ego, a mnie dołączyła do wiadomości! – Henry był jego szefem.

– Ile to kosztowało? – spytałam.

– Ponad trzy i pół tysiąca.

– Ale zaraz, skoro one tu były przez trzy minuty... to wychodzi ponad tysiąc funtów za minutę... – Improwizowałam. – Powinnam zmienić pracę. – Uśmiechnęłam się.

– Owszem – przyznał, przekręcając się z uśmiechem w moją stronę. Patrzył na mnie z ognikiem w oczach. – Jaki sobie byś wybrała pseudonim? – To pytanie można by uznać za dziwne, ale ja nie mogłam się doczekać wybawienia z kłamstw.

– Boże, nie mam pojęcia... Candy Cane? – zaśmiałam się.

– Nie, na pierwsze musisz wziąć imię swojego zwierzaka, a na nazwisko ulicę, na której się wychowałeś. Na pewno znasz tę zabawę.

– Dobra. Fluffy Kramer.

– Mocne.

– Dzięki, Jenkins Leigh – zażartowałam.

– Jakim cudem pamiętasz na mój temat absolutnie wszystko? – spytał, nachylając się do pocałunku.

– To proste. Kocham cię. Ale co zamierzasz zrobić? – spytałam. – Z tym rachunkiem?

– Kochanie, nie mam pojęcia. Ale coś zrobić muszę. Nie stać mnie na stratę pracy.

I w tym momencie najwyraźniej byliśmy sobie wari: on wrzucił moją sekstaśmę do Internetu, ja zamówiłam dwie prostytutki na jego firmową kartę kredytową.

– Tak, rozumiem. – Spuściłam wzrok. – Jesteś pewien, że sam ich nie zamówiłeś? Może jak się nawaliłeś, zanim rzuciłeś? – Kłamstwa, kłamstwa.

– Nie. Nigdy w życiu nie płaciłem za seks – odparł. – Owszem, wchodziłem na różne strony, wiesz przecież, ale nigdy nie pociągnąłem za spust.

Przypomniał mi się ton mejla z potwierdzeniem: grzeczny, ale znajomy. Pasował zarówno do stałego klienta, jak i nowego gościa z gestem. A jeśli Angus mówił prawdę?

Jasna dupa.

– Więc nie, przysięgam, ja ich nie zamówiłem, kochanie. – Uroczyście nakreślił dłonią znak krzyża na sercu. – Ale muszę się dowiedzieć, kto to zrobił.

poniedziałek

Sun Tzu rzekł: Jeśli intencje posłów są nieszczerze i proszą o zawieszenie broni, to znaczy, że blefują.

13 LUTEGO

– Jesteś gotowa? – spytała Val, a ja obróciłam całym krzesłem, żeby na nią spojrzeć. Stała za mną z kubkiem ze Starbucksa, na którym grubym czarnym markerem nakreślono uśmiechniętą buzię i „Val”. Pod pachą trzymała szarą plastikową teczkę pełną dokumentów i miała na sobie żakiet. W tym problem: żakiet oznaczał spotkanie.

Spojrzałam na nią tępo.

Był poniedziałkowy ranek. Od piątku wiele się wydarzyło. A ja tak bardzo się koncentrowałam na żółtych wstążkach i Felicii wyciągającej czerwone koronki z różowego kartonika, że nawet nie zerknęłam, co mam na dzisiaj w kalendarzu.

Mam nadzieję, że niedługo Cię w tym zobaczę. Ucałowania. A.

Kurwa.

– Spotkanie z Davidem – wyjaśniła Val. – Masz w kalendarzu... ale musimy się pospieszyć, on ma do dyspozycji tylko piętnaście minut, mamy szczęście, że tak szybko znalazł dla nas czas.

– Aha – odparłam, szeroko otwierając oczy. Jasna dupa. Jasna dupa.

– Nie potrzebuje nas obu, może ty pójdziesz, a ja dalej będę nad tym pracować – zaproponowałam, już się odwracając do komputera.

– O nie. – Uśmiechnęła się. – Ty to znalazłaś, ty sobie przypiszesz zasługi, choćbyś nie chciała.

Zacisnęłam zęby.

Jasna dupa.

Jechałyśmy zwierciadlaną windą na dół, gdzie znajdowały się sale konferencyjne, a ja wpatrywałam się w swoje odbicie – bordowa sukienka, granatowy sweter, różowe policzki – i próbowałam uspokoić oddech. Puls. Na próżno.

Drzwi windy się otworzyły, w milczeniu podążyłyśmy szarym korytarzem w stronę drzwi na samym końcu. Val je otworzyła i weszłyśmy do środka. David już czekał, siedział przy wielkim stole, wpatrując się w stalowe niebo za oknem. Grafitowy garnitur, granatowy krawat i biała koszula. Przed nim stała biała porcelanowa filiżanka z kawą. Żadnych dokumentów, nic do pisania: widać było, że to bardzo ważna osoba.

– Witaj, Davidzie – powiedziała Val.

Odwrócił głowę, żeby się z nami przywitać, a ja natychmiast spuściłam wzrok: nie spodziewałam się, że będzie aż tak źle. Poczułam się naga.

– Witaj – dołączyłam. Ani myślałam patrzeć mu w oczy.

– Cześć – rzekł ciepło.

Usiadłyśmy i Val zaczęła:

– Mamy dobre wieści.

Czułam na sobie jego spojrzenie.

– No, nie powiem, że to moja zasługa – kontynuowała.

Czułam, do czego zmierza, więc przerwałam jej:

– To był wspólny wysiłek – podsunęłam, patrząc na nią, nie na niego – ale ja za głęboko tkwię teraz w szczegółach, Val. Może ty to przedstawisz? Zrobisz to zwięźlej.

– Nieprawda – odparowała, patrząc na mnie wyczekująco. Jej spojrzenie mówiło: „Proszę, wyjdź na scenę. Bardzo chcę cię awansować, pomóż mi. Musisz mieć dobrą odpowiedź, gdy na rozmowie zadam ci to straszne pytanie: »Czy możesz podać przykład sytuacji, gdy wykazałaś się inicjatywą?«” I wręczyła mi szarą teczkę. Otworzyłam ją: w środku leżało kilka dokumentów: projekty Eastbourne w obecnym stanie, formatu A3, bieżące informacje o cenach nieruchomości, seria liczb obrazujących siłę rażenia The Town Square – inwestycji Stiepanowicza w Oksfordzie –

zarówno w mieszkalnictwie, jak i w cenach rynkowych, i krótka lista kontaktów w Citexelu. To była firma Stiepanowicza. Ale gdy wyłożyłam je na stół, w głowie miałam tylko wspomnienie ciepła klatki piersiowej Davida, jego papierosowych ust i cichego szmerzącego głosu, gdy mówił: „Chciałbym zostać z tobą na zawsze w tym łóżku”.

Podniosłam wzrok i zaczęłam mówić – on przeglądał liczby na stole – ale język miałam zupełnie skołowaciały.

– Pewnie słyszałeś o Nikołaju Stiepanowiczu – zaczęłam, usiłując panować nad głosem. – I o Town Square w Oxfordshire. – Czułam się jak idiotka. Jak dziecko. Musiałam się wziąć w garść.

David spojrzał na mnie, kiwnął głową i nasze spojrzenia się spotkały: wyrzut adrenaliny. „Jestem żonaty. Mamy umowę...”

– No więc Stiepanowicz pracuje nad nowym projektem, gotów jest rozpocząć budowę w Eastbourne – mówiłam, przełknąwszy ślinę i próbując się skupić. – To kolejny plan o charakterze placemakingu, ale ten jest skierowany do osób po sześćdziesiątym piątym roku życia.

– Kamienice pod wynajem – przerwała Val. – Szpital, sklepy.

– Właśnie – uśmiechnęłam się do niej, nabierając pewności siebie. – A jeden z kluczowych inwestorów podobno się właśnie wycofał.

– Naprawdę? – spytał, zerkając szybko na dokument, i potem z powrotem na mnie. – To świetnie. Do Stiepanowicza nie sposób dotrzeć. Jak się dowiedziałaś?

– Z wiarygodnego źródła. – Przed oczami stanęła mi twarz Angusa, próbowałam teraz dla odmiany skupić się na niej. Mężczyzna, którego kocham.

– No dobra. – David znowu spojrzał na stalowe niebo, wyraz twarzy miał zamysłony, jego zarost połyskiwał rudo w ciepłym świetle, które wisiało nad nami. – To by było fenomenalne, gdyby nam się udało – powiedział. – Takiej właśnie okazji szukam. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Świetna robota – dodał, upijając łyk kawy, niewątpliwie już przestygłej.

Gardło mi się ścisnęło, próbowałam kontrolować wyraz twarzy. Bo Val

przyglądała się interakcji między nami, musiałam udawać, że wszystko jest w porządku. Musiałam udawać, że nie wiem, jak on wygląda nago. Jak to jest przytulić policzek do jego owłosionej klatki piersiowej. Czuć ciepło jego ciała. Jego wzrok wpatrzony we mnie, zanim się naprawdę obudzę – nie w moje oczy, tylko we mnie. Ale jak mogłam to wszystko udawać, skoro właśnie w tej chwili też się we mnie wpatrywał?

– Budowa ma się zacząć w maju, więc chcę szukać zastępstwa. Mamy umawiać spotkanie jak najszybciej czy chcesz najpierw przedstawić to zarządowi? – spytała Val profesjonalnym tonem.

– Z zarządem mogę się spotkać jeszcze dzisiaj, więc po południu dam wam znać, ale uważam, że należy w to wchodzić jak najszybciej. – I odwrócił się do mnie: – Mam szansę zabrać cię na biznesową kolację i podziękować?

Cholera.

– Och, to miłe, ale absolutnie niekonieczne – odparłam z wymuszonym uśmiechem.

– Nie, naprawdę byłoby mi bardzo miło. Daj mi znać, jaki termin by ci odpowiadał. – Oczywiście intencje tego zaproszenia wprowadziły mnie w zakłopotanie. Nawet ich nie ukrywał. Puls mi przyspieszył. Czy Val mnie wyda?

– Jasne, sprawdzę terminarz – zaproponowałam.

– Świetnie – rzekł.

– Świetnie – powtórzyłam, starając się nie patrzeć na niego ani na Val. – Cóż, wracajmy do pracy.

– Jasne – powiedział, zerkając, jak nieporadnie zbieram dokumenty, uśmiecham się i wstaję. Val ruszyła za mną do drzwi, potem David zrobił to samo. Uścisnęła mu dłoń, gdy go odprowadziłyśmy do recepcji. Ja nie. Nie byłam w stanie. Uśmiechnęłam się tylko grzecznie i ruszyłam do windy.

– Czy on cię zaprosił na randkę? – wyszeptła Val, dołączywszy do mnie przy windzie.

– Nie, oczywiście, że nie – odrzekłam, wciskając guzik raz za razem. Od fałszywego uśmiechu rozboleły mnie policzki. – Przecież chyba jest żonaty.

– Chyba, ale wiesz, jacy są faceci. Nigdy z nimi nie wiadomo. Spójrz tylko na Angusa.

Uśmiechnęłam się jeszcze raz i nic nie powiedziałam. Val najlepiej ze wszystkich widziała skutki uboczne Angusowej katastrofy. Nie była jego wielbicieleką i jakoś się nie paliłam, żeby jej powiedzieć, że znowu się zeszliśmy.

– No ale to jednak klient. Skoro naciska na kolację, dołączę w charakterze przyzwoitki – zaśmiała się. – To mu zamknie usta.

– No i co jest, kurwa, grane?

To Charlotte.

– Pytam poważnie. Kurwa – powtórzyła z ożywieniem, a dzin z tonikiem wychlupał się ze szklanki, którą trzymała w ręku. Siedziałyśmy w niewielkim barze na Leicester Square, spelunce, która śmierdziała jak sklep zoologiczny. Na ścianach wisiały tu paryskie plakaty i łatwo ją było przegapić, jeśli ktoś się zapatrzył w migające światła dzielnicy teatralnej i gołębie na Trafalgar Square. Stali goście wszyscy byli Brytyjczykami, przy czym większość stanowili różnego rodzaju wykładowcy. Pomimo takiej jednak lokalizacji Charlotte pozostała wierna dzinowi. Przede mną stał wielki kieliszek malbeca i popijałam, uważnie dobierając słowa na odpowiedź.

– Wiem, że był okropny – zaczęłam. – Sam to przyznaje. Ale... ale chodzi na spotkania anonimowych narkomanów – ściszyłam głos. – Ma sponsora i tak dalej. Naprawdę myślę, że tym razem będzie inaczej.

Chciałam, żeby się cieszyła moim szczęściem, ale ona sprawiała wrażenie zmartwionej. Nigdy nie uległa urokowi Angusa tak jak ja, i vice versa. On ciągle ją oskarżał o sączenie trucizny i nastawianie mnie przeciwko niemu. Niesłusznie. Ona się po prostu o mnie martwiła.

– Ludzie się nie zmieniają – powiedziała, marszcząc czoło. – W każdym razie nie na zawsze. I Angus nie może wszystkiego zrzucać na prochy, skarbie. To totalny wykręt. – Wysiorbała resztę dzinu, a potem siedziała, ssąc

kostki lodu, jedna nadymała jej policzek. Charlotte była wielkim orędownikiem marihuany i nie traktowała mile ludzi, którzy zwalali winę na narkotyki.

– Naprawdę mam nadzieję, że się mylisz – powiedziałam, spuszczać wzrok na drewniany stół i upijając łyk wina. W przyćmionym świetle migotało purpurowo i przylegało do ścianek kieliszka jak muszelki do skały.

– Też mam taką nadzieję. Ale, skarbie, poważnie: abstrahując od tej taśmy i wszystkich psychogierek, to jednak wziął na narty tę dziewczynę.

Dlatego nigdy nie powiedziałam Charlotte, jak mnie uderzył w twarz. Jak chwycił mnie za gardło. Nie znała Angusa tak jak ja: widziała tylko szalową fasadę, którą prezentował światu. Nigdy nie widziała bólu w jego oczach, gdy uświadamiał sobie, co zrobił. Pewnie by nie zrozumiała.

– No tak, ale ja poniekąd zrobiłam coś podobnego. – Bardzo chciałam, żeby zaakceptowała nasze pojednanie. Potrzebowałam tego.

– Masz na myśli tego prawnika?

Jamie, David, zemsta...

– Prawnika... i nie tylko – odrzekłam, marszcząc nos.

Podniosła brwi.

– Kiedy to się stało?

– W piątek. Jeden klient z pracy był w restauracji, w której miałam tę głównianą randkę.

I wtedy Charlotte się roześmiała. Bardzo głośno.

– No, to wypas. Dobra robota, kochana. Angus ma, kurwa, za swoje.

Rozejrzała się i gestem poprosiła kelnerkę o kolejnego drinka, a na stole zawibrowała moja komórka. Zerknęłam na ekran: Kiedy wracasz? Tęsknię. Angus.

Charlotte odwróciła się dokładnie w chwili, gdy odebrałam. Nie widziała ekranu, ale wiedziała, kto jest nadawcą wiadomości. Westchnęła, uśmiechnęła się, spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

– Wiem, że cię nie przekonam, żebyś do niego nie wracała, ale uważaj na

siebie, dobra? – I podniosła dłoń z wystawionym małym palcem.

– Dobra. – Podałam jej rękę.

I zrobiliśmy paluszkową przysięgę.

wtorek

Sun Tzu rzekł: Ten, kto wszedł w konflikt z wrogiem, ciągnący się wiele lat, i pragnie rozstrzygnąć go w decydującej bitwie, a pożałował żołnierzy, dystynkcji oraz paru sztuk złota, jest zupełnie pozbawiony wyczucia sytuacji.

14 LUTEGO

Jedną ręką trzymał mnie za włosy, drugą za biodro, i poruszał się we mnie rytmicznie. Leżałam nachylona twarzą do lustra. Dopiero co się obudziłam, nie byłam gotowa, więc skrzywiłam się z bólu. Ale on już wcześniej wiele razy budził mnie w ten sposób i zawsze mi się podobało. Skąd miał wiedzieć, że teraz marzę tylko o tym, by mnie objął, że tym razem oczekuję od tego związku czegoś innego.

– Zobacz, jaka jesteś ładna – powiedział, delikatnie pociągając mnie za włosy, tak bym spojrzała w lustro.

Nie byłam ładna. Na mojej zmęczonej twarzy ślady zostawił wczorajszy wieczór: podpuchnięte oczy i suche, poplamione winem usta. Ale to nie miało znaczenia. Bo to nie był jakiś przypadkowy mężczyzna. To był Angus. I to ten Angus, w którym się zakochałam, ten, w którego obecność gdzieś głęboko pod paskudztwem zawsze wierzyłam. Ten sam, który zabandażował mi rękę, gdy pocięłam sobie palec blenderem, robiąc mu ciasto w niedzielę na początku naszego związku – biszkopt waniliowy – a potem ucałował, pomógł mi lukrować ciasto i następnie je zjadł. Z tą całą krwią. Jakby to nie miało najmniejszego znaczenia. Ten, który w telefonie ustawił mi poranny przypomnierz o treści „kocham cię”. Jak to dobrze, że go odzyskałam.

Gdy wróciłam do domu poprzedniego dnia – nawet o jego mieszkaniu mówiłam znowu „dom” – czekał na mnie. Tuliliśmy się na kanapie, pijąc herbatę rumiankową. Objął mnie ramionami, ja wtuliłam się w ciepło jego

klatki piersiowej, i wypytał, jak mi minął dzień: jak było z Charlotte, czy na Val pomysł z Eastbourne zrobił wrażenie, czy cieszę się, że znowu z nim jestem. A potem rozmawialiśmy też o innych rzeczach: o zerwaniu. Jak mu przykro. Ile bólu zaznałam – ile bólu mi sprawiło zdjęcie jego z Kim. Jak bardzo mnie zdradził, wrzucając do sieci sekstaśmę. Opuściłam tego wieczoru gardę mego serca i naprawdę go wpuściłam do środka.

Choć nie do końca.

Czy kusilo mnie, by zaznać ulgi i powiedzieć mu wszystko? Tak. Ale w uszach jak alarm dzwoniły mi słowa Charlotte: „Tylko uważaj na siebie, dobra?”. Więc uważałam. Zachowałam w tajemnicy prostytutki, Felicię zza ściany, włamanie, Jamiego i Davida. To wszystko jednak zaprzętało mi myśli, przypominając o moich własnych występkach. I może dlatego to mi umknęło – zupełnie jak na pokazie magika, gdy się tak skupiasz na tym, co robi z rękami, że nie widzisz, jak jego asystentka wsadza królika do kapelusza. I tak właśnie powrót ostrego seksu nie zaalarmował mnie, choć powinien.

Poruszał się coraz szybciej. Trzymał mnie teraz silniej, szarpnął za włosy. Mocno. Napięły mi się mięśnie szyi, z trudem oddychałam.

– Kochanie, to boli – jęknęłam.

– Przepraszam – burknął. I puścił mnie.

Zwiesiłam głowę z wyraźną ulgą. Oczy miałam zamknięte, szukałam w wyobraźni wizerunku, uczucia, czegokolwiek, co mnie nakręci. Czegokolwiek, co zmniejszy tarcie. Słyszałam, jak dyszy ciężko i miałam nadzieję, że to zwiastuje rychły koniec. Mój umysł jak szalony przeszukiwał swoje kosze: na pewno coś gdzieś jest. Ale to, co mnie kręciło, zawsze było takie abstrakcyjne i ulotne, i tak trudne do przywołania na żądanie: szept, dotrzymane obietnice, wspólne sekrety. Tak więc szukałam i szukałam, ale na próżno.

Nagle jednak trafiłam na coś, właśnie gdy miałam się poddać i poprosić go, żeby przestał: nasze ostatnie wakacje, tuż przed Bożym Narodzeniem. Uciekliśmy przed londyńską zimą na Gran Canarię, na pięć dni. Miałam na sobie sznurkowe pomarańczowe bikini i jeden z jego T-shirtów, siedziałam

na białym balkonie, pijąc kawę, ciepłe poranne światło grzało mi nogi. On stał i podziwiał widoki – wodę połyskującą błękitem w zatoce, żółty piasek, fale, ściany guavy, palmy i maleńkie postaci turystów leżących na ręcznikach na plaży w oddali. Obejrzał się na mnie i rzekł: „Myślę, że nam się uda, kochanie. Nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie”. Wcześniej przechodziliśmy wielomiesięczny kryzys, a tuż przed wyjazdem zrobiliśmy nagranie z Holly. Ale gdy tylko te sylaby dotarły do moich bębenków, miałam wrażenie, że zgoda na ten trójkącik była najlepszym pomysłem w moim życiu – jakby to właśnie nas zaprowadziło z powrotem w tamto cudowne miejsce. Tamto cudowne miejsce, za którym tak tęskniłam.

– Ja też – potwierdziłam, uśmiechając się znad kawy.

Podszedł do mnie, nachylił się i pocałował mnie w czubek głowy.

– Chociaż jak się tak zastanowię – kontynuował – nie jestem pewien, czy to ciebie najbardziej pragnę, czy tego pomarańczowego bikini. Może po prostu muszę je mieć. – Wsunął ręce pod mój T-shirt, pociągnął za sznureczek na moich plecach i węzeł się rozwiązał.

– Cóż, obawiam się, że stanowimy niepodzielną całość – powiedziałam, podnosząc na niego wzrok. A on się uśmiechnął.

– Niech będzie. – Po czym zaprowadził mnie za rękę do sypialni.

– Podoba ci się to, prawda? – zapytał właśnie, wytrącając mnie z rozmyślań.

Otworzyłam oczy, on przyspieszył, jęknął głęboko i skończył. Objął mnie w pasie ramieniem, podniósł mój tułów do pionu i pocałował mnie w kark.

– Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek, kochanie – powiedział. I już szedł pod prysznic.

Opadłam na łóżko. „Dwie minuty i będę gotów”. Bolało, ale byłam szczęśliwa.

Włączył się prysznic. Pisnęła rura z ciepłą wodą. Jego głos odbijał się od kafli łazienki. Próbował śpiewać. Wyteżyłam słuch, żeby rozpoznać melodię.

– *Feeling good...*

Śpiewał naszą piosenkę.

– Mamo, przestań! Nie możesz się po prostu ucieszyć, że jestem szczęśliwa?!

– Jak? Powiedz mi, jak mam się cieszyć? To jest kompletny dupek.

Od dwóch minut prowadziłyśmy rozmowę, której tak bardzo się bałam. Spuściłam bombę już po pierwszej minucie, a jej głos od tamtego momentu tylko się wznosił i wznosił.

– Wiem, że nie zawsze był cudowny, ale...

– Ale co?

– Ale się zmienił. Naprawdę się stara. – Stałam w kuchni; tylko w tym jednym miejscu budynku był zasięg. I dlatego mówiłam ściszym głosem.

– Ludzie się nie zmieniają, kochanie – odparła. – Tylko udają.

– Słuchaj, sprawa z Angusem nie jest taka prosta, dzieją się inne rzeczy, rzeczy, o których nie wiesz – mówiłam, odwracając się plecami do siedzących przy biurkach ludzi.

– Córeczko, życie w ogóle jest skomplikowane. Po tym, jak ludzie sobie radzą z problemami, oceniasz ich charakter. Nie po tym, jak sobie radzą, gdy wszystko jest cudownie.

Miała rację.

Nabrałam powietrza.

– Wiem, że się martwisz, rozumiem to – powiedziałam – ale naprawdę jestem przekonana, że tym razem będzie inaczej. Czuję to.

Milczała. Słyszałam, jak przetyka ślinę.

– Bardzo się o ciebie boję, bardzo.

Zabolało mnie w piersi.

– Mamo, wszystko będzie dobrze – powiedziałam. Ujrzałam ją, jak leży skulona na kanapie: dygoce, płacze, takiej jej nigdy nie widziałam. To było zaraz po tym, jak odkryła prawdę o ojcu. I to mnie zawsze dręczyło.

– Mam nadzieję – odparła. – Naprawdę, mam nadzieję. – Jej głos brzmiał tak bezbrinnie... Tak bardzo chciałam tchnąć w nią pewność. Bo wiedziałam, co myśli. Nawet nie musiała tego mówić, słyszałam to.

– Angus to nie tata – zaproponowałam.

– Nie powiedziałaś, że nim jest.

– Dobra. – Nie chciałam się kłócić, chciałam po prostu mieć ten telefon za sobą i zapomnieć o nim.

Od ogromu jej rozczarowania brakowało mi tchu. Wiedziałam, że go nie lubi. I wiedziałam dlaczego. Ale ja go kochałam. I wierzyłam w niego. I sądziłam, że tym razem może być między nami inaczej. Naprawdę.

– No to w takim razie świetne wieści, skarbie – stwierdziła, siląc się na pogodny ton. A to zabolalo mnie o wiele bardziej niż jej zatroskanie.

– Dzięki, mamó – powiedziałaś, uśmiechając się twardo, tak żeby to usłyszała przez telefon.

– Musicie przyjść na obiad. Od miesiący nie widziałam Angusa.

– Przyjdziemy. Mamó, nie martw się, proszę.

– Nic nie poradzę, kochanie. Jestem twoją matką. Martwienie się to mój obowiązek.

Mało się nie roześmiałam.

– Obiecaj mi jedno.

– Co? – spytałam.

– Jeśli znowu stanie się agresywny, odejdziesz.

– Dobrze, ale się nie stanie.

– Mam nadzieję.

– Ale dobrze, obiecuję, że odejdę.

Mama była jedyną osobą, której wyznałam, że Angus mnie uderzył. I tak nie powiedziałam jej wszystkiego. Na przykład o ostrym seksie, po którym potrzebowałam lekarza. Albo jak walnął moją głową o ścianę, chwycił za gardło, aż dyszałam jak złota rybka. Jak miałabym powiedzieć własnej matce takie rzeczy?

Miłość do Angusa, te wszystkie tajemnice, których ode mnie wymagała, była najcudowniejszym rodzajem samotności, jakiego w życiu zaznałam. I dzięki temu Angus stał mi się jeszcze bliższy.

Ale nie byłam idiotką.

Wiedziałam, że to niedobrze, że Angus jest porywczy i potrafi się na mnie rzucić. Czytałam kiedyś artykuły w magazynach o kobietach w związkach przemocowych, miały połamane kości i podbite oczy. Oznaki były jednoznaczne. Moje nie – w każdym razie nie dla mnie. Pojawiało mi się więc pytanie, czy histeryzowałam, czy byłam dla niego niesprawiedliwa. Czy też może to naprawdę ja go doprowadzałam do ostateczności? Wiem, że nieraz odpyskowałam, gdy mogłam siedzieć cicho. I przekonywałam siebie, że to była prawda: rzeczywiście dużą winę ponosiła kokaina. Więc teraz, gdy był czysty, gdy wreszcie dostrzegł problem, pewnie naprawdę będzie inaczej. Bo te jego wyskoki to nie był on, to tylko jego zachowanie. A przecież zachowanie – mówiłam sobie – można zmienić.

Nie ulegało wątpliwości, że człowiek, którego kiedyś poznałam i pokochałam, bardzo się różnił od Angusa dzisiejszego. A w takim razie łatwo było zrozumieć, że Angus, który stanął w moich drzwiach, czysty i trzeźwy – z różami w dłoni i łzami w oczach – znowu był tą lepszą wersją. Kochającą. I po raz pierwszy stanął tak bardzo po mojej stronie. Ewidentnie był to postęp, więc ja zamierzałam mu się odwzajemnić i stanąć po jego stronie.

Chodził na AN. Będę wspierająca i kochająca. Wszystko naprawimy.

I w naszym wypadku wszystko naprawdę będzie tym razem inaczej.

Wróciłam do biurka.

Val już z daleka się do mnie uśmiechała. Strasznie się bałam jej powiedzieć o naszym pojednaniu, więc postanowiłam jeszcze poczekać, żeby się skupiła na operacji z Citexelem. Wzięła na siebie umówienie spotkania: zajmowała wyższe stanowisko niż ja.

– Dzisiaj o czternastej – oznajmiła, promieniejąc. Spojrzałam na nią zmieszana. – David Turner. Idziemy z nim na rozmowy do Citexela.

– To cudownie – powiedziałam, zerkając na zegar: 10.52.

– Rzeczywiście. – Przyglądała mi się uważnie. – I dzwonił do ciebie Angus. Kurwa.

– Dzięki – odparłam, wpatrując się w monitor.

– Zeszliście się? – spytała, ściągając brwi. Już знаła odpowiedź.

– Tak.

– No dobrze. Lepiej, żeby tego znowu nie schrzanił – dodała, wjeżdżając fotelem na swoje stanowisko. Nad moją głową zamigotała zepsuta żarówka. Wzięłam telefon i wybrałam numer.

– Dzień dobry, przy telefonie Candice. – Głos miała rozdrażniony, jakby przerwano jej dokonywanie skomplikowanych obliczeń.

– Cześć, Candice, mogę rozmawiać z Angusem?

– Mogę spytać, kto mówi? – Suka. Doskonale wiedziała, kim jestem, miliony razy rozmawialiśmy przez telefon.

– Taylor – odparłam. – Oddzwaniem, bo Angus dzwonił.

– Chwileczkę.

Po chwili mnie połączyła.

– Kochanie? – odebrał Angus.

– Cześć.

– Cześć, skarbie, naprawdę chciałem, żebyśmy urządzili sobie coś wyjątkowego wieczorem, ale... no więc... jest mityng i ja chcę na niego pójść – wyszeptał. – Jest mi trochę trudno. Nawet bardzo.

– Och, oczywiście – odparłam. Co prawda myślałam, że walentynkowy wieczór spędzimy razem, no ale spotkanie AN było ważniejsze.

– Jesteś pewna? Bo wiesz... są walentynki... i w ogóle.

– Oczywiście. O której wrócisz? Mam przyjść później czy w ogóle zostać w domu?

– Pewnie będę dość późno. Po mityngu muszę wrócić do pracy i coś jeszcze zrobić, po tej aferze z kartą kredytową staram się wszystkim przypodobać. To jakiś jebany koszmar. Może umówimy się na jutro?

– Jasne, oczywiście.

– O cholera, skarbie... mam jeszcze jedną prośbę, chociaż naprawdę... aż się krępię. Czy mogłabyś po drodze do domu podjechać do mnie? Rano

przychodzi Elena i przy tym wszystkim zapomniałem zająć do bankomatu. W górnej szufladzie komody mam kartę do drugiego konta, mogłabyś dla niej wypłacić trochę kasy? A dokładnie tysiąc funtów? W tej chwili w ogóle nie mam przy sobie gotówki.

– Jasne – powiedziałam. – Ale nie mam twojego...

– Cztery-pięć-cztery-jeden – wyszeptał. I tym jednym szybkim manewrem, okazując mi bezgraniczne zaufanie, zrzucił na ziemię kolejny kawałek mojej zbroi. Okaż zaufanie, żeby zdobyć zaufanie, jasne.

– Dobrze, kochanie – powiedziałam. I się pożegnaliśmy.

A gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że zmierza do mnie Kevin, z wózkiem codziennej poczty pełnym kwiatów, czerwonych kopertek i paczuszek. Głęboki ból w klatce piersiowej: czy Angus naprawdę nic mi nie przygotował na walentynki?

Kilka minut później Kevin dotarł do mojego biurka. Był wysoki i chudy, miał ciemne kręcone włosy i zawsze nosił krawat. Dzisiaj w kolorze czerwonego wina, w ukośne kremowe paski.

– Bonjour – powiedział z francuskim akcentem Anglika; wiedział, że jakiś czas temu próbowałam się uczyć francuskiego. – Mam coś dla ciebie. Właśnie to dostarczono.

– Och – odetchnęłam z wielką ulgą.

Sięgnął na dolny poziom wózka i wyjął skromne białe pudełko. Do niego przymocowana była kopertka z wypisanym moim imieniem.

– Dzięki, Kevin – powiedziałam, gdy oburącz położył mi je na biurku. Czułam, że Val patrzy, gdy otwieram pudełko i zaglądam do środka. Trzy czekoladowe ciasteczka – takie z cukierni.

– Cholera. Wygląda na to, że mam konkurencję – zażartował sobie nasz goniec.

Kątem oka widziałam Val i cieszyłam się, że widzi, jak Angus się stara.

– Tak, ale nie może się to równać ze sztuczką windową, co nie? – odparłam z niezręcznym uśmiechem, zamykając pudełko.

Roześmiał się z naszego osobistego żartu o sztuczce, którą kiedyś

widziałam w jego wykonaniu. Byliśmy niedaleko kancelarii, właśnie trwała przerwa na lunch, więc na każdym piętrze klębił się tłum ludzi zbyt leniwych, żeby skorzystać ze schodów. Oboje tego dnia nie narzekaliśmy na nadmiar cierpliwości, gdy więc wsiedliśmy do windy, Kevin wcisnął dwa guziki: zamykania drzwi i czwartego piętra, bo tam właśnie jechaliśmy. Był to trik służb technicznych, Kevin znalazł go w Internecie – dzięki temu mieliśmy się zatrzymać dopiero na czwartym. Sama nigdy z tej sztuczki nie korzystałam i nie pamiętałam, w jakiej kolejności te guziki nacisnąć, ale od tamtego czasu zawsze mieliśmy o czym pogadać i nie groziło nam krępujące milczenie.

– Absolutnie – odrzekł, puszczając oko i przechodząc do następnego biurka.

Nachyliłam się nad pudełkiem, znowu podniosłam przykrywkę i uśmiechnęłam się: wyrafinowany prezent. Następnie sięgnęłam po kopertkę i wyjęłam z niej bilecik:

Koniec końców nie zjadłaś ciasta. Może tym razem zrobimy to jak należy? Kolacja? Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek. Zadzwoń do mnie: 07700900154.

David

Dotarłam na miejsce około 18.30. Zgodnie z obietnicą wypłaciłam pieniądze z konta Angusa, a potem jechałam windą z Felicią za plecami, w powietrzu iskrzącym od napięcia, żeby tę kasę zostawić. Ale źródłem napięcia byłam ja, nie Felicia. Ona uśmiechnęła się do mnie, gdy wsiadłam, a przez resztę drogi zajmowała się wyłącznie swoim telefonem. Ja z kolei cały czas wstrzymywałam oddech, starając się nie rumienić ze wstydu i zastanawiając się, czy ona ma na sobie TĘ bieliznę, czy pasuje, i czy zgadła, kim jest *Ucałowania, A*.

W domu czekała na mnie przed drzwiami miauczająca Chiara. Ja szukałam kluczy, a ona mruczała przy moich nogach. Gdy tylko pchnęłam drzwi, wbiegła przede mną do środka. Rozejrzałam się – od czasu do czasu, ale naprawdę rzadko, pamiętałam, że ona nie jest moim kotem, że ktoś może jej

szukać, i z tego powodu zawsze miałam lekkie wyrzuty sumienia. Ale nikt jej nie wołał, nikt nie szukał, więc zostawiłam torbę przy drzwiach i zamknęłam je. Idąc w stronę łóżka, odpinałam plastikowe guziki koszuli.

Zsunęłam bluzkę z ramion, rozpięłam zamek spódniczki, zdjęłam rajstopy i przewiesiłam je przez krzesło przy łazience. Sięgnęłam po dół od piżamy – wciśnięty pod poduszkę – a z drugiej szuflady wyjęłam różową koszulę Angusa. Włożyłam jedno i drugie, wyjęłam laptop, uruchomiłam go i zostawiłam na łóżku.

Chiara miauczała z kuchni, patrząc na lodówkę.

– Cześć, skarbie – powiedziałam, podchodząc do kota. Miauczenie przybrało na sile. – Chcesz mleczka?

Otworzyłam lodówkę. Była prawie pusta. Ale na dole, za rzędem lakierów do paznokci i otwartym dżemem, leżało mleko dla Chiary i butelka sauvignon blanc. Napełniłam mlekiem spodek i postawiłam go na podłodze przy nodze, a sobie nalałam wielki kieliszek wina. Zimnego. Cierpkiego. Z torebki wyjęłam białe pudełko i poszłam do łóżka. Liścik zostawiłam w torebce.

Na nocnej szafce na wierzchu stosu książek leżała *Sztuka wojny*; ciągle ją czytałam. Miałam wrażenie, że odkąd Jamie dał mi ją, minęły całe miesiące, a to dopiero tydzień. Odstawiłam ciastka, wlałam pod kołdrę i oparłam się na trzech kolorowych poduszkach. Następnie sięgnęłam po pudełko.

W głowie słyszałam głos Davida: „Zamierzasz użyć później tego ciasta do jakichś konkretnych celów?”. I czułam jego ciepło. Widziałam jego nagą klatkę piersiową, gdy tańczył w szlafroku. I mało co nie napisałam do niego mejla, choćby z podziękowaniem. Ale w głowie znowu usłyszałam jego głos: „Mamy umowę”. Takie właśnie słowa idealnie pasowałyby do mojego ojca. Tak więc nawet gdybym nie zeszła się z powrotem z Angusem, byłabym ostrożna: nie chciałam być skalpelem, który rozciąłby serce innej kobiety.

Sięgnęłam po komputer, uruchomiłam Netflixa i wzięłam słodki kęs ciastka.

I wtedy po raz ostatni czułam się bezpiecznie.

środa

Sun Tzu rzekł: Kiedy przy bezwietrznej pogodzie widać poruszanie się czubków młodych drzew, znaczy to, że wróg nadciąga.

15 LUTEGO

Jak to zwykle bywa, z perspektywy czasu sądzę, że wiedziałam.

Powietrze wydawało się inne: gęstsze, cichsze, cięższe. Nagłówki gazet w metrze bardziej wytłuszczone, jakby chciały przyciągnąć mój wzrok. Na schodach ruchomych stacji Green Park panował większy tłok. Silniejszy był zapach moczu przy wyjściu na zewnątrz. A londyński autobus, który przejechał, gdy wyszłam na Piccadilly, wydawał się czerwieńszy, jaśniejszy, bardziej oślepiający. Od początku coś się kroilo: sparzyłam sobie język kawą, mało się nie udławiłam codzienną tabletką magnezu, nie mogłam złapać powietrza, jakby płuca mi się zacisnęły. Owszem, znaki się pojawiły. Nawet wzór wykładziny w drodze do mojego biurka po raz pierwszy skojarzył mi się z więziennymi kratami. I Val. Val była ewidentnie szara. Bardziej niż zwykle.

Gdy przyszłam, siedziała przy moim biurku, ze wzrokiem wbitym w gazetę.

– Och, skarbie, coś ty narobiła? – spytała cicho. Nawet nie podniosła wzroku.

Odstawiłam torebkę na podłogę i próbowałam złapać oddech.

– Co się stało?

Podsunała mi gazetę: pierwszą stronę zrobiło wielkie zdjęcie mężczyzny z obwisłymi policzkami, wychodził z jakiegoś budynku. Z podpisu można było się dowiedzieć, że to Nikołaj Stiepanowicz. A nagłówek zapowiadał: *Obnażamy kulisy pralni pieniędzy rosyjskiego oligarchy.*

Śledztwo „Guardiana” ujawniło, że Nikołaj Stiepanowicz (na zdjęciu powyżej) z Citexel International stoi za wymyślnym systemem prania brudnych pieniędzy z wykorzystaniem rynku handlu nieruchomościami. Nasze źródła donoszą, że Stiepanowicz za pomocą sieci spółek w ciągu ostatnich ośmiu lat wprowadził do obiegu w Wielkiej Brytanii 500 milionów funtów. Większość tych środków została wprowadzona przy okazji realizacji projektu The Town Square w Oxfordshire; w chwili obecnej przygotowany jest analogiczny projekt w Eastbourne, już wykupiono ogromne tereny z wykorzystaniem nielegalnych środków.

Przełknęłam ślinę, powietrze uwięzło mi w gardle.

Wydano już pozwolenia, dzięki którym nadmorski ośrodek w ciągu piętnastu lat przerodzi się w mekkę bogatych emerytów, zabezpieczone są też środki finansowe oraz podpisano umowy z licznymi inwestorami.

Przeskoczyłam kilka akapitów – cytaty z wypowiedzi ekspertów, jakieś dziennikarskie spekulacje – i zamarłam. Dosłownie przestałam oddychać.

Nasze źródła donoszą, że firmy obecnie prowadzące rozmowy z Citexelem to między innymi: KR Property International, Jenson oraz The Turner Group. Dzięki tym informacjom widać jak na dłoni, jak łatwo można obejść liberalne brytyjskie prawo, jeśli ktoś chce wyprać pieniądze na naszym rynku nieruchomości.

– Cholera – zaklęłam, podnosząc wzrok. – Jak to możliwe?

Val patrzyła na mnie bez słowa.

– Skąd się dowiedziałaś, że Eastbourne potrzebuje inwestora? – spytała w końcu.

Głośno przełknęłam ślinę, w głowie słyszałam galopadę myśli. Nie mogłam jej powiedzieć o Angusie – nie w tej chwili, nie tak od razu, musiałam najpierw przeanalizować wszystkie opcje i przede wszystkim porozmawiać z nim. To, co mi powiedział, było poufne – nie mogłam ryzykować, że w jego pracy się dowiedzą o jego niedyskrecji, że to zaszkodzi jego koledze. Zwłaszcza teraz, po tych wszystkich problemach, których mu przysporzyłam, zamawiając prostytutki. Zwłaszcza że próbował mi pomóc.

Więc skłamałam.

– Ktoś mówił o tym w pubie. Chyba to był ktoś z prasy branżowej – dodałam z wahaniem. – Wiadomo było, że to pilne, więc przyszedłam z tym prosto do ciebie. – Prasa branżowa słynęła z tego, że zna tajemnice, ale ich nie publikuje, żeby nie torpedować transakcji. Ale sama nie wierzyłam w to, co mówię. I widziałam po oczach Val, że ona również nie wierzy.

– Rano David Turner rozmawiał przez telefon z Nigelem – powiedziała. – Był wściekły. Bardzo.

Znowu z trudem przełknęłam ślinę.

– Ale przekazałyśmy mu te informacje raptem dwa dni temu – powiedziałam nadspodziewanie głośno.

– Tak, Taylor, a potem ja umówiłam go w Citexelu. A w gazecie padło jego nazwisko.

– Ale ja nie wiedziałam, że Stiepanowicz jest przestępcą – bąknęłam cicho. Wszystkie styki mi się przegrzały.

– To nie ma znaczenia – odparła spokojnie. – David jest wściekły. – Westchnęła ciężko. – Jasna dupa.

– Pewnie mnie wyleją, co? – spytałam. Zbierało mi się na płacz, serce było jak szalone.

Westchnęła ciężko. Próbowwała się uspokoić.

– Myślę, że powinnaś pójść do domu – powiedziała w końcu. Głos miała lodowato zimny, szczęki zaciśnięte. – Będę musiała jakoś to wyjaśnić Nigelowi.

– Tak mi przykro, Val. – Ściany na mnie napierały, w głowie mi się

kręciło. – Nie pojmuję, jak do tego doszło.

– Zadzwoń do ciebie później – odparła cicho.

Szybko pomyślałam o Davidzie. Zatelefonuję do Davida. Wyjaśnię to wszystko. Nieporadnymi rękoma wzięłam torebkę i wróciłam do wejścia, szukając walentynki od niego.

Znalazłam. Gdy tylko wyszłam z budynku, wybrałam jego numer, chowając się w ciemnym zaułku sąsiedniego biurowca, żeby nie zagłuszyły mnie odgłosy z ulicy.

Połączyło mnie z pocztą.

– Davidzie, słuchaj, bardzo mi przykro. Nie mam pojęcia, o co chodzi z Eastbourne. Nie wiedziałam. Oczywiście, że nie wiedziałam. Gdybym wiedziała, w życiu bym ci tego nie proponowała. Oddzwoń do mnie, proszę.

W ciągu dwóch minut nie oddzwonił. Więc znowu wybrałam numer.

Tym razem odebrał.

– Davidzie? – zaczęłam. – Mówi Taylor.

– Cześć. – Głos miał bezbarwny i stanowczy.

– Przepraszam, nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

– Chciałbym w to wierzyć.

Uszło ze mnie powietrze, jakby mnie walnął w brzuch.

– Davidzie. – Głos mi się zrobił piskliwy i ostry. Musiał mnie zrozumieć. – Dlaczego miałabym celowo coś takiego robić? To byłoby zawodowe samobójstwo.

– Nie mam pojęcia, dlaczego kobiety robią to, co robią – odparł. – Może to jakiś absurdalny odwet? – W gniewie podniósł głos na początku zdania, ale pod koniec ściszył. Jakby ktoś go w biurze słyszał.

– To nie w porządku – odparłam szybko. – Ja bym...

– Doprawdy? – przerwał mi. – W poniedziałek nie patrzyłaś mi w oczy. Nawet nie podałaś mi ręki. Nie sądzisz, że trudno ode mnie wymagać, bym uwierzył, że to jeden wielki zbieg okoliczności? Jezu, Taylor. Jak mogłaś mi to zrobić? Ja to, kurwa, przedstawiłem zarządowi!

Z trudem powstrzymywałam łzy, głos mi drżał, gdy zaczęłam:

– Davidzie...

– Masz pojęcie, ile mi zajęło budowanie reputacji? – spytał. – I jakie to było trudne?

– Przepraszam bardzo, ale przysięgam, że to nie było zamie...

– Taylor, muszę już kończyć.

I się rozłączył.

O Boże...

O 9.07 mijałam maruderów w garniturach i kurierów na skuterach. Ciężkie, ciemne chmury wisiały na niebie, powietrze było wilgotne. Serce ciągle mi biło szybko, ale tu, na dworze, idąc przez Mayfair, czułam się odrobinę lepiej.

Stacja Green Park opustoszała, zanim zeszłam po śmierdzących moczem brudnych schodach. Minęłam pralnię chemiczną. A gdy przeszłam szybkim krokiem obok kiosku i zerknęłam do wnętrza, ze stosu gazet złożonych obok batoników i jaskrawokolorowych opakowań słodczy radośnie odbijających światło popatrzyła na mnie twarz Nikołaja.

Wbiłam wzrok w ziemię i szłam w stronę schodów ruchomych i dalej peronem. Czekala nas tylko garstka, patrzyliśmy, jak na tablicy z trzech minut robią się dwie i później jedna. Wreszcie przyjechał pociąg; usiadłam w pobliżu drzwi i odetchnęłam, gdy zamknęły się z piknięciem. Wtedy jednak mężczyzna naprzeciwko rozłożył gazetę i znowu miałam przed sobą pierwszą stronę...

Z moim życiem porobiło się coś takiego, na co Francuzi mają doskonałe określenie – wpisałam je do swojego fioletowego notesu, gdy jeszcze był moim notesem francuskich słówek: à la débandade.

W rozsypce.

Dotarwszy do domu, zadzwoniłam do Angusa. Twarz miałam opuchniętą od płaczu, nos zatkany. Leżałam na łóżku, a w uszach mi dudniło z przerażenia.

– Nie bądź niemądra, kochanie, oczywiście, że cię nie wylali – powiedział Angus.

– Wylali. Zasadniczo wylali. A w każdym razie wyleją.

Zamilkłam, a ja nie miałam siły wypełnić ciszy.

– Dlaczego? Za co?

Zanim się odezwałam, zamilkłam: nie wiedziałam, jak to powiedzieć, żeby nie wyszło jak oskarżenie.

– Eastbourne – powiedziałam ochryplym głosem.

– Co z Eastbourne? – spytał nerwowo.

– Czytałeś dzisiejsze gazety?

– Nie mam czasu codziennie czytać gazet i jestem już spóźniony – odrzekł niecierpliwie. – Co się dokładnie stało?

– Przeczytaj „Guardiana”, to się dowiesz – westchnęłam.

– A nie możesz mi po prostu powiedzieć? – warknął.

– Stiepanowicz pierze pieniądze, Angusie – wyrzuciłam. Po czym zrobiłam głęboki wdech i zadałam pytanie, które musiałam zadać: – Wiedziałaś?

– Na miłość boską, Taylor, naprawdę musisz mnie o to pytać? – Słyszałam, jak ciężko oddycha. – Jakim cudem tak wszystko wykręcasz, że wina zawsze spada na mnie? Chciałem ci pomóc. Masz pojęcie, ile takich rzeczy przechodzi co tydzień przez moje biurko? A ty byś chciała, żebym znał wewnętrzne sprawy firmy faceta, który się przewinał przez moje biurko sto lat temu i z którym w ogóle zresztą ostatecznie nie pracowałem?! Czy ty w ogóle wiesz, co wygadujesz? – Słyszałam w tle ruch na ulicy, słyszałam, jak Angus głośno wypuszcza powietrze. – Kurwa, nie powiedziałaś im, że to ja podsunąłem ci ten pomysł, prawda? Przekazałem ci to w zaufaniu.

– Nie, oczywiście, że nie. – Sama słyszałam, że głos mi drży. Moje życie rozpadało się na kawałki. Chciałam, żeby był miły. Potrzebowałam tego.

– Słuchaj, „Guardiana” i tak nikt nie czyta, więc nic strasznego się nie stało. Pewnie zaraz wszystko ucichnie. – W jego głosie pojawiła się miłsza nuta.

– Nie, nie ucichnie – odparłam.

– Słuchaj, skarbie. – Znowu mówił tonem zasadniczym i cichym. – Bardzo mi przykro, że tak się stało, ale wchodzę na spotkanie. Porozmawiam z tobą wieczorem i nie martw się, ciągle są tu wkurwieni na mnie za te dziwki. Może razem pójdziemy na bezrobocie. To będzie bardzo romantyczne.

Serce mi zamarło. „Jakim cudem do tego stopnia wszystko spieprzyłam?” I westchnęłam głośno.

– Może przyjedziesz do mnie, weźmiesz sobie kąpiel, zrelaksujesz się. Ja przyjadę później. Poproś Charlotte, żeby przyszła, czy coś. Niech przyniesie skręta.

– Dobra, kocham cię.

– Cześć. – I się rozłączył.

Charlotte rzeczywiście do mnie przyjechała, usiadłyśmy na balkonie, patrząc na wieczorną, migoczącą panoramę Londynu. Miała na sobie dżinsy i różowy sweter z grubej włóczki, a ja spodnie do jogi i czarną koszulkę z długim rękawem oraz granatową kurtkę. Minęło raptem parę godzin, odkąd odesłano mnie z pracy do domu, ale już wyglądałam na bezrobotną.

– Co ty, kurwa, zrobisz? – spytała, kaszląc. Jarałyśmy, podczas gdy Ed patrzył przez okno ze swojej klatki, i siedziałyśmy tak już jakiś czas: ja relacjonowałam jej, co się wydarzyło, ona słuchała. Przerwała nam tylko na chwilę Val, która dzwoniła zasugerować, bym wzięła wolne również na następny dzień.

– Naprawdę nie mam pojęcia – odparłam.

– Boże... Ale nie będziesz miała prawdziwych kłopotów, co? Że na przykład zaangażuje się w to policja?

– Nie. W każdym razie nie sądzę. – Zaciągnęłam się, podałam jej skręta, po czym wypuściłam dym i zakasłałam. – Ale mogę stracić pracę.

– Jak w ogóle wpadłaś na ten pomysł?

Wciągnęłam powietrze.

– Angus. Ale on chciał mi pomóc – zastrzegłam i czekałam na atak.

– Oż kurwa mać, oczywiście, że on w tym maczał palce! A co teraz o tym wszystkim mówi?

– Nie, to nie tak – zaproponowałam. – Ja naprawdę nie miałam żadnego pomysłu, a on parę miesięcy temu miał współpracować ze Stiepanowiczem. Ale nie wiedział o praniu pieniędzy. No bo skąd? Nikt nie wiedział, dlatego teraz to taka sensacja.

– To prawda. Ale poważnie, nie zauważyłaś, że ilekroć przydarza ci się jakaś porażka, ten facet bierze w tym udział? – Strzepnęła popiół na podłogę. Angus by się na to wściekł, więc zanotowałam sobie w pamięci, żeby to później posprzątać.

– Chcesz wina? – spytałam, podnosząc się, głosem ochryplym od dymu i płaczu. Ruszyłam do drzwi.

Uniosła brwi.

– Pewnie, czemu nie – odparła, gasząc skręta o ścianę.

– Czerwone czy białe? – zawołałam z kuchni. Pachniało tu płynem do czyszczenia zielone jabłuszko i emulsją do mebli, jak zawsze po wizycie Eleny.

– Zdecydowanie białe – odkrzyknęła Charlotte. – On jest nawet śliczny. – Mówiła o Edzie.

Otworzyłam lodówkę, wyjęłam butelkę białego wina i z dwoma kieliszkami ruszyłam z powrotem na balkon. Tu, z wysoka, Londyn wydawał się niewielki. Łatwy w obsłudze.

– I jeszcze jedno. Kolejny powód, dla którego nasz klient jest zły.

– Co takiego? – spytała, odbierając ode mnie wino.

– To właśnie z nim spałam.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Co za, kurwa, koszmar. – A potem zaczęła się śmiać.

– To nie jest śmieszne – zaproponowałam. – On myśli, że zrobiłam to na złość jemu, bo mnie nie uprzedził, że jest żonaty. Teraz chce krwi. Naprawdę

nie mogę sobie pozwolić, żeby przez to stracić pracę.

– Och, kochanie, tak się na pewno nie stanie. – Upiła łyk wina. – Dlaczego do niego nie zadzwonisz?

Skrzywiłam się. Co by o mnie pomyślała, gdyby wiedziała o wszystkim, co nawyczyniałam?

– Próbowałam. Nie chce słuchać.

– Daj mu się uspokoić i spróbuj jeszcze raz – zasugerowała.

– Tak zrobię. – Westchnęłam.

Właśnie mniej więcej wtedy Angus wrócił do domu. Obróciłam głowę akurat, żeby zobaczyć, jak wchodzi i zdejmuje buty.

– Cześć – przywitałam się.

– Jak tam pacjentka? – zawołał, rzucając aktówkę przy drzwiach.

– W porządku – odkrzyknęła Charlotte. – Prawie.

– Sądząc po zapachu, podano jej leki.

– Owszem – odparła grzecznie. Ale tonem „spierdalaj”.

– Cholera, przepraszam, skarbie – pospieszyłam. – Paliliśmy na zewnątrz...

Stanął w drzwiach z uśmiechem.

– Masz może trochę, żeby tu zostawić? – to pytanie skierował do Charlotte. – Tak żeby Taylor miała czym się wspomóc przez kilka najbliższych dni?

Charlotte spojrzała na mnie z niedowierzaniem: „Że co? Przecież on nie znosi, jak palisz”.

Odwzajemniłam spojrzenie: „Widzisz, mówiłam, że się zmienił”.

Po czym wstałam, podeszłam do niego, wsunęłam palce w jego włosy i zajrzałam mu w oczy.

– Oczywiście – powiedziała Charlotte. – Do usług. Schowaj do lodówki, jeśli nie chcesz tego wypalić od razu. – Rzuciła Angusowi torebkę zioła. Uderzyła w jego klatkę piersiową, ale złapał ją.

– Dzięki – rzucił oschle.

– Lepiej się już zbiorę. – Charlotte wstała. Na podłodze zostawiła kieliszek.

– Bardzo ci dziękuję, kochana – powiedziałam, odprowadzając ją do wejścia.

– Kocham cię – odparła i uściskała mnie. – Cześć, Angus – pomachała mu.
A Angus włożył trawkę do lodówki.

czwartek

Sun Tzu rzekł: Jeśli dowódca nie potrafi ocenić realnej siły przeciwnika i używa małej siły do pokonania większej, słabych oddziałów do zaatakowania silnych lub niewłaściwie dobiera załogi wozów bojowych, rezultatem będzie przegrana.

16 LUTEGO

Odbierz, proszę, pranie. A.

Taką wiadomość zostawił mi Angus – na pomiętym paragonie za paliwo. Uśmiechnęłam się. Łazienki na stacjach zawsze należały do nas. Obok liściku stała filizanka zimnej herbaty i leżało dwadzieścia funtów, pewnie na pranie. Spojrzałam na nie zamglonym wzrokiem: nie obudziłam się sama z siebie.

Wyrwał mnie ze snu telefon. Jakaś melodia, której nie rozpoznałam: piskliwa i radosna. Stłumiona, pewnie dobiegała zza ściany. Z początku sądziłam, że to we śnie. Ale nie. Dzwoniło naprawdę. Gdy powoli wychylnęłam z oparów nieświadomości, z popielniczki mojej psyche, ciągle ją słyszałam.

Musiała dobiegać od sąsiadów.

Nie poruszyłam się. Tylko tak leżałam, z ciężką głową wtuloną w poduszkę i wzrokiem skupionym na ciemniejącym niebie na zewnątrz. Będzie padać. Czulałam to. A wtedy wyjdę na dwór wąchać deszcz. Nic tak nie pachnie jak deszcz.

Przed oczami przesuwały mi się obrazy: prostytutki. Felicia. Pani Clifton. Szczęśliwe skarpetki. Koka. David. Nikolaï Stiepanowicz...

Obróciłam się i zamknęłam oczy.

Przynajmniej zdjął sekstaśmę z netu. Skasował wszystkie kopie. To prawie jakby się to nigdy nie zdarzyło. Prawie.

Musiałam w końcu wstać. W ustach mi zaschło, więc sięgnęłam po szklankę wody stojącą na nocnej szafce. Zimna. Mokra. Zerknęłam na telefon: 10.40. Nieodebrane połączenie od mamy, dwa powiadomienia z Facebooka i esemes od „Anderson. Chce tylko seksu. Nie dzwonić pod żadnym pozorem”: *Terapia?*

Cholera.

Przyszła dwie godziny temu... Angus ją zobaczył, gdy zostawiał liścik? Wyłączyłam dzwonek, położyłam telefon obok i leżałam, wpatrując się w sufit, a węzeł w moim żołądku zacisnął się, gdy wesoła melodia znów rozbrzmiała.

Wstałam i przeszłam do salonu. Tu dźwięk był donośniejszy. Wzrokiem przebiegałam od przedmiotu do przedmiotu, stół, kanapa, barek w kuchni, nie widziałam jednak żadnego aparatu, więc szłam za dźwiękiem, jakbym grała w ciepło-zimno.

Stałam na środku salonu, rozglądając się, ale nie mogłam wyczuć kierunku...

Kuchnia. Przeszłam do kuchni. Miałam na sobie stare spodnie od dresu Angusa, nogawki ciągnęły mi się po ziemi, więc się potknęłam. Nie. Nie tam. Wróciłam na środek salonu.

I wtedy dźwięk umilkł.

Cholera.

Poczułam się jak ofierma. Stałam przy stole w jadalni: Angus zostawił dla mnie „Telegraph”. Przedrukowali artykuł, z pierwszej strony patrzyła na mnie twarz Nikołaja. Przeleciałam szybko wzrokiem tekst, ale nie dowiedziałam się niczego nowego.

Znowu zaczął grać jakiś dzwonek, ale ten rozpoznałam. Mój. Ruszyłam do telefonu, wciąż ładującego się przy łóżku. Na wyświetlaczu widniał napis „Nieznane ID”.

Zerknęłam na liścik. Pralnia chemiczna. To mogę zrobić. Zawsze jakiś mały sukces. Zaczekałam, aż rozmówca połączy się z pocztą głosową.

Po kilku chwilach pojawiło się powiadomienie „Nieznane ID zostawiło

wiadomość”. Więc ją odsłuchałam: Jenny z HR.

W brzuchu miałam mokry cement.

Chciała, żebym przyjechała. Telefon z kadr mógł oznaczać tylko jedno. Z trudem przełknęłam ślinę i rozejrzałam się w poszukiwaniu długopisu, żeby zapisać jej numer, ale nie mogłam żadnego znaleźć, więc z górnej szuflady komody wyjęłam tusz do rzęs i obróciłam liścik Angusa.

Zapisałam numer gęstym czarnym tuszem, który rozmazywał mi się na palcach, więc cyfry trudno było odczytać.

Ale gdy zaczęłam wybierać numer, coś przyciągnęło moją uwagę: na paragonie widniała nie tylko należność za paliwo. Również za prezerwatywy. Durex. Angus nigdy nie używał ze mną gumek. Nalegał, żebym ja brała tabletki, bo nienawidził gumek.

Kim.

Krew odplynęła mi z twarzy, a przed oczami stanął mi jej obraz na zboczu góry, niczym złowieszczy hologram. Suka.

Kiedy ostatnio odkryłam, że Angus mnie zdradza, działo się to mniej więcej w podobny sposób – przez liścik w jego kieszeni. Odebrałam właśnie jego pranie: dwie kurtki i spodnie. I gdy stałam przy jego szafie, ściągając folię z drucianego wieszaka, wsunęłam ręce do kieszeni, sprawdzając palcami podszewkę – musiałam coś podejrzewać, bo po co bym to robiła? I w trzeciej kieszeni znalazłam: oddarty kawałek papieru. A na nim jasnoniebieskie linie.

A nad tymi niebieskimi liniami serduszko i w nim „A + K = WM”.

Gorączkowo szukałam teraz daty na paragonie. Była słabo widoczna. Zmrużyłam oczy. Ledwie ją mogłam odczytać; nie, w ogóle jej nie mogłam odczytać. Jedyne części doskonale wydrukowanego paragonu, jakiej potrzebowałam, była oddarta, pewnie utknęła w kieszeni Angusa.

Zamknęłam oczy i usiłowałam tę myśl odegnać równie szybko, jak mnie dopadła, powiedziałam sobie, że wrażliwość czyni mnie irracjonalną, i zadzwoniłam.

Angus właśnie kupił swoje pierwsze vintage'owe porsche – czarne z czekoladowymi fotelami. Odnowienie go zajęło trzy miesiące i pochłonęło małą fortunę, ale oto wyprawialiśmy się na pierwszą przejażdżkę. Jechaliśmy do jego rodziców do Wiltshire, zatrzymaliśmy się na stacji przy Leigh Road, a ja właśnie wyszłam ze sklepiku. Miałam dwie cole, paczkę chipsów z solą i octem oraz zabawną puchatą nakładkę na dźwignię zmiany biegów – spontaniczny zakup, który znalazłam przy kasie, gdy płaciłam. To był żart. Nie spodoba mu się. Ale wtedy po raz pierwszy kochaliśmy się w łazience na stacji benzynowej.

Nie było gumek. W ogóle nie było żadnego dźwięku. Nie było światła. Tylko on, ja, chwiejna umywalka, o którą próbowałam się oprzeć.

To był pierwszy raz.

O 15.15 Jenny spotkała się ze mną przy windach. Pachniała lakierem do włosów i miała na sobie sukienkę w jodełkę. W milczeniu podążyłam za nią korytarzem do niewielkiej sali konferencyjnej bez okien używanej do rekrutacji i zwolnień. Otworzyła drzwi, a gdy weszłam do środka z łomoczącym sercem, ujrzałam Val – siwe włosy, szary kostium – siedzącą na jednym z trzech krzeseł, ze skruszonym wyrazem twarzy.

Zajęłam wskazane miejsce. Jenny zamknęła drzwi i usiadła na ostatnim wolnym krześle.

– No więc mamy pewne informacje – powiedziała z niestosowną radością. Spojrzałam na nią i czekałam.

Ona spojrzała na Val.

– Udało nam się załagodzić sytuację z Davidem Turnerem – oznajmiła.

– Co takiego? – spytałam z ulgą. – To cudownie.

– Tak – mówiła dalej Jenny, ale w jej głosie pojawiła się poważniejsza nuta i nerwowo poruszyła się na krześle. – Ale, Taylor, na pewno rozumiesz, że takie rzeczy nie mogą się już wydarzyć. Powinnaś była bardziej uważać,

zrobić dokładniejsze rozpoznanie, zanim przedstawiłaś taki pomysł klientowi.

– To prawda – przyznałam. Żadne rozpoznanie nie uchroniłoby mnie przed tym, co się stało. Ale jeśli zachowanie posady wymagało posypania głowy popiołem, to proszę bardzo.

– Nigel prosił, żebyśmy z tobą porozmawiały – przerwała Val. W jej głosie była łagodność, która mnie zaniepokoiła.

– Właśnie – podjęła Jenny – to ważne, żebyśmy wszystko dokładnie ci wyjaśniły.

Przerwała, a ja czekałam, aż spadnie topór.

– Więc, Taylor, to spotkanie zostanie odnotowane w twoich aktach jako ustne ostrzeżenie. Rozumiesz, co to znaczy?

Mój żołądek wypełnił się ołowiem.

– Tak, rozumiem – odparłam. Z trudem przełknęłam ślinę i głośna cisza wypełniła salę. Ostrzeżenie było lepsze niż utrata posady, ale nie byłam w stanie spojrzeć na Val.

– Może weźmiesz wolne na jutro i wrócisz do pracy w poniedziałek? – spytała właśnie. Łagodnym głosem.

Kiwnęłam głową.

– Dobra. – I jeszcze próbowałam się uśmiechnąć.

Odwzajemniła mi się, ale wiedziałam, że ją zawiodłam. Naprawdę zawiodłam. I że nieprędko dostanę jakiś awans.

Jenny wstała i otworzyła drzwi.

– Dziękujemy, że przyjechałaś – powiedziała. – Do zobaczenia w poniedziałek.

Wyszłam, ona zaś zamknęła za mną. Kiedy się odwracałam i ruszyłam do windy, słyszałam szmer, jak rozmawiały o mojej niełasce. A gdy wcisnęłam guzik i czekałam, aż drzwi się rozsuną, w kieszeni zawibrował mi telefon. Wyjęłam, żeby sprawdzić, kto to. Moja mama: *Cześć, skarbie, chciałam spytać, czy wszystko u Ciebie w porządku.*

Skłamałam: *Tak, w porządku, całusy.*

Muszę to naprawić.

Leżałam w wannie, wsunąwszy duży palec do kranu. Pasował idealnie. W rogu migotała świeczka; jej ukośne światło przeobrażało dość zwyczajne kafelki niemal w dzieło sztuki. Moja katastrofa wydawała się zmierzać ku końcowi, więc zwróciłam myśli ku Angusowi, żółtym kokardom i z pozoru niemożliwym rozwiązaniom. Bo on zdjął z netu sekstaśmę, a ja nie miałam pojęcia, jak naprawić swoją część.

Wiedziałam jedno: nie mogę dopuścić, by on stracił pracę przeze mnie. To byłoby niesprawiedliwe, a jednocześnie nie miałam pojęcia, jak to rozwikłać. Najprostsze rozwiązanie – wyznanie całej prawdy – nie wchodziło w grę: nigdy by mi nie wybaczył. Musiałam znaleźć inny sposób.

Ponownie odkręciłam ciepłą wodę, a ona płynęła i płynęła, aż odrobinę sparzyła mi stopę. Naskórek mi się pomarszczył. Wypuściłam wodę z wanny, zawinęłam się w ogromny ręcznik i szłam sobie powoli do sypialni, w chwili gdy rozległ się hałas u drzwi wejściowych.

Zerknęłam na zegar: zrobiła się 19.45. Angus wracał.

– Kochanie? – zawołał od progu.

– Hej – odpowiedziałam, ruszając mu na powitanie.

Patrzyłam, jak odstawia aktówkę przy drzwiach.

– Jak tam mój ulubiony potępieniec? – spytał, podchodząc do mnie i biorąc mnie w objęcia.

– W porządku. – Odwzajemniłam uścisk, zrzucając przy tym ręcznik na podłogę. – A, chyba zostawiłeś w domu telefon, dzwonił wcześniej.

Popatrzył w lewo, w prawo.

– Och, nie, skarbie – powiedział zmieszany – to mój drugi telefon. Sponsor o niego prosił. Ma mi pomagać w zachowaniu trzeźwości. Nie mogę go wyciszać, więc się bardzo wkurzy, jak się dowie, że go zapomniałem. – Uśmiechnął się. Jego dłonie zbłądziły na moją pupę, uściśnął ją lekko. –

Uwielbiam ten tyłeczek.

– Doprawdy? – Pocałowałam go. Stałam tak naga przy nim ubranym od stóp do głów.

– Owszem – szepnął i podniósł mnie, a gdy oplotałam go nogami w pasie, zaniósł mnie do sypialni.

Całował mnie namiętnie, aż rozgniatając mi wargi, a jednocześnie pospiesznie rozpinał pasek. Usłyszałam świst suwaka. Położył mnie tak, że głowa zwisała mi za krawędź łóżka, i sięgnął ustami między moje uda. A gdy już-już dochodziłam, przewrócił mnie na brzuch, twarzą do lustra.

– Dokończ sama – rozkazał. – Patrząc sobie w oczy.

I tak zrobiłam.

Dwadzieścia minut później leżałam z głową na jego klatce piersiowej, między połamami rozpiętej różowej koszuli.

– No to jak ci minął dzień? – spytałam, delikatnie ciągnąc zębami jego włosy na piersi.

– Cholera – zaklął. – Mam przechłapanie. Henry prawie nie patrzy mi w oczy. Candice mną gardzi. Mam już dość przekonywania ich, że nie zrobiłem nic złego. To jakiś koszmar.

Patrzył w sufit. Gardło mi się ścisnęło.

– Uciekniemy na bezludną wyspę? – wyszeptałam.

Wiedziałam, że teraz mam szansę. Żeby wyznać prawdę. Naprawić błąd. I nawet otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć. Ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Leżałam więc tak z rozchylonymi ustami, fizycznie niezdolna wyjawić mu, co zrobiłam.

– Jenny dziś dzwoniła – powiedziałam natomiast. – To dziewczyna z naszych kadr. Mogę w poniedziałek wracać do pracy.

Przewrócił się na bok i pogłaskał mnie po policzku.

– No to cudownie – rzekł.

– Ale wpisali mi ostrzeżenie do akt.

– Ty niegrzeczna dziewczynko – uśmiechnął się. – Ale widzisz? Mówiłem, że to się rozejdzie po kościach. – Sięgnął po moją rękę. – No to co masz zaplanowane na jutro?

– Nie wiem jeszcze. Charlotte do niedzieli jest w Szkocji, więc nie mogę nawet z nią zabalować.

– Jezu, czy ona w ogóle kiedykolwiek pracuje?

– Na pół etatu.

I leżeliśmy tak ze splecionymi dłońmi, zdawałoby się, że całą wieczność. Mój telefon wibrował kilka razy, jego też, ale że nie przejmowaliśmy się tym, czego chce od nas świat, nawet nie sprawdzaliśmy, kto się do nas dobija. Nie liczyło się nic, co znajdowało się poza ścianami tego pokoju, poza naszą pogrążoną w półmroku bańką. Nie chcieliśmy być nigdzie indziej. Minęło piętnaście dni od naszego zerwania, trzynastą, odkąd zobaczyłam swoją sekstaśmę, dziesięć, odkąd po raz pierwszy otworzyłam *Sztukę wojny*, i trzydzieści sześć godzin, odkąd wybuchła afera Stiepanowicza, i dopiero teraz wszystko znowu wydawało się jak trzeba. Spokojne.

Pewnie jak zawsze w oku cyklonu.

I wtedy on sięgnął po telefon.

– Cholera, tata dzwonił – powiedział. Nasz kokon został przebity. Więc ja sięgnęłam po swój telefon: przyszła wiadomość z Messengera. Leżałam na boku, tyłem do niego, i gdy czytałam, robiła mi się gęsia skórka.

Cześć, Taylor, wiem, że nie chcesz ze mną gadać, ale na pewno powinnaś. Musisz coś wiedzieć. Spotkajmy się, proszę. I nie mów Angusowi.

Napisała to Kim.

Puls mi przyspieszył, gdy pomyślałam o paragonie za paliwo i tym zdjęciu, gdy stali razem na stoku. Czego ona chce? O czym miałybyśmy rozmawiać? Mam mu powiedzieć?

Ale nagle ciepło jego dłoni spoczęło na moim biodrze i już nie miałam wyboru. Angus patrzył mi przez ramię, nie miałam pojęcia od kiedy. I co widział.

– Właśnie dostałam wiadomość od Kim! – oznajmiłam, odwracając się do niego.

– Czego ona chce? – spytał przez zaciśnięte zęby.

– Nie wiem. Chce się spotkać. Pogadać.

– Cholera, skarbie, to wariatka. – Pokręcił głową i przeczesał palcami włosy. – Kochanie, musisz ją zablokować. Natychmiast.

– Dlaczego? – spytałam. Próbowałam w jego oczach znaleźć jakąś wskazówkę, ale poruszały się za szybko.

– Słuchaj, nie chciałem cię martwić, ale ona ma obsesję na moim punkcie. Ja starałem się być miły, próbowałem ją odstawić... ale ona nie może pogodzić się z tym, że wybrałem ciebie. Jest wściekła. Nie mam pojęcia, do czego jest zdolna. Musisz ją zablokować.

– Ja nawet nie wiem, jak to się robi – odparłam, patrząc mu w twarz.

– Daj to. – Wyjął mi telefon z ręki. Po kilku sekundach Kim była zablokowana, a Angus oddał mi aparat, po czym nachylił się i pocałował mnie delikatnie.

Pogładziłam go po twarzy.

– Wybrałeś mnie? – przedrzeźniłam.

– Oczywiście, że wybrałem ciebie. – Westchnął, pocałował mnie w czoło i wyszedł z łóżka. – Oddzwonię do taty – rzucił, wychodząc z pokoju ze swoją komórką. Po chwili usłyszałam, jak mówi: – Tato? Dzwoniłeś...

Ilekcroć rozmawiał z ojcem, w jego głosie pojawiała się jakaś afektowana nuta. Jakby od samego tonu mógł się poczuć lepiej. Jego ojciec samą swoją obecnością sprawiał, że wszyscy w pomieszczeniu robili się mali i nic nieznaczący. Od chwili gdy po raz pierwszy uścisnął mi dłoń – pewny chwyt, puste oczy osadzone głęboko w lśniącej, łysiej głowie – wiedziałam, że to świat, w którym mężczyźni się nie tłumaczą, kobiety nie pytają, dzieci nie hałasują, pomoc domowa jest na stałe, a kelnerzy niech lepiej nalewają wino z jedną ręką za plecami. Kto nie stosuje się do tych zasad, robi to na własne ryzyko.

I od tego czasu, ilekcroć się spotkaliśmy, wyglądało to jak kolejny egzamin,

do którego nie byłam w stanie się przygotować. Wychodziłam z policzkami obolałymi od sztucznych uśmiechów i umysłem przegrzanym od wyszukiwania błyskotliwych anegdot i momentów właściwych na ich zaserwowanie. Nie wyobrażałam sobie, jak można się wychować z kimś takim. Dzięki temu człowiekowi czułam się szczęściarą, że mój ojciec odszedł.

Problem polegał na tym, że on musiał mnie polubić. Potrzebowałam tego. Jeśli mnie nie polubi, Angus nigdy się ze mną nie ożeni. Nie ryzykowałby gniewu źródła największej kasy. Nawet gdyby po mojej stronie stanęła jego matka – białowłosa, niebieskooka, o skórze pachnącej gardenią.

– W przyszłą niedzielę mamy przyjechać na lunch – oznajmił Angus, wracając do sypialni. – Eleanor przylatuje na weekend.

Właśnie wstałam i włożyłam szlafrok. Eleanor – starsza siostra Angusa. Widziałam ją tylko raz, w poprzednią Wielkanoc. Mieszkała z mężem na Guernsey, a z Angusem łączyły ją nieszczęśliwe relacje. I rzadko pojawiała się w rozmowie, no chyba że przyjeżdżała z wizytą.

– Świetnie – odparłam z nerwowym uśmiechem, zakładając kaptcie. Jasna dupa.

Tak więc resztę wieczoru spędziłam na sporządzaniu listy książek, które zdołam przeczytać przez tydzień, żeby sprawić wrażenie inteligentnej – neuroplastyczność? – i katalogowaniu sukienek, które mogę włożyć, jeśli mam wyglądać na tyle kobieco, by sprostać wymogom ojca. A wszystko to, patrząc, jak woda mętnieje, gdy mieszałam makaron przy zawodzeniu Leonarda Cohena o pęknięciach, które zawsze wpuszczą światło.

A jeśli przez pęknięcia przedostanie się jednak ciemność?

Zanim pokruszyłam parmezan do małej miseczki na stole, doszłam do ostatecznego wniosku: choćby nie wiadomo co, muszę zaprzeczać, że mam coś wspólnego z zamawianiem tych prostytutek. Nie mogę się przyznać teraz, skoro tak długo milczałam. Będę musiała po prostu przełknąć poczucie winy i czekać, aż ten niesmak przejdzie.

Ale nie przeszedł.

W jego miejsce pojawiło się coś o wiele gorszego.

piątek

Sun Tzu rzekł: Dlatego: bądź przebiegły jak kobieta. Kiedy wróg pozostawi gdzieś otwarte przejście na swoje terytorium, bądź szybki jak jaskółka (...).

17 LUTEGO

Tego dnia niebo było nietypowo jak na tę porę roku błękitne. Takim pastelowym odcieniem niczym z pudełka farb przedszkolaka. Ale do wieczora pochłastały je białe smugi zostawione przez samoloty; białe blizny na doskonałej kopule. Okno było otwarte tylko odrobinę i wpływał przez nie lekki powiew, przez co zawiasy skrzypiały o wiele za często. To był tego popołudnia jedyny dźwięk w mieszkaniu, poza tym że Ed od czasu do czasu szeleścił w swojej klatce – co można było wyłapać, tylko bardzo wyęzając słuch – z zewnątrz dobiegał daleki szmer ulic oraz ja otwierałam i zamykałam szuflady.

Siedziałam w gabinecie Angusa. Pospieszyłam się ze skasowaniem wszystkich naszych wspólnych zdjęć i teraz chciałam je odzyskać. On miał duplikaty na swoim kompie – sama je tam wgrałam, starannie uporządkowane w folderze o nazwie „My” – więc plan był prosty: skopiować i udawać, że do czystki nigdy nie doszło. Ale zdjęcia są duże, za duże na mejl. Właśnie więc zanurzyłam rękę po łokieć w drugiej szufladzie, szukając pendrive’a.

Bingo.

Wyciągnęłam go – był zielony – i podłączyłam do komputera.

Kliknęłam na ikonkę i przygotowałam się do zgrania zdjęć. Ale na pendrivie już było pełno zdjęć, PDF-ów i plików excelowych o tajemniczych nazwach.

Nie mogłam ich wszystkich po prostu skasować – musiałam je przegrać na

pulpit, na wypadek gdyby były bardzo ważne.

Kliknęłam na pierwszy, żeby sprawdzić, co to jest: arkusz kalkulacyjny. Kolejne zakładki pełne liczb. Zerknęłam na nazwę pliku: TTS_JN. Co to jest?

Otworzyłam kolejny plik.

Zdjęcie.

Znam tego człowieka.

Napatrzyłam się na tę twarz przez ostatnie dni. Bruzdy biegnące od haczykowatego nosa do ust, rzadzące włosy, obwisłe policzki.

Nikołaj Stiepanowicz. Wychodził z budynku przez wielkie przeszklone drzwi obrotowe. Niósł jakąś torbę sportową. Wzrok miał spuszczone.

Pokój zawirował, krew tętniła mi w uszach, gdy szybko przeglądałam resztę dokumentów. Tylko jeden plik tekstowy. Kliknęłam na niego. Patrzyłam, jak otwiera się powoli. Na lewym marginesie widniała seria czerwonych ramek komentarzy.

Nikołaj Stiepanowicz (Citexel International) to przedsiębiorca odpowiedzialny za inwestycję The Town Square w Oxfordshire, kluczową dla wielkiej operacji wpompowania brudnych pieniędzy z jego ojczyzny Rosji na brytyjski rynek za pośrednictwem wymyślnej sieci podstawionych spółek.

Po lewej w chmurce widniał tekst: „transakcje zob. arkusz TTS_JN”.

Teraz operacja ma być powtórzona przy nowej inwestycji w Eastbourne, przeznaczonej dla osób powyżej 65. roku życia. Plany przewidują wszechstronną rewitalizację, przeobrażenie miasta w luksusowe miasteczko emeryckie. Mają powstać budynki z mieszkaniami na wynajem i szpital. Wydano już pozwolenia na budowę, inwestycja jest w pełni zabezpieczona finansowo. Zamknięto etap wykupu gruntów za pośrednictwem nielegalnych grup. Prace budowlane przy Etapie nr 1 mają się rozpocząć w maju.

Do tego dołączony był komentarz: W tej chwili KR Property International oraz Jenson prowadzą rozmowy na temat potencjalnej inwestycji. Potwierdzenie załączone w PDF-ie o nazwie Emails.

Wpatrywałam się w ekran zszokowana: Nie padła tu nazwa Turner Group. Przewinęłam w dół, szukając tego PDF-a. Znalazłam jeden o nazwie emails_aktualizowane. Kliknęłam i tam na samym szczycie listy widniał mejl od Val, w którym potwierdziła zainteresowanie Davida Turnera inwestycją Eastbourne i prosiła o spotkanie o 14.00 w poprzedni wtorek.

Dostałam gęziej skórki. Oddychałam szybko. Wpatrywałam się w ekran, informacje wirowały w mojej głowie. Arkusze kalkulacyjne. Zdjęcie. Mejle. Informacje zawarte w dziesiątkach plików, które jeszcze miałam otworzyć.

Ale przede wszystkim ten plik tekstowy.

W artykule „Guardiana” nie pojawiła się ani jedna informacja, której by tu nie było.

Na moich dłoniach zebrał się pot, gdy chwyciłam myszkę i jak najszybciej pozamykałam wszystkie dokumenty.

Angus nie może się dowiedzieć, że je znalazłam.

Że wiem.

Bo teraz już nie miałam wątpliwości: Angus mnie wrobił.

Odłączyłam pendrive i odłożyłam go na miejsce, a potem szybkim ruchem zatrzaskałam szufladę.

Kręciło mi się w głowie, musiałam się chwycić krawędzi biurka, żeby złapać równowagę.

Na tym pendrivie było tyle informacji – musiał je zbierać całe miesiące. A jeśli jeszcze doliczyć sprawdzanie faktów w redakcji... to też wymaga czasu. Musiał zorganizować ten przeciek do „Guardiana”, na długo zanim mi zasugerował Eastbourne jako opłacalną inwestycję.

Po co jednak w ogóle zbierał informacje o Stiepanowiczu? Już samo to było co najmniej niebezpieczne – ale żeby je przekazać mediom? To już pachniało szaleństwem. Angus nie pasował na sygnalistę. Na pewno chodziło o coś większego niż zemsta za niewłączenie do interesów

Stiepanowicza. I skąd on w ogóle wziął te wszystkie informacje? Miał jakieś źródło pracujące dla Citexela? Na pewno. Pomyślałam o arkuszach. Mejle. Przypomniał mi się ten inwestor, który się wycofał: czy on brał w tym udział? Wiedział, co się dzieje? Czy dlatego się wycofał?

Zafiksowałam się na sprawach, które w sumie nie miały znaczenia. Angus doskonale wiedział, co planuje. Jaki będzie efekt. I próbował mnie zatopić w tym sztormie. Nic więcej nie musiałam wiedzieć.

Gardło mi się zacisnęło, obraz przed oczami się zamazał.

Jeszcze próbowałam walczyć ze zdrowym rozsądkiem.

Absurd. To nie może być prawda. Taylor, uspokój się.

Niemożliwe, po prostu niemożliwe. Musiało istnieć inne wyjaśnienie. Coś rozsądniejszego. Tylko co by to miało być?

Muszę stąd wyjść. Teraz, zaraz.

Wstałam i pobiegłam do sypialni. Odsunęłam drzwi szafy i zaczęłam wyciągać ubrania, rzucać je na stos na łóżko. Aż nagle po prostu stanęłam, wpatrując się w płataninę ciuchów, przytknęłam palce do ust i znieruchomiałam.

Bo to nie było takie proste. Nie mogłam stąd ot tak wyjść.

Musiałam mieć dobrą wymówkę.

Jeśli wyjdę, on zrozumie, że dowiedziałam się o Eastbourne, o tym, co zrobił – no bo z jakiego innego powodu tak nagle bym się rozmyśliła? Zorientuje się, że najpewniej odkryłam, że on jest źródłem przecieku, i nie wiadomo, co robi, żeby się zabezpieczyć.

Przed oczami stanęła mi Val otwierająca link do mojej ponownie wrzuconej do internetu sekstaśmy; teraz wiedziałam, że to raczej wykluczone, by zniszczył wszystkie kopie, tak jak obiecał. I następny obraz: ten zielony pendrive przybywający w żółtej kopercie na biurko redaktora w tabloidzie, z wyczerpującym wyjaśnieniem, że to ja, nie mogąc ujawniać swoich źródeł, przekazałam całą historię i teraz cała radosna się ujawniam. I to ja bym się znalazła pod ostrzałem. Okropnym możliwościom nie było końca.

Więc nie. Musiałam zostać. W każdym razie na jakiś czas.

Nachylając się nad łóżkiem, zgarnęłam szydełkową granatową sukienkę, odwiesiłam ją na gruby drewniany wieszak i do szafy. To samo zrobiłam z resztą swoich ubrań i już po paru minutach wyglądało, jakby w ogóle tej szafy nie opuszczały.

Zasunęłam jej drzwi i usiadłam na łóżku.

Miałam dwa wyjścia. Mogłam odejść teraz, zaraz. Angus zrozumiałby, że jestem potencjalnym zagrożeniem, a ja chcąc nie chcąc zostałąbym zakładnikiem w jego grze, nigdy bym nie wiedziała, która część mojego życia zaraz się zawali. Nigdy już nie czułabym się bezpiecznie.

Albo mogłam odzyskać kontrolę. Zorganizować wyjście awaryjne.

Żeby się przed nim ochronić, potrzebowałam dwóch rzeczy: mocnej wymówki do odejścia – czegoś, co by rozwiało wszelkie podejrzenia, że dowiedziałam się o jego machinacjach – i jakiegoś narzędzia, którego bym mogła użyć, gdy już znajdę się w bezpiecznej odległości. Czegoś, dzięki czemu on by się bał mnie tak samo jak ja jego. Na początek wystarczyłyby informacje kryjące się na zielonym pendrivie, ale potrzebowałam czegoś niezbicie wskazującego na niego – czegoś, czego nie mógłby się wyprzeć. Bo pendrive'a mógł – mógł powiedzieć, że pierwszy raz go widzi na oczy.

Gorączkowo rozejrzałam się po pokoju. Ciągłe wyglądał tak samo, pachniał tak samo – płynem do płukania, politurą do mebli i lekką nutą wody kolońskiej – ale wszystko się zmieniło. Moja pozycja była jednak mocna. Miałam swobodny dostęp do jego poczty, jego domu, telefonu, portfela, kalendarza, sąsiadów, wyciągów z karty kredytowej i komputera. Każdy rozdział jego życia leżał przede mną otworem, wystarczyło, bym się ośmieliła, i mogłam w nim szperać do woli i sprawdzać, co mi się podoba.

Musiałam tylko odgrywać rolę, do której mnie przygotował – Niedzielnej Dziewczyny. Będę się uśmiechać, ulegać mu, będę słodka i urocza, a jednocześnie będę potajemnie zbierać to, czego potrzebuję, by kupić sobie wolność.

To był dobry plan; tylko nie byłam pewna, czy mam na niego siły. Bo jakim

sposobem dwoje ludzi, którzy obdarzyli się miłością, znalazło się w takiej sytuacji? Pomyślałam o łzach w jego oczach, gdy stał na moim progu, błagając mnie o wybaczenie ledwie tydzień temu. O naszych żarcikach z pomarańczowego bikini i naszych planach na przyszłość. Jeszcze wczoraj uprawialiśmy seks. Czy to wszystko było kłamstwem?

Mój telefon łądował się na szafce nocnej. Sięgnęłam po niego i sprawdziłam, która godzina: 17.22.

Chciałam zadzwonić do Charlotte, ale nie byłam w stanie. Nawet gdyby nie znajdowała się w tej chwili w szkockich górach, gdzie był główniany zasięg, powiedziałyby mi, że mam się zwijać. Naciskałyby. Ale ona nie rozumiała, jak to jest żyć bez wsparcia dużych pieniędzy, bez zabezpieczenia. Gdy nikt ci nie opłaci adwokata, nie będzie się o ciebie bił, nikt nie zadzwoni, żeby ci załatwić nową pracę, gdy cię wyleją w niesławie po obejrzeniu twojej sekstaśmy. Nie miałam nikogo, kto by za mnie rozwiązywał problemy.

I to nie jej życie by się rozleciało. Nie ona by trafiła do Internetu, nie ona zostałaby bez pracy albo i coś gorszego. Odetchnęłam głęboko i spojrzałam za okno. Niebo przybrało barwę ciemnego granatu: Angus niedługo wróci i nie mogłam ryzykować, że przyłapie mnie na poszukiwaniach.

Spojrzałam ponownie na telefon i podjęłam decyzję: zadzwonię do Davida. Powiem mu, czego się dowiedziałam. Wyjaśnię, co się stało. Przeleciałam przez ostatnie połączenia, znalazłam jego numer i słuchałam, jak się łączy – jeden sygnał, drugi, trzeci. I szybko się rozłączyłam. Nie myślałam jasno. Co zamierzałam powiedzieć? „Cześć, Davidzie, tu Taylor, przepraszam za tę całą sprawę z Citexelem, ale właśnie znalazłam w gabinecie mojego chłopaka taki jeden zielony pendrive. Okazuje się, że to on stoi za przeciekami informacji, chyba stara się mnie zniszczyć i...” To brzmiało niedorzecznie. Poza tym te wszystkie komentarze w pliku tekstowym były anonimowe. Więc było moje słowo przeciwko słowu Angusa i nie wiadomo, co on nawymyśla, wzięty na spytki, jeśli nie będę miała innych dowodów: „Och, nie, biedna Taylor, ona jest niezrównoważona. To jej pendrive. A co? Co na nim jest? Co się z nią dzieje?”.

To wszystko mogło się obrócić przeciwko mnie. Musiałam poczekać, musiałam znaleźć na niego coś jeszcze, zanim komukolwiek cokolwiek powiem.

Tak więc wróciłam do punktu wyjścia.

Poznaliśmy się na przyjęciu na jachcie, w sierpniowy długi weekend. Jednej z takich szalowych imprez, na których czuję się zawsze kompletnie zagubiona. Nie chciałam iść, ale Charlotte mnie ubłagała. Właśnie poznała Bena, a Ben był zapalonym żeglarzem. Zaproponowała, że pożycz mi sukienkę, i obiecała, że wino zneutralizuje moją naturalną skłonność do choroby morskiej.

Więc poszłam.

Oczywiście się myliła. Około 22 byłam na dolnym pokładzie, z dala od tłumu, przechylałam się przez burtę i jedną ręką trzymając się relingu, drugą usiłowałam odgarniać włosy.

Pochłonięta tymi zadaniami, nie usłyszałam, jak się zbliża. Nie wyczułam.

Ale z ciemności wychynął jego głos. Był hipnotyczny: „Zawsze miałem słabość do wymiotujących kobiet”.

Odwrociłam się i ujrzałam go. I w tym momencie wszystko w końcu nabrało sensu.

Nie pamiętam, co powiedziałam na jego dowcipne zagajenie. Pewnie się po prostu roześmiałam. Cokolwiek jednak zrobiłam, zadziałało. Bo następane, co pamiętam, to że tańczę z nim do muzyki jazz-bandu; *Feeling Good* na trąbkę. Z czasem ten utwór zyska status naszej piosenki. I ilekroć ją usłyszę, przypominam sobie złotą intensywność tej trąbki i ciepło oddechu Angus, gdy szeptał mi do ucha: „Napytałaś sobie biedy, sama jeszcze o tym nie wiesz”.

To chyba była jedyna szczerza wypowiedź, jaka padła z jego ust.

Kiedy tamtego wieczoru wrócił do domu, leżałam w wannie, przeglądając naszą historię klatka po klatce – nasze pierwsze spotkanie, наша pierwsza

randka, Paryż – szukając wskazówek, które przeoczyłam. Ale nic takiego nie znalazłam. Nic mnie nie przestrzegło, że pewnego dnia znajdę się w takiej sytuacji: będę leżała w jego wannie, usłyszę, jak drzwi się otwierają, i gardło mi się zaciśnie, bo będę mobilizować siły, by okłamać mężczyznę, który próbował mnie zniszczyć.

– Kochanie – dobiegł mnie głos Angusa. Trzasnęły drzwi wejściowe, a ja wyprostowałam się, obejmując kolana. – Musimy wyjść o dwudziestej, pamiętasz? – spytał zaniepokojony. Zapukał do drzwi łazienki i poruszył klamką. – Dlaczego się zamknęłaś? – Potrzebowałam jeszcze czasu, zanim stanę z nim twarzą w twarz.

– Cholera, przepraszam cię bardzo – zawołałam. Słyszałam w uszach, jak bije mi serce. – Nie czuję się dobrze – dodałam, starając się panować nad drżeniem w głosie. – Może dzisiaj pójdziesz sam?

Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza. Wyobrażałam sobie jego twarz, czoło zmarszczone z irytacji.

– Co?! – Podniósł głos. – Co ci jest?

– Nie wiem. Może nerwy po tych paru dniach. Mam biegunkę. Nie czuję się na siłach wychodzić.

– Aha.

Wstrzymałam oddech i czekałam.

– Ale ty idź – dodałam. Głos miałam wyważony: jedna trzecia uprzejmości, dwie trzecie służebności.

– Jesteś pewna? – Był piątek, a weekendów nigdy nie spędzaliśmy osobno.

– Oczywiście – odparłam. Mieliśmy zjeść kolację z Harrym i jakąś tam amatorską striptizerką, z którą spotykał się w tym tygodniu. Ale ja miałam inne plany: zamierzałam wykorzystać ten czas na dokładne przeszukanie jego mieszkania.

– Nie – odrzekł przez drzwi. – Zostanę z tobą i obejrzymy jakiś film. Będzie fajnie.

Cholera.

– Naprawdę nie przejmuj się mną – odpowiedziałam. W brzuchu mi się

zakręciło. No idźże.

– Nie, zostanę z tobą. Możemy ich zaprosić na kolację do nas jutro. I zaproszę jeszcze Jeremy'ego i Alison.

Zapowiadało się prawdziwe piekło: Harry był chamski, a każda kobieta, z którą się wiązał, absolutnie okropna. Alison była bezmyślna i wiecznie naćpana, Jeremy natomiast – jej mąż – był w sumie miły, ale i tak w zasadzie się nie odzywał. A pomijając całą resztę: oni wszyscy widzieli zdjęcie Kim i Angus'a na stoku – mało tego, Harry pewnie widział sekstaśmę – a ja nie chciałam się męczyć pod ich znaczącymi spojrzzeniami.

Ale nie mogłam tego wszystkiego powiedzieć. Więc odparłam tylko:

– Dobra, super.

sobota

Sun Tzu rzekł: Teren trudno dostępny, zarówno dla nas, jak i dla wroga, nazywam niepewnym.

18 LUTEGO

Zaraz po kolacji pojawił się temat rozbieranego pokera. Ja akurat sprzątałam ze stołu, Harry zaś w tym dokładnie momencie podał Angusowi torebeczkę kokainy zabezpieczoną różową gumką. Angus szedł do łazienki, żeby ją wciągnąć, a ja powiedziałam „Kochanie, co ty robisz?”. Tak właśnie bym powiedziała, gdybym dalej wierzyła, że wszystko między nami jest OK.

On jednak mi posłał ostrzegawcze spojrzenie – takie samo, jakie dzisiaj już widziałam, gdy stałam w kuchni z drewnianą łyżką i gotowałam dla jego znajomych; jak śmiem kwestionować jego decyzję, by nalać sobie pierwszą szkocką od prawie tygodnia – i spuściłam wzrok. Musiałam się trzymać planu, więc nie mogłam sobie pozwolić na pogorszenie sytuacji. Już dzisiaj mieliśmy milczącą kłótnię. Jego oczy płonęły. Moje przepraszały.

Bo David do mnie oddzwonił. W trakcie posiłku. I Angus odebrał.

Mój telefon, podobnie jak telefony wszystkich biesiadników, leżał na stole, a Angus, widząc, że dzwoni niezidentyfikowany numer, odebrał jak swój.

– Słucham – powiedział. I po chwili: – Nie, nie może. Kim pan, kurwa, jesteś? – Cisza. – David Turner? – Spojrzał na mnie wściekle, szeroko otwartymi oczami. – No więc, panie Turner, ja jestem jej narzeczonym – powiedział – i jeśli łaska, nie dzwoń do niej już, kurwa, nigdy.

I rozłączył się. Westchnął głośno. Delikatnie odłożył mój telefon, tak żeby go widzieć. I dalej jadł coq au vin, jakby nic się nie stało. A pode mną ugięły się nogi (narzeczony?!) i musiałam stawić odpór pytaniom Alison, kiedy będę miała pierścionek.

– Rozbierany poker? – Tak to właśnie padło. Inicjatywa Alison: kasztanowe włosy, sztuczne cycki i wydęte wargi. Niby pytanie. Ewidentnie flirtujący głos.

Angus zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na mnie. Dokładnie nad jego głową wisiała lampa i rzucany przez nią cień nadawał mu upiorny wygląd. Wyraz jego oczu zdradzał, że spodziewa się mojej odmowy.

Bo zawsze odmawiałam.

– Wchodzę w to – powiedział Harry. – A ty, kochanie? – zwrócił się do Emmy. Była śliczną młodą Anglohinduską: doskonała ciemna skóra, wąska talia, paznokcie niepomalowane i karmazynowa koronkowa sukienka. Zupełnie do niego nie pasowała, chętnie bym ją ostrzegła przed Harrym. On miał blond włosy i twarz cherubinka, ale wielką czarną dziurę w miejscu serca. Pewnie ciągnie swój do swego.

– Jasne – odparła, rozglądając się po wszystkich w poszukiwaniu poparcia.

– Super! – powiedziała Alison, klaszcząc w ręce i spoglądając na swojego męża.

– Oczywiście. – Jeremy wyciągnął z kieszeni marynarki skórzany futerał na cygara, jakby cały czas się spodziewał takiego obrotu sprawy.

Angus spojrzał na mnie, podnosząc brwi.

– Kochanie? – spytał.

To była moja szansa. Więc podniosłam na niego wzrok i z nieśmiałym uśmiechem powiedziałam:

– Dobra.

Udawaj zawstydzoną. Graj swoją rolę. Niech wierzy, że ma pełną kontrolę. Niech wierzy, że jestem prostoduszna. Niech straci czujność na tyle, bym mogła się wydostać z tego bajzlu.

Uśmiechnął się promiennie, zrobił w tył zwrot i spokojnie kontynuował wyprawę do łazienki, by wciągnąć kokę. Słyszałam, jak brutalnie otwiera szafkę, jak stukają o siebie słoiczki i przybory, gdy szuka lusterka, a potem dobiegł mnie trzask tłuczonego szkła.

– Cholera – usłyszeliśmy. – Kochanie!

Po chwili wrócił z łazienki i usiadł przy stole, rękoma wystukując rytm na drewnie, które wibrowało klasyczną muzyką lejącą cicho w tle.

– Kochanie, stłukłem coś w łazience – powiedział do mnie. – I przynieś też długopis i kartkę, żebyśmy pisali wyniki. – Nawet upojona miłością nienawidziłam go po kokainie. – A ty, cipo. – Wyciągniętym palcem wskazał Harry’ego. – Gramy na kasę czy zapalki?

– Spierdalaj – odrzekł Harry. – Na kasę.

Emma przyglądała się w milczeniu, podczas gdy Jeremy odgryzł koniuszek cygara.

– Ale będzie superjazda! – Alison nachyliła się z uśmiechem do Eda, którego klatka została przysunięta do stołu. Jego małe nogi dreptały w tę i z powrotem z uciechy. – Jaki on jest piękny.

– Oczywiście – odparł Angus.

– I bystry – dodał Harry. – Patrz tylko: Cześć, Ed!

– Cześć, Ed! – odparł Ed.

Zostawiłam ich i poszłam po długopis.

– Kochanie, gdzie są długopisy? – zawołałam do Angusa z jego gabinetu.

– Kurde, nie wiem. Gdzieś! – odkrzyknął.

Zobaczyłam dwa podkreślacze w kubku przy komputerze. Wybrałam różowy i wzięłam kilka kartek z drukarki.

– Karty? – zawołałam ponownie.

– W dolnej szufladzie – odkrzyknął zniecierpliwiony.

Otworzyłam wskazaną szufladę i znalazłam talię. Ale nie wróciłam od razu do stołu, przeszłam do sypialni i założyłam sznur pereł oraz trzy bransoletki. Miałam na sobie tylko pięć rzeczy: granatową sukienkę, majtki, rajstopy i dwa czarne pantofle. A w przeciwieństwie do Alison nie zamierzałam rozebrać się do naga.

– Posprzątałaś ten bajzel w łazience? – spytał Angus, gdy położyłam na stole pisak, kartki i talię kart.

– Zaraz to zrobię – odparłam. Poszłam do kuchni po ścierkę.

Rozbił butelkę z moim serum pod oczy. La Prairie. Drogim. Małeńkie błyszczące szkiełka pokrywały matę i podłogę. Ale posprzątałam bez słowa protestu, bo Niedzielną Dziewczyna nigdy nie narzeka.

Wróciłam do stołu akurat, by usłyszeć, jak Angus oznajmia, że gramy w teksaskiego.

– Dobra – odparłam ze wzruszeniem ramion – ale ja nie umiem.

To nie była prawda: byłam kiedyś w szkole z internatem i nie miałam kieszonkowego. Dzięki pokerowi zapewniałam sobie pigułki odchudzające, syrop na kaszel i tusz do rzęs.

Obok mnie leżały pisak, kartka i stał nietknięty kieliszek wina.

– Och, skarbie, ja ci wszystko wyjaśnię – powiedział Angus. – Chwila, czy ty właśnie założyłaś biżuterię? – spytał z uśmiechem.

– Owszem. Nie możecie mieć za łatwo, chłopcy – wyjaśniłam. – Emma, chcesz coś?

– Nie potrzebuję, dzięki – odparła z uśmiechem. Dłonie miała pod stołem, pewnie trzymała Harry’ego za rękę.

Siedzieliśmy na zmianę: chłopak-dziewczyna-chłopak-dziewczyna-chłopak-dziewczyna.

– Dobra, dla ciebie wszystko, kochanie. – Angus nachylił się uśmiechnięty i delikatnie ścisnął mój czubek nosa.

Skrzywiłam się, że z taką swobodą udaje, że mnie kocha.

– Poważnie, nie grałam od lat, a z dawnych czasów pamiętam tylko, że jestem beznadziejna – skłamałam.

– No cóż, ćwiczenie czyni mistrza, a jeśli jesteś beznadziejna w takich sprawach jak poker, to tylko dlatego, że jesteś takim dobrym człowiekiem. – Puścił oko.

Uśmiechnęłam się.

– Ale dlatego cię kocham – dodał.

– Dlaczego mnie kochasz? – spytałam kiedyś nocą. Leżeliśmy w jego sypialni przy przygaszonym świetle, właśnie się kochaliśmy.

– Bo jesteś takim dobrym człowiekiem – odrzekł. – Jesteś taką osobą, którą muszę poślubić.

– Chcesz się żenić? – Obróciłam głowę, by go widzieć.

On też obrócił do mnie twarz, patrzyliśmy sobie w oczy i świat się rozmył. Wtedy oddałabym wszystko, by zostać jego żoną. Żeby był mój.

– Oczywiście. Muszę się ożenić.

– Co to znaczy? Dlaczego „musisz się ożenić”? – Dobór słów wydał mi się dziwny.

– Ze względu na pracę. W pewnym wieku musisz być żonaty. Ludzie lepiej na ciebie reagują. Łatwiej im się z tobą dogadywać.

– To znaczy, że nie chcesz się żenić z miłości?

– Tylko idiota dobiera sobie żonę z miłości.

– Słucham? – Aż mnie coś zabolalo w środku.

– Wybierasz sobie kogoś odpowiedniego. Ludzie oceniają cię po żonie.

– Więc mnie nie kochasz? – W piersi dudniło mi trzęsienie ziemi.

– Kocham cię na tyle, na ile umiem – odrzekł.

Powinnam była odejść wtedy, bez zastanowienia.

Podalam Angusowi karty. Ustanowił się dealerem, siedział obok mnie, napierając na moje udo swoim.

– Zrezygnujmy ze small blind, za mało nas – powiedział, zaczynając tasowanie kart.

Alison, która przyszła tylko w wełnianej sukience, wysokich butach i z jedną bransoletką – i jeśli mieliśmy szczęście, w bieliźnie – uśmiechnęła się z zapalem. Pochyliła się nad telefonem, coś z nim zrobiła i podała mi.

– Tu masz listę układów. Te u góry są najlepsze – powiedziała z uśmiechem. Wzięłam komórkę i udawałam, że wpatruję się w ekran.

– No więc zasadniczo, kochanie, każdy bierze dwie karty. Potem wszyscy po kolei obstawiają. Następnie dokładamy karty na środek – to się nazywa flop – i znowu się obstawia, dokłada kolejną kartę na stół, znowu obstawia i jeszcze jedną. Próbujesz utworzyć najlepszy układ z tego, co masz na ręku i co leży na stole. Jak w życiu. Dasz radę. – Puścił do mnie oko.

Uśmiechnęłam się.

Jeremy zapalił swoje cygaro, a Alison poruszyła się na krześle, pewnie żałowała, że nie ma amortyzacji z włosów łonowych. Harry szeptał coś do ucha Emmie, a ona zachichotała. Angus rozdawał, a ja patrzyłam.

Dostałam królową kier i dwójkę pik. Alison obstawiała pierwsza: trzy monety pięćdziesięciopensowe. Potem Jeremy: tyle samo. Emma i Harry poszli za ich przykładem, ja też. I Angus.

Na stole wyłożono króla kier, dwójkę karo, asa kier i waleta pik.

Zerknęłam na rękę i udawałam zmieszanie. Angus spojrzał na mnie znad swoich kart.

– Tak dobrze, skarbie? – spytał, dotykając mnie nogą.

Musiałam też flirtować.

– Może – uśmiechnęłam się. Krępująco łatwo się udaje zażyłość.

– Naprawdę?

– Tak, cudownie! – udawałam śmiech, podnosząc oczy do sufitu.

– O mój Boże, tak, tak! – krzyknęła Alison do swoich kart, gdyż zawsze musiała być największą gwiazdą. Pisnęła i zaczęła się gibać w górę i w dół.

Emma patrzyła zmieszana. Harry się zaśmiał. Jeremy zaciągnął się cygarem. Angus ściągnął brwi.

I wtedy odezwał się Ed:

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

W uszach mi zadzwoniło.

Oddech uwiązał mi w gardle.

Pozornie zachowałam spokój, ale moje zmysły siedziały okrakiem na elektrycznym pastuchu.

Spojrzałam na Angusa.

A on cały czas patrzył na mnie.

– Masz dzisiaj urodziny? – spytała Alison. Czoło miała zmarszczone, głos podniesiony.

Jeremy wypuścił obłok dymu, nie odrywając wzroku od Angusa, a ja się zastanawiałam, czy on wie o prostytutkach. Przeniosłam wzrok na Harry'ego: a on wie? Policzki mi płonęły, ręce zwilgotniały.

Angus się roześmiał.

– Nie, nie. To zabawna historia – dodał. – Kochanie, a może ty ją opowiesz?

Z trudem przełknęłam ślinę i próbowałam czytać w jego twarzy. Ale na próżno.

Pamięć mnie zawiodła. Nie mogłam sobie przypomnieć, co dokładnie Angus mi powiedział o prostytutkach. Wspomniał, że mówiły „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”? Pamiętam, jak opowiadał o tych żółtych kokardach, tylko to. No i dlaczego sugerował, że bym ja to opowiedziała? Wszyscy na mnie patrzyli. Z trudem oddychałam, szukałam wymówki, pretekstu, czegokolwiek. Ale nic. W końcu więc tylko wydusiłam:

– Słucham? – I udając, że skupiam się na swoich kartach, dodałam: – Nie wiem. Ed mnie nienawidzi.

Angus dalej nie odrywał ode mnie wzroku, czułam, jak wypala mi nim dziury w skórze. Na czole utworzyła mi się warstewka potu.

– Ach, nieważne – podsumował. Dalej namiętnie przyciskał swoją nogę do mojej.

Dokoła mnie trwało obstawianie, ale ja myślami byłam gdzie indziej. Próbowałam opanować drżenie rąk. Napiałam się wody i usiłowałam skupić wzrok.

– Kochanie, twoja kolej – powiedział Angus.

– Cholera. Muszę dołożyć pieniędzy? – spytałam, a on się roześmiał.

– Tak, skarbie. – Zerknął na Harry'ego i zaraz z powrotem na mnie. – Musisz. Musisz wyrównać do takiej sumy, którą inni obstawili, no chyba że

pasujesz.

Spojrzałam na karty. Miałam za mocną rękę.

– Dobra, pasuję – oznajmiłam.

– Na pewno? Nie możesz tego cofnąć – ostrzegł.

– Ale nie chcę stracić pieniędzy, więc pasuję.

Patrzył na mnie z namysłem.

– Naprawdę masz takie gówniane karty?

– Nie wiem, chyba.

– Może jeszcze wytrzymasz kolejkę. – Miała to być propozycja, ale zabrzmiało jak rozkaz. Gdybym jednak wytrzymała rundę, mogłabym wygrać. A to było sprzeczne z moją strategią.

– Nie, pasuję.

– Dobra, rób, jak uważasz. Ale mogę zajrzeć w twoje karty, żeby ci ewentualnie pomóc?

– Jasne. – Pokazałam mu, co mam na ręku.

Spojrzał na mnie zdenerwowany.

– To były świetne karty.

– Naprawdę?

– Kochanie, nie możesz pasować za każdym razem, gdy się pojawia jakieś ryzyko. Rozumiesz, jest ryzyko, jest zabawa... jak w piosence: musisz wiedzieć, kiedy blefować, a kiedy się wycofać.

Siekło mnie, jak zwięźle piosenka country zasadniczo podsumowała *Sztukę wojny*.

– No w każdym razie karty, które dostajesz, to czysty przypadek. Kluczem do tej gry jest umiejętność rozszyfrowania przeciwnika – dodał.

– Jeszcze jakieś wskazówki? – spytałam swoim najlepszym nowicjuszowskim tonem, rozglądając się po obecnych.

Emma wzruszyła ramionami.

– Nie przeszarżuj – podsunął Jeremy.

- Nie obstawiaj więcej, niż cię stać – dodał Harry.
 - W razie wątpliwości blefuj – to Alison.
 - Ale najważniejsze – włączył się Angus i zawiesił głos dla większego efektu: – Zawsze graj z godnym siebie przeciwnikiem.
- I puścił oko.
- Tak jest zabawniej.

Dwie godziny później Angus był bez koszuli, Alison zadowolona siedziała naga (większość z nas już widziała te wszystkie zasoby), ja na ogół pasowałam, więc zdjęłam tylko naszyjnik, Emma i Harry poszli do domu po wielu szeptach i chichotach, Jeremy natomiast, ciągle paląc swoje cygara, był ubrany po szyję, a przed sobą miał spore stosy pieniędzy.

W pokoju zrobiło się gęsto od dymu, Angus właśnie wrócił z kuchni z kolejną butelką wina.

- Ja już dziękuję – powiedziałam, zakrywając dłonią swój kieliszek, gdy dolewał nam kolejno.

- Co takiego? Bzdura! – prychnął. – Uwielbiasz wino.

- Po prostu nie czuję się najlepiej – odparłam.

- Nie jesteś chyba w ciąży? – spytała Alison, wybałuszając oczy: najpierw ten tekst z narzeczonym, teraz to.

- Nie – roześmiałam się, świadoma, że Angus mi się przygląda. Musiałam zachować przytomną głowę, nie mogłam dopuścić, żeby alkohol uspił moją czujność.

- Kochanie, i tak ci doleję – zdecydował – na wszelki wypadek.

Uśmiechnęłam się.

- No chyba że... kochanie chce wciągnąć malunią kreseczkę?

- Nie, skarbie, jest OK – odparłam, usiłując złagodzić wyraz swoich oczu.

- Niezły układ. – Mrugnął okiem, bo widział moje karty. A w tym mrugnięciu nie było nic, co by mnie ostrzegło.

Gdybym poprzedniego dnia nie znalazła tego zielonego pendrive'a w jego szufladzie, w jego oczach nie dostrzegłabym nic, co by zdradziło, kim on naprawdę jest. Do czego jest zdolny. Czy cokolwiek w moich obudziło jego czujność?

– Przepraszam – Alison ziewnęła, zasłaniając usta dłońmi, a jednocześnie z zadowoleniem odsłaniając nagą klatkę piersiową. Powieki jej ciążyły, Jeremy miał czerwone oczy, minęła właśnie druga i zbliżaliśmy się do końca kolejnej partii. Wiedziałam, że niedługo wyjdą, a wtedy ja zostanę z Angusem sam na sam. Ilekroć jednak sobie wyobrażałam, że mnie dotyka, maleńkie włoski na karku stawały mi dęba. Nie chciałam, by wychodzili.

– Przepraszam, zaraz wrócę – powiedziałam. – Grajcie beze mnie, jeśli chcecie. – Po czym wstałam i szybko przeszłam do łazienki. Sięgnęłam do szafki pod zlewem i wyjęłam tampon. Folię od niego zostawiłam na wierzchu śmietnika, a całe opakowanie na brzegu umywalki. Nieużyty tampon spuściłam w sedesie.

Angus mnie nie tknie, jeśli będzie sądził, że mam okres. Na tym punkcie był przeczulony. Zgodnie z planem wypadał najwcześniej za tydzień, ale jeśli nie liczył moich białych pigulek, to nie powinien o tym wiedzieć.

Wróciłam w chwili, gdy goście wstawali od stołu, Angus podawał im płaszcze.

– Wielkie dzięki, że przyszliście – powiedziałam. Trzeba umieć się zachować. Pocałowaliśmy się w powietrze przy uchu i oni wyszli.

W milczeniu umyliśmy zęby, czułam, jak tętni mi krew w żyłach, gdy wpuściłam go pierwszego do łazienki. Dałam mu czas, by zauważył folię. Pudełko. I dla pewności poprosiłam, żeby mi podał dwa paracetamole.

Tamtej nocy dotyk Angusa mi nie groził. Ale i tak nie mogłam spać. I gdy tak leżał, ciężki, nieznajomy, chrapiący na materacu obok mnie, ja cała nieruchoma, rozbudzona, wpatrywałam się w niego i usiłowałam w tym wszystkim odnaleźć sens. Utknęłam na tym samym pytaniu: Dlaczego? Pytaniu bez odpowiedzi.

I wreszcie około czwartej zapadłam w sen, myśląc o Davidzie i jego

telefonie. I jeszcze o tym, czy następnego dnia wreszcie będę miała szansę przeszukać mieszkanie i trafić na coś przydatnego.

I potem znowu o Davidzie.

niedziela

Sun Tzu rzekł: W dniu, w którym armia wyrusza na wojnę, z policzków żołnierzy spływają łzy aż na wyłogi mundurów.

19 LUTEGO

Angus już wstał. Czułam, że łóżko obok mnie jest puste. Wielkie. Zimne. Zimniejsze niż powietrze dokoła. Powieki miałam ciężkie, a w pokoju panowały ciemności. Ale mój umysł, wieczorem taki oszalały, teraz pracował jasno i logicznie. Jak zawsze rankiem. I pracował bez wytchnienia. Jedyne, czego chciałam, to znaleźć inne wyjaśnienie: inny powód, dla którego Angus miał te pliki. Ale ilekroć usiłowałam połączyć punkty w inny sposób, przypominałam sobie tamten dokument i komentarze.

Wszystko, co napisano w artykule „Guardiana”, znajdowało się też tam, na tym pendrivie, tylko ujęte odrobinę mniej elokwentnie.

I na tym się wykladały wszystkie alternatywne koncepcje.

Jęknęłam cicho i z oporem otworzyłam oczy: z salonu dobiegało jakieś światło, przebijając się przez czerń. Mój telefon ładował się na stoliku przy łóżku, sięgnęłam po niego: kolejne nieodebrane połączenie od mamy. Odłożyłam komórkę, westchnęłam głośno i wstałam. Powietrze było lodowate, dostałam gęsiej skórki, więc zawinęłam się w gruby szlafrok i przeszłam do kuchni.

Włączając czajnik, nasypałam kawy do zaparzacza i obejrzałam się na Eda. Obserwował mnie ze swojego ulubionego miejsca nieopodal drzwi balkonowych i wydawał wilczy gwizd.

Przy drzwiach wejściowych nie stały buty do biegania Angusa, ale nie wiedziałam, kiedy wróci. Nie mogłam ryzykować, że przyłapie mnie na nieuzasadnionym przeszukiwaniu szuflad, więc musiałam czekać.

Przypomniało mi się „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin” z wczoraj i serce mi zabiło szybciej.

W jak dużym byłam niebezpieczeństwie?

Woda w czajniku się zagotowała, nalałam do zaparzacza wrzątku i kuchnia wypełniła się zapachem kawy. Zsuwając tłok, prześledziłam wydarzenia ostatniego wieczoru i minionego tygodnia: palec próbujący odczytać słowa zapisane brajlem, ale na próżno.

Miałam wszystkie informacje, tylko że nie składały się do kupy.

Bo gdy mówił wczoraj „Kochanie, może ty to opowiesz?”, w jego oczach było tyle mroku, tyle samozadowolenia. Skąd w ogóle miałby wiedzieć, że ja za tym stoję?

Otworzyłam lodówkę i wyjęłam mleko. Na górnej półce ciągle leżała saszetka z ziołem od Charlotte. Nalałam sobie kawy, dolałam mleka i napiłam się. Gorzka.

Może to był test? Podejrzewa mnie i chce sprawdzić, jak zareaguję.

Przypomniałam sobie tę wielką paczuszkę koki, zawiązaną różową gumką, i całą wodę, którą wypił wczoraj.

A co ze spotkaniami Anonimowych Narkomanów? Czy on tam w ogóle jeszcze chodzi?

Odkąd wróciliśmy do siebie, nie zauważyłam, by często chodził na mityngi, ale wiedziałam, że poszedł chociaż raz, w walentynki. I miał sponsora. Ludzie nie biorą sponsora ot tak, bez powodu. Ale z drugiej strony – wziął od Harry’ego tę kokainę jak gdyby nigdy nic – jakby w ogóle nie rzucał narkotyków. Nie, to nie ma sensu. Wiem, że ma sponsora. Słyszałam, jak dzwonił; słyszałam dzwonek.

Może to kryzys. Nie bez powodu mówi się o tym „uzależnienie”.

I w tej właśnie chwili usłyszałam, że drzwi się otwierają.

– Cześć – powiedziałam, siląc się na normalny ton.

Angus wszedł i minął mnie. Miał na sobie czarne spodnie do biegania i szary T-shirt. Pod pachami i przy dekolcie wykwitły plamy potu. Angus nie trzeźwiał po prochach, musiał je wybiegać.

– Cześć – odrzekł, idąc powoli do łazienki. Po drodze zdjął koszulkę i rzucił ją na krzesło w rogu.

Wzięłam kawę i ruszyłam za nim.

– Co chcesz dzisiaj robić? – spytałam, siadając na skraju łóżka i udając radosny nastrój. Do tej pory przez cały weekend Angus nie odstępował mnie na krok, a musiałam zostać sama w jego mieszkaniu. Siedziałam po swojej stronie łóżka z tą kawą, on stał po swojej stronie i robił coś z telefonem. Słuchawki kołysały mu się w okolicy kolan.

Nie odpowiedział.

– Co chcesz dzisiaj robić? – spytałam.

– Muszę pracować – odrzekł, nie patrząc na mnie. Wpatrywał się w komórkę.

– W niedzielę? – spytałam, siląc się na rozczarowanie w głosie.

– Tak – odparł spięty. Nadal na mnie nie patrzył.

Coś się działo, czułam to. Dziwnie się zachowywał. Musiałam rozwiązać wszelkie podejrzenia. Niech się czuje panem sytuacji. Musi mieć pewność, że dalej jestem po jego stronie. I mogłam to zrobić tylko w jeden sposób.

– Nic ci nie jest? – spytałam, odstawiając kawę i przesuwając się po łóżku. Zsunęłam szlafrok, zdjęłam koszulkę, w której spałam, i uklęknęłam przed nim, marznąc. – Kochanie?

– Co? – Oderwał wzrok od aparatu.

Naga wyciągnęłam ręce, ale on ani drgnął. Jedną ręką trzymał telefon, drugą miał u boku. Patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem, jakby analizował wiszący za mną obraz. Potem odłożył telefon, poszedł do łazienki i głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

Od chwili gdy przestajesz dotykać iPhone'a, do chwili gdy ekran się zablokuje, mija czterdzieści pięć sekund. Wygooglowałam to parę miesięcy temu, gdy podejrzewałam go o romans z Kim i musiałam sprawdzić esemesy. Dopadłam jego telefonu w sekundzie dwudziestej piątej. Dotknęłam go i ekran się rozjaśnił. Do dzieła.

Może kogoś ma. Zachowuje się tak samo, jak wtedy gdy posuwał Kim.

Obcy. Zimny. Nieobecny duchem.

Musiałam wiedzieć: jeśli zdołam udowodnić, że jest ktoś inny, będę mogła odejść bez przeszkód.

Przejrzałam listę połączeń. Nic nadzwyczajnego. Przeszłam do esemesów. Tylko trzy – ode mnie, od Harry’ego i od matki. To już samo w sobie było podejrzane. Kto ma w skrzynce trzy esemesy? Najwyraźniej jakieś skasował. A po co je kasować, jeśli są niewinne?

Szumiały rury z ciepłą wodą, słyszałam, że Angus stoi pod prysznicem, słyszałam bębnienie kropel na kaflach przerywane za każdym razem, gdy wchodził pod strumień. Wyobraziłam sobie, jak stoi z namydloną głową, jak zamyka oczy, gdy spłukuje pianę.

Przeszłam do zdjęć.

Kilka zrzutów ekranu komputera z liczbami. Zdjęcie matki. Przewinięłam. I jeszcze: zdjęcie penisa.

Nowe.

Nigdy go nie widziałam.

A jeśli nie zrobił go dla mnie, to po co? Przypomniałam sobie paragon za kondomy, wiadomość od Kim. Czy o tym chciała ze mną porozmawiać? Że dalej się spotykają? Siedziałam na jego łóżku, nasłuchując jego ruchów w łazience, i nasza cała historia – Eastbourne, prostytutki, wypad na narty, sekstaśma, przemoc, kłamstwa, wszystko, co przy nim przeszłam – napierała na mnie jak fala przyływu, która się utworzyła w jednej sekundzie. Tego było za wiele.

Musiałam z tym skończyć.

Utworzyłam nową wiadomość, wpisałam numer 0770 090 0007. Felicia, sąsiadka. I wysłałam jej nowe zdjęcie penisa.

Jeśli nie mogłam się wydostać z tego związku z powodu prawdziwego romansu, wydostanę się z powodu zmyślnego.

Odłożyłam telefon i zakryłam się kołdrą.

Drzwi łazienki się otworzyły, Angus wszedł do sypialni. Włosy miał przyklejone do czaszki, bursztynowe oczy lśniły za zaparowanymi szklami

okularów. Sięgnął po telefon i patrzył. Ale mógł sobie patrzeć ile wlezie. Dowody zostały skasowane, ekran zablokowany, a ja leżałam w łóżku. W milczeniu obserwowałam, jak się ubiera.

W pokoju panowała cisza, taka głośna cisza, od której puchną uszy. Słyszałam swój puls. Krew. Szelest jego błękitnej koszuli, gdy szybko zapinał guziki. I że wyszedł z pokoju, idzie do wyjścia i bez pożegnania trzaska drzwiami.

Ale gdy tylko zniknął, ruszyłam do roboty.

Najpierw przeszukałam stoliki przy łóżku. Nie znalazłam nic interesującego – lubrykant i kilka blistrów z pigułkami. Paracetamol. Aspiryna. I jakąś moją starą gumkę do włosów.

Wzięłam ją do ręki i serce mi stanęło. Na metalowym ozdobniku zaczepiły się trzy długie ciemne włosy. Ciemnoblond. A przecież Kim farbowała włosy na blond. Ile nas było? Wrzuciłam gumkę do szuflady i zamknęłam ją.

Garderoba. Jedno skrzydło drzwi było odrobinę odsunięte, tak że widziałam granatowy rękaw marynarki wyglądający na zewnątrz. Podeszłam, szybko przeszukałam wszystkie kieszenie. Marynarki. Spodnie. Koszule.

Nic.

Tylko jakiś stary zmięty nieczytelny paragon i kilka monet.

Ed wodził za mną wzrokiem ze swojej klatki, gdy minęłam go i weszłam do gabinetu. Metodycznie, spokojnie przejrzałam szuflady. Nie czułam się spokojna.

Kilka faktur z wypisaną w rogu datą płatności, dwa znaczki, parę kopert, czysty bloczek post-itów i tamten zielony pendrive. Ale już wiedziałam, co na nim jest. Odłożyłam wszystko na miejsce.

Na biurku leżał niewielki plik kartek.

Służbowe mejle z odręcznymi notatkami u dołu. Wyciąg z konta. Przejrzałam go szybko, szukając czegokolwiek przydatnego: rachunki z restauracji, zakupy w Waitrose, jakieś z Petera Jonesa i parę różnych obciążeń, których nie rozumiałam. Nic, kompletnie nic. Albo był za dobry

w ukrywaniu, albo ja fatalna w szukaniu.

Odłożyłam wyciąg i przesłam do następnej kartki. List od rady mieszkańców w sprawie skargi sąsiadki z dołu, pani Clifton. Dotyczącej przecieku. Szkód. I podejrzewania o narkotyki. Coś spadło na jej balkon. Gardło mi się ścisnęło. Dlaczego mi nic nie powiedział o tym piśmie?

Czytałam dalej. To było pismo ostrzegawcze. Następne skargi mogą skutkować eksmisją.

Pomyślałam o zdjęciu penisa, które właśnie wysłałam Felicii. Doskonale.

Spojrzałam na monitor. Co się kryło w tym jego komputerze? Co bym znalazła, gdybym otworzyła puszkę Pandory? Włączyłam go.

Mejle. W telefonie nic nie miał, ale może poczty nie czyścił tak skrupulatnie. Może znajdę ślad elektroniczny, który udowodni, że to on przekazał informacje „Guardianowi”.

Otworzyłam okno przeglądarki i zalogowałam się na pocztę Angusa:

Przeglądałam listę: Amazon, Viagra, Harry. I nagle coś od jakiegoś Camerona. Bez nazwiska. Adres Caz007@gmail.com. Temat: Sophie Reed.

Przyszedł dziś rano i już był przeczytany. Kliknęłam.

Dwa słowa: Sophie Reed. Odbierz, kurwa, telefon, bo zadzwonię pod ten drugi numer.

Nie słyszałam, by Angus wspominał o jakimś Cameronie albo Cazie. Ani o Sophie Reed. Przewinęłam. Korespondencja zaczęła się cztery dni temu:

15 lutego 10.16

Caz: Angus, właśnie czytałem gazety. Jak mogłeś przekazać te informacje? Masz pojęcie, na co mnie narażasz? Na co narażasz moje źródła? Powiążą to ze mną. Mówiłeś, że to na wszelki wypadek! A reszta pieniędzy jeszcze nie dotarła. Zadzwon do mnie.

15 lutego, 21.22

Angus: To nie ja. Komu jeszcze przekazywałeś te informacje? Dostaniesz swoje pieniądze, ale to chwilę potrwa.

16 lutego, 11.05

Caz: Pliki przekazałem tylko Tobie. Wiem, że to Ty. Musimy pogadać. Wydzwaniam do Ciebie, odbierz.

17 lutego, 9.42

Caz: Angus, ja nie żartuję. Zadzwoń.

18 lutego, 22.04

Znajdź mi wszystko, co się da, na temat faceta o nazwisku Turner, David Turner.

18 lutego, 22.09

Caz: Chcę moją kasę. Nie będę taki cierpliwy jak ostatnio. Pamiętaj tylko, że Stiepanowicz nie jest jedyną osobą, na którą mam brudy. Więc odbierz ten jebany telefon.

19 lutego, 1.01

Angus: Nie groź mi.

I potem tylko ten mejl, który przyszedł dziś pięć po szóstej.

Moje myśli się zderzały z hukiem, gdy próbowałam prześledzić, co się dzieje. Kto to, kurwa, jest Sophie Reed? Co to jest „drugi numer”? I po co by Angus szukał informacji na temat Davida?

Przejrzałam mejle, patrząc na datę nadania: poprosił o informacje na temat Davida dwie godziny po tym, jak odebrał jego telefon do mnie. Cholera. Jeśli rzeczywiście zrobił coś, żeby zaszkodzić Davidowi, to będzie moja wina.

Otworzyłam kolejne okno i wpisałam do wyszukiwarki „Sophie Reed”. Cztery strony wyników, ale nic interesującego: Sophie Reed żyła szczęśliwa w Surrey z mężem i golden retrieverem, pracowała jako instruktorka jogi.

Kliknęłam na drugi wynik. Też nic. Kilka komentarzy na blogu o Hiszpanii, podpisanych tym nazwiskiem, ale nic podejrzanego. Kliknęłam na trzeci wynik. Nic. Nic. Nic.

Dopiero na samym dole trzeciej strony wyników znalazłam artykuł z gazety z grudnia 2006 roku.

A on dotyczył trzeciej Sophie Reed.

Ta nie żyła.

Wpatrywałam się w artykuł, próbując go ogarnąć, połączyć fakty: zginęła w napadzie rabunkowym w swoim pokoju hotelowym, od urazu głowy zadanego tępym narzędziem, w czasie wakacji w Kapsztadzie.

Spędzała je ze swoim chłopakiem, londyńskim bankierem, nie podano jego nazwiska.

Moje płuca napełniły się lodem, krew odpłynęła z żył.

Nie.

Oddychałam głośno.

Przełknęłam z trudem, gdy przypominałam sobie, jak ręce Angusa zaciskały się na moim gardle, kciuki wbijały się w krtań, głowa uderzała mocno o zagłówek. Jego źrenice zrobiły się maleńkie, mnie mroczyły latały przed oczyma, w miejsce ostrego bólu pojawiło się tępe pulsowanie. A potem fala gorących przeprosin.

Już nigdy tego nie zrobię.

To dlatego, że tak bardzo cię kocham.

Nikt inny nie jest w stanie mnie tak dotknąć jak ty.

Od tego wspomnienia paliło mnie w gardle.

Siedziałam wpatrzona w ekran, oczy mnie piekły i w całym ciele pulsowała gorąca ciemność. W uszach słyszałam ryk, gdy wpatrywałam się w jej zdjęcie. Wyglądała trochę jak ja: takie same ciemnoblonde włosy, taka sama figura i z tego co widziałam na zdjęciu, te same pełne nadziei oczy. Śmiała się, widziałam drobne zmarszczki wokół oczu i lekko rozchylnych ust.

I wtedy przypominałam sobie karton. Karton po butach ze zdjęciami Kim. Tam gdzie Angus trzymał swoje tajemnice. Tam znajdę coś, co mi powie, czy mam rację – coś, co potwierdzi, że nie zmyśliłam sobie tego wszystkiego. Wstałam od komputera i pobiegłam do sypialni. Otworzyłam szafę. Padłam na kolana, zdzierając sobie skórę, i sięgnęłam po pudełko.

Podniosłam pokrywkę, wyjęłam plik zdjęć.

Mnóstwo dziewczyn. Wszystkie śliczne. Brunetki, blondynki. Uśmiechnięte. Angus pogodny. Seksowny. Promienny.

I prawie na samym dnie znalazłam dowód.

Ona też się uśmiechała. Tak jak wszystkie pozostałe. Miała na sobie długą suknię, sięgającą do ziemi, do trawnika, na którym stała. I trzymała Angusa za rękę. On miał na sobie smoking. Szli na jakąś szykowną imprezę. Za nimi zachodziło słońce, tak że zdjęcie miało charakterystyczny żółty blask filmu 35 mm.

Wrzuciłam fotkę z powrotem do pudełka. Dygotałam, oddychałam szybko.

Dopadło mnie poczucie zagrożenia. I nagle to poczułam: ruch powietrza. Zanim usłyszałam jakikolwiek dźwięk. Otwierały się drzwi wejściowe. Ktoś wchodził.

Usłyszałam głos Angusa:

– Kochanie?

Wrzuciłam z powrotem resztę zdjęć, odstawiłam karton na miejsce za buty i pobiegłam do drzwi. Angus właśnie wchodził do środka. Musiałam wrócić do komputera.

– Cześć, skarbie – powiedziałam, podchodząc do niego szybko.

Usiadłam do jego komputera i gorączkowo złapałam za myszkę. Cała drżałam. Nie miałam czasu zamykać przeglądarki, ale szybko otworzyłam nowe okno.

– Co robisz? – spytał Angus.

Słyszałam, jak zamyka drzwi i podchodzi do mnie. Wpisałam do wyszukiwarki „śluby na Fidżi”.

– Ach, tu jesteś – powiedział, wchodząc do pokoju. – Wszystko w porządku?

– Cześć – odparłam, gdy pocałował mnie w czubek głowy. Przedemną widniało zdjęcie białego piasku i niebieskiej wody. Odwróciłam się z uśmiechem do Angusa. – Sprawdzam opcje.

Zerknął na ekran.

– Ładnie.

– Myślałam, że musisz pracować? – Podniosłam na niego wzrok, a on wytrzymał moje spojrzenie.

– Nie, musiałem trochę podzwonić, i tyle.

– Aha. Świetnie, czyli resztę dnia mamy dla siebie? – Chwyciłam go za rękę.

Uśmiechnął się.

– A może Bali? – spytał i wyszedł z pokoju.

– Poszukam – zawołałam za nim i odwróciłam się z powrotem do kompa.

Żołądek mi się ścisnął, w głowie miałam mgłę. Ale sięgnęłam po myszkę, zamknęłam okna i wyczyściłam historię. Potem siedziałam długo, wpatrując się w pusty ekran.

Słyszałam go w drugim pokoju. W oddali. Mówił do Eda. I wreszcie zrozumiałam: Angus był taki sam jak zawsze. To ja się zmieniłam.

Kroiłam marchewkę. Nożykiem nadawałam jej kształt ślicznych pomarańczowych gwiazdek, tak samo jak zawsze – wszystko, byle tylko myślał, że nic się nie zmieniło – a on na balkonie pił szkocką i patrzył na migoczący Londyn, jak na swoje włości.

Zerknęłam na zegar: 17.57. Charlotte niedługo wyląduje. Ale co jej powiem? I jak miałam jutro wrócić do pracy i udawać, że wszystko w porządku? Jak miałam oddzwaniać do mamy, teraz, wiedząc to wszystko? Głos mnie zdradzi, mama będzie się martwić. Tysiące myśli splątało się w mojej głowie jak latawce na wietrze.

Angus zabił Sophie Reed.

Cameron, kimkolwiek jest, miał na to dowody.

Ciągle dzwonił na drugi telefon Angusa.

Drugi telefon Angusa...

Ten, którego dzwonek słyszałam.

I nagle jeden z tych latawców wyplątał się i uwolnił: A jeśli to wcale nie był telefon dla sponsora? Jeśli Angus w ogóle się nie zgłosił do AN i po prostu podał mi jakąś historyjkę, którą na pewno miałam łyknąć? Tej jednej

wymówki nigdy nie używał. Tajna broń. Zabójcza.

Więc tak, miał drugą komórkę i ona znajdowała się gdzieś w mieszkaniu, ale to nie była komórka przeznaczona do kontaktów ze sponsorem. Tylko do kontaktów z takimi ludźmi jak Caz. I Kim. O, i właścicielka ciemnych włosów z mojej gumki. Do rozmów, których nie mógł prowadzić w dowolnym momencie.

Musiałam znaleźć ten telefon, sprawdzić, co się w nim kryje. Użyć go do szantażu, żeby mnie zostawił w spokoju – a może dałoby się go wysłać dzięki niemu do więzienia – i musiałam to zrobić, zanim stanie mi się krzywda.

poniedziałek

Sun Tzu rzekł: Oddziały zdesperowane dokładnie wykonują komendy dowództwa.

20 LUTEGO

Leżała na spodzie mojej torebki: mała plastikowa torebeczka z suwaczkiem. Pełna marihuany. Ta sama, którą Charlotte zostawiła w naszej lodówce. Ale że jej nie zapięła, susz był teraz wszędzie: w szczelinach mojej komórki, na szmince i w zagięciach podszewki.

Już w chwili gdy poczułam zapach – słodkawy i pastwiskowy – wiedziałam, co się dzieje: Angus podłożył mi narkotyki, pocałował mnie w czoło i wysłał do pracy.

Punktualnie usiadłam przy biurku i właśnie otworzyłam torebkę w poszukiwaniu plastra, bo zacięłam się kartką, gdy chciałam wydrukować mejl. Ale teraz byłam w łazience. Kiedy do niej weszłam, była pusta, zamknęłam się w kabinie najdalej od drzwi. Tej z małym okienkiem.

Rozejrzałam się: rolka papieru, pojemnik na zużyte tampony i szczotka. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam saszetkę z tą resztką, która się nie wysypała.

Spojrzałam na okno: jeśli ją wyrzucę, ktoś może ją znaleźć. Co gorsza, ktoś może zobaczyć ją, jak leci. Oceniłam, że to za duże ryzyko, i wysypałam susz do sedesu. Gruba warstwa brązowozielonych drobinek unosiła się na powierzchni, kilka przylgnęło do białych ścianek. Spuściłam wodę.

Wcisnęłam plastikową torebkę do pojemnika na tampony i zajrzałam do kibelka.

Cholera.

Susz dalej w niej pływał. Co prawda dużo mniej.

Czułam, jak napinają mi się mięśnie karku.

Wrzuciłam do środka papier toaletowy i czekałam, aż rezerwuar się napełni. Czekałam tak całe wieki.

To wszystko zrobił Angus.

Kroki.

Ktoś wchodził do łazienki. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi do kabiny, potem zamykają, potem rozsuwa się zamek i strumień moczu wpada do wody.

W głowie mi się kręciło, oparłam się o ściankę. Musiałam być cicho. Musiałam stłumić oddech.

Dziewczyna w kabinie obok sięgnęła po papier. Słyszałam, jak rolka piszczy przy odwijaniu. Szum spuszczonej wody. Suwak. Stuk odblokowanego zamka, otwarcie drzwi. Szum wody w umywalce. Suszarka do rąk. I wreszcie znowu zatrzasnęły się ciężkie drzwi wejściowe.

W gorączkowym pośpiechu wyjęłam wszystko z torebki i położyłam każdy przedmiot na błyszczącej niebieskiej podłodze: pomięte paragony, karty kredytowe z wyczerpanymi limitami, karty lojalnościowe kawiarni, kilka dawno zagubionych tamponów z uszkodzoną folią, trzy szminki, których nie używałam od miesięcy. Następnie odwróciłam torbę do góry nogami, żeby wytrząsnąć resztki suszu.

Ze środka wyleciała maleńka torebka koki.

O kurwa.

Sięgnęłam do sedesu, wyciągnęłam ją palcami i też wsadziłam do pojemnika na tampony.

I znowu spuściłam wodę.

Policzki mi płonęły, pod pachami byłam mokra. Oderwałam wielki kawał papieru i wytarłam wewnątrz torebki, usiłując pozbyć się zapachu. Cały czas nasłuchiwałam, czy ktoś nie wchodzi do łazienki. Napchałam papieru do kibelka i gdy ponownie wciskałam spłuczkę, osiągnęłam stan, który opisałabym jako niebywałą jasność wśród mgły.

Muszę się z tego wycofać, zanim to się posunie dalej. Zanim stanie się coś nieodwracalnego.

I to było to: w tamtej chwili mogłam jeszcze wszystko zmienić. Mogłam zmienić swoje przeznaczenie. Luka w starannie ustawionym dominie Losu. Jedyny moment, gdy mogłam powstrzymać te wszystkie klocki przed całkowitym upadkiem. Zatrzymać je w miejscu. Wystarczyło, żebym dokonała właściwego wyboru.

Bo w tamtej chwili mogłam się wycofać; nigdy już nie wrócić do domu Angusa, pojechać do matki i spisać na straty wszystko, co u niego zostawiłam. I gdyby nie było tam mojego komputera – służbowych dokumentów, dostępu do poczty – może wybrałabym tę drogę. Powinnam była wybrać tę drogę. I może gdybym to zrobiła, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ale nie wybrałam.

Stojąc w tej kabynie i czekając, aż rezerwuar napełni się wodą, obmyśliłam natomiast plan: udam, że jestem chora, wyjdę z pracy trochę wcześniej, zabiorę z jego mieszkania swoje rzeczy i wtedy odejdę. Na zawsze. Zanim on wróci do domu.

I w ten sposób przewracające się kostki domina nabrały pełnej prędkości. Zupełnie jakby nigdy się nie zatrzymały.

Woda spłynęła, zajrzałam do sedesu. Wszystkie drobinki zniknęły, więc zapakowałam rzeczy do torebki, zamknęłam ją i odblokowałam drzwi. Następnie wyszłam z kabiny i delikatnie zamknęłam drzwi za sobą. W łazience poza mną nikogo nie było. Tylko ja i moje udręczone odbicie w lustrze.

Uspokoiliam myśli, zarzuciłam torbę na ramię i wróciłam do biurka.

– Jesteś gotowa? – spytała Val, gdy usiadłam.

– Na co? Mamy spotkanie? – Dochodziła szesnasta, był mój pierwszy dzień po powrocie. Z zasady w firmie nie umawiano spotkań po czternastej.

– Nie, na badanie moczu – odparła, zakładając żakiet.

– Słucham?

– Losowy test na obecność narkotyków, rano pisali. Musisz czytać pocztę służbową – dodała karcąco.

Pokój się zakręcił.

– Ale ja właśnie sikałam – wydusiłam.

Wiedziałam, że w moczu mam ślady THC – pięć dni temu jarałam z Charlotte – i w torebce, gdyby ją ktoś sprawdzał. A już miałam za sobą ustne ostrzeżenie.

– To obowiązkowe? – spytałam. Serce mi waliło.

Na pewno to sprawa Angusa.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy obowiązkowe, ale chyba trudno odmówić, nie wzbudzając podejrzeń... chodź, raz-dwa i będzie po wszystkim.

– Tylko że ja się nie najlepiej czuję – powiedziałam, trzymając się za brzuch. Widziałam, jak Jenny z HR rozmawia z kimś w drzwiach. Za nią szła młoda dziewczyna z farbowanymi rudymi włosami, w rękach trzymała papierową tacę z plastikowymi kubeczkami o żółtych nakrętkach.

– Och. – Jej głos złagodniał. Spojrzała na Jenny. – Dobra, słuchaj, to twój pierwszy dzień po powrocie, idź po prostu do domu. Ale tędy – dodała, ruchem głowy wskazując drzwi na schody – tak żeby cię nie widziała. Powiem, że byłaś tylko pół dnia.

– Dzięki – powiedziałam, sięgając po torebkę.

– Do jutra.

Dwadzieścia minut później siedziałam w taksówce, jechałam do mieszkania Angusa i pisałam esemes do Charlotte: *Mogę u Ciebie pomieszkać kilka dni?*

W mieszkaniu panowała cisza. Niesamowita. Nawet Ed milczał. Serce biło mi jak szalone, świst suwaków w kozakach poniósł się echem, gdy zdejmowałam je przy drzwiach. Dłonie miałam wilgotne, oddychałam płytko, biegnąc cicho do sypialni. Dochodziła siedemnasta, więc dopiero zaczynało się ściemniać, cienie okolicznych budynków padały na ściany. Pościel na łóżku zalewało łagodne światło wpływające przez okno.

I czułam zapach jego wody kolońskiej.

Od niego zrobiło mi się niedobrze. Korzenie. Skóra. Drzewo.

Sięgnęłam pod łóżko po swoją walizkę. Na rączce ciągle miała różową wstążkę, którą zawiązałam przed niedoszłym wyjazdem na narty. Położyłam ją na łóżku i szybko przeszukałam pokój. Moje rzeczy do makijażu leżały na toaletce, zgarnęłam je pospiesznym ruchem, wrzucając buteleczki i pędzle do kosmetyczki. Później bielizna. Sukienki. Golfy.

Komputer!

Pobiegłam do gabinetu i chwyciłam go – zostawiłam do ładowania, z wtyczką wetkniętą do gniazdka zaraz przy fotelu Angusa.

Światło w gabinecie było włączone, przez lekko uchylone drzwi widziałam ciemnopomarańczowy blask. Musiał je zostawić niechcący.

Pchnęłam drzwi; podłoga skrzypnęła, gdy przeszłam przez próg.

A gdy podniosłam wzrok i oczy przyzwyczyły mi się do światła, zobaczyłam Angusa. Siedział w swoim skórzanym fotelu, z nogą założoną na nogę, tak po męsku. Na kolanach trzymał otwarty mój fioletowy notes.

Chciałam się rzucić do ucieczki. Chciałam krzyknąć. Ale nie mogłam. Patrzyłam na jego uśmiechniętą twarz i myślałam tylko o jednym: Sophie Reed pewnie też się tak czuła. Pewnie też wyczuła niebezpieczeństwo.

– *La magie dans la lumiere* – odezwał się jego głos. Gruby. Mroczny. Niski. Odczytał te słowa z notesu. – Uwielbiam to zdanie. Pamiętasz, kiedy je zapisaliśmy, kochanie?

Paryż. Firanki. Zmierzch. Zmięta pościel.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Co robisz z moim notesem? – Głos miałam drżący, wysoki. Za plecami Angusa widziałam mój laptop, ale nie miałam szansy go dosięgnąć.

– Czytam – odrzekł, palcem wskazującym mocno stukając w kartkę. Puk, puk, puk. – Chyba czas, żebyśmy pogadali.

– Jasne – odparłam – ale idę właśnie do Charlotte, czeka na mnie. Może później? – Uśmiechnęłam się, kiwnęłam głową i odwróciłam się do wyjścia.

– Nie, Taylor. Porozmawiamy teraz. – Spokój w jego głosie był groźny.

Odwrociłam się. Wpatrywał się we mnie.

– O czym chciałbyś porozmawiać? – spytałam.

– O tym – odrzekł spokojnie, podnosząc notes.

– Skąd go masz?

– Znalazłem. W niedzielę, jak brałaś prysznic.

– W tym notesie nie ma nic sensownego. – Próbowałam się zaśmiać, ale tylko fałszywie rozciągnęłam usta w grymasie. – I tak zresztą nie powinieneś grzebać w moich rzeczach osobistych. Ani czytać moich osobistych zapisków. Łatwo je błędnie zinterpretować.

– Doprawdy? – Palce przewróciły kilka kartek, wzrok śledził zapiski. I zaczął czytać: – „Ciągle myślę o ostatnim roku – przedrzeźniał mój głos – zastanawiam się, gdzie popełniliśmy błąd, jak to się stało, że pojawiły się prostytutki, czy postąpiłam właściwie”. – Jego głos, teraz już donośny, odbijał się od ścian, wzrok przecinał mnie jak tafla lodu.

Nie mogłam oddychać. Znałam to spojrzenie. Cofnęłam się i rzuciłam do ucieczki.

– Nawet się, kurwa, nie wąż! – wrzasnął, aż zawibrowały mi kości.

Usta miałam otwarte. Suche. Ale odwróciłam się, by stanąć twarzą do niego.

– Dopiero co zobaczyłam sekstaśmę – powiedziałam. – Strasznie mnie to zabolalo. – Ręce mi się trzęsły. Plamki latały przed oczami.

– Strasznie mnie to zabolalo – znowu mnie przedrzeźniał. – Tylko siebie posłuchaj. Jakbyś to ty była ofiarą. Zapłaciłaś za prostytutki moją służbową kartą, ty pojebana suko! – Zaczerpnął powietrza, żeby się uspokoić. – Taylor, kiedy się stałaś takim człowiekiem?

– Angusie, ty pojechałeś z inną kobietą na nasze narty – przypomniałam. – Wrzuciłeś do Internetu sekstaśmę ze mną. – Im mniej wiedział o tym, ile wiem, tym lepiej.

Uśmiechnął się.

– Owszem – rzekł. – Rzeczywiście. – Zmrużył oczy. – Ale dalej zamierzasz tak stać i udawać, że nie przespałaś się z nikim, gdy mieliśmy przerwę? Hm?

Pomyślałam o Jamiem. O Davidzie. Ale on zgadywał: owszem, David zadzwonił w czasie kolacji, ale pracowaliśmy razem. I skąd Angus miałby wiedzieć coś więcej?

I wtedy przyszła mi do głowy straszliwa odpowiedź: „Terapia?”.

Angus poklepał poręcz fotela i gwałtownie wypuścił powietrze.

– Chodź tu, kochanie – powiedział. – Usiądź przy mnie.

Ale mnie po prostu sparaliżowało. Nie mogłam się ruszyć w jego stronę, nie mogłam też się odsunąć. Gardło mi się zacisnęło, podeszwy stóp mrowiły.

– Nie mogę, skarbie – odrzekłam. – Jestem już spóźniona. – Po czym się odwróciłam i ruszyłam do sypialni. – Umówiłam się z Charlotte – zawołałam przez ramię.

– Jak chuj – odrzekł z głuchym pomrukiem.

Usłyszałam za sobą jego ciężkie kroki, ale nie odwróciłam się.

Oddech trochę mi się uspokoił, jakimś cudem przemówiłam spokojnym i rozsądnym głosem, niepewnym krokiem zdążając w stronę sypialni.

– Kochanie, naprawię to – dodałam – ale jeśli teraz nie spotkam się z Charlotte, domyśli się, że coś się dzieje...

– Nigdzie nie idziesz – powiedział, wchodząc do sypialni zaraz za mną.

Powietrze było gęste, nieruchome, a gdy usiadł na łóżku, skrzypnęło pod jego ciężarem. W lewej ręce trzymał mój fioletowy notes, teraz już zamknięty. Czułam, jak pulsuje w nim napięcie, jak oddech staje się głęboki, ochryply. Stałam obok swojej pakowanej walizki, dzieliło nas raptem dwadzieścia parę centymetrów.

– Widzisz, skarbie – odezwał się – największą twoją porażką jest to, że nie wiesz, gdzie twoje miejsce.

Mrugałam szybko powiekami, gdy patrzyłam w jego oczy, zagłębiałam do jego myśli. Ale te źrenice prawie się nie poruszały. Miałam wrażenie, że słowa, które wychodzą z jego ust, zostały rozpisane, przygotowane,

wyuczone.

– Ty naprawdę uwierzyłaś, że możesz wygrać z kimś takim jak ja. Ale nie możesz. Nie jesteś w stanie. Ja zawsze będę krok przed tobą, bo jestem od ciebie mądrzejszy. I zawsze wygram, bo jestem silniejszy od ciebie. – Zaczerpnął powietrza. – Mógłbym, kurwa, zapłacić, żeby cię ktoś zabił, gdyby mi się chciało. To nawet nie jest specjalnie drogie. – W jego głosie pobrzmiwał taki ton... wiedziałam, że mówi poważnie.

Przed oczami mignęła mi twarz Sophie Reed. I zrozumiałam, że nawet gdybym dopadła drzwi, nie byłabym bezpieczna. Ani trochę. Jedynie napytałabym sobie większej biedy.

Więc stałam tylko nieruchomo, patrzyłam, jak on stara się panować nad sobą.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego ty tak, kurwa, wszystko utrudniasz – powiedział. Głos miał podniesiony, wyrzucał słowa, kręcąc głową.

Jak ja mam się z tego wykaraskać?

– Naprawdę sądziłaś, że się nie dowiem, że ty za tym stoisz? – spytał z oczami szeroko otwartymi od kipiącej wściekłości. – Wiedziałem, jak tylko Candice do mnie zadzwoniła. Na długo zanim znalazłem to. – Pomachał moim fioletowym notesem. – Kto by, kurwa, był taki tępny, żeby robić coś takiego? Może Candice, ale gwoli uczciwości, ona by tak nie umiała.

W głowie mi się mąciło.

– Tak szczerze, to ciebie też bym nie posądzał – ciągnął. – Zaskoczyłaś mnie. No i... cóż, nie miałaś zielonego pojęcia, że ja wiem. – Uśmiechnął się. – Szkoda, że nie widziałaś swojej miny, jak wyciągnąłem tę żółtą wstążkę... – Roześmiał się, jak wredne dziecko, które złapało zająca w sidła i znęca się nad nim. – Ale ta wstążka za drugim razem była równie sexy jak za pierwszym. – Puścił oko.

Czułam, jak twarz mi się wydłuża.

– Aczkolwiek intryguje mnie, skąd wiedziałaś, które dziewczyny najczęściej zamawiam? I jako kto się, kurna, im przedstawiłaś? Moja sekretarka?

Teraz patrzył na mnie: wyczekująco. Jego monolog dobiegł końca, teraz chciał odpowiedzi. A ja miałam w głowie tylko jedną myśl: strategia wojny polega na przebiegłości.

– Powiedziałam im, że jestem twoją dziewczyną – wyszeptałam, spuszczać wzrok na swoją walizkę. – Że to niespodzianka i że ja też będę obecna. – Podniosłam oczy i przełknęłam ślinę. Kłamstwo oznaczało zagrożenie, ale Angus nie mógł się dowiedzieć, że mam dostęp do jego poczty.

– Ach, ty mała kokietko. – Wstał, materac jęknął. Ruszył w moją stronę: czułam korzenny zapach jego wody, gdy wyciągnął rękę i przegarnął palcami moje włosy.

Jego oczy i moje dzieliło kilka centymetrów: głębokie czarne jeziora, gdzie zwykle leżały odcienie whisky.

Chwycił mnie za włosy, unieruchomił i syknął:

– Ale już dość. – Jego chwyt się zacieśnił, a ja krzyknęłam. Oddychałam nierówno, słyszałam, jak on przetyka ślinę, patrząc na mnie spod zmrużonych powiek.

Próbowałam skinąć głową, ale za mocno mnie trzymał; oczy wypełniły mi się łzami.

– OK! – krzyknęłam. – Obiecuję.

Puścił mnie, a ja łapczywie, chrapliwie chwytalam powietrze.

– Dobrze. Bo nie chciałym, żebyś zrobiła coś głupiego, kochanie. Mogłaby ci się stać krzywda. – Stał tak blisko mnie: czułam ciepło jego ciała, włoski z jego zielonego swetra – który mu kupiłam – miałam na nagich ramionach. Spuściłam wzrok, żeby nie patrzeć mu w oczy, i z zapalem potrząsnęłam głową. Łzy, które wypłynęły mi z oczu, spłynęły po policzkach.

A on przechylił głowę na bok i przyglądał mi się.

– Jak tam twój pierwszy dzień w pracy, skarbie? – spytał z uśmiechem.

– Dobrze – odparłam, nie podnosząc wzroku.

– Na pewno dobrze? Czy znowu kłamiesz? – Jego palec wskazujący zawędrował pod moją brodę i podniósł mi głowę tak, bym musiała na niego

spojrzeć. – Miałaś dzisiaj jakiś teścik? Miałaś? – pytał, kiwając głową.

Wpatrywałam się w niego milcząco.

– Szybciej, skarbie, to nie takie trudne. Po prostu powiedz tak – nalegał niecierpliwie.

– Tak – odparłam szybko. – Dlaczego mi to... – zaczęłam.

– Dlaczego ci to zrobiłem? – dokończył za mnie. – Bo, najdroższa, nie jestem pewien, czy mogę ci ufać. Dopiero co próbowałaś mnie okłamać. A jesteś o wiele mniej dla mnie niebezpieczna, jeśli masz w aktach zażywanie narkotyków. – Zrobił smutną minę. – Nikt nie uwierzy w gadanie ćpunka, prawda?

Patrzyłam na niego z twarzą bez wyrazu.

– Widzisz? Sama jesteś swoim najgroźniejszym wrogiem, skarbie. Sama to na siebie ściągnęłaś.

Myślałam gorączkowo.

– Ale jak ci się udało...

– Jeden telefon. Jeden telefon i musiałem tylko powiedzieć, że rano widziałem, jak jacyś ludzie palą zioło na parkingu. Łatwizna.

Dolna warga mi zadrżała, gdy mnie puścił i z powrotem usiadł na łóżku.

– Kochanie – podjął – ja nie jestem złym człowiekiem. I nie chcę cię skrzywdzić, naprawdę. Chcę cię poślubić. – Splótł palce z moimi, a ja z trudem się powstrzymałam, by wyrwać mu dłoń. – Tak by było lepiej. Ale to nie oznacza, że cię nie skrzywdzę. Jeśli będę musiał. Więc od ciebie zależy, jak to się skończy.

Patrzyłam na niego. Chyba rzeczywiście wierzył w to, co mówi. I że jest usprawiedliwiony. Może nawet że jest dobry.

I wtedy właśnie zaczął dzwonić mój telefon: leżał na łóżku, oboje widzieliśmy błyskające na ekranie imię Charlotte.

Spojrzeliliśmy po sobie. Tętno mi szalało.

– Niech się włączy poczta głosowa – powiedział. To był rozkaz, więc dalej patrzyliśmy, jak komórka dzwoni. – A teraz wyślij jej wiadomość, że spotkasz

się z nią innego wieczoru.

Wzięłam telefon i napisałam: *Cześć, kochana, umówmy się na inny wieczór, zadzwonię jutro. Pa.*

– Pokaż – rozkazał. Więc pokazałam. I wysłałam. – Dobra robota – powiedział, zabierając mi telefon i rzucając go na łóżko. – No dobrze – podjął, chwytając mnie za nadgarstek i prowadząc do salonu. – Musimy jeszcze dopilnować paru rzeczy, zanim między nami wszystko się uporządkuje. Najpierw zadzwonisz do Candice i powiesz, że to ty, nie ja, zamówiłaś te jebane prostytutki na moją kartę.

– Dobrze – szepnęłam łagodnie. Musiałam go ugłaskać.

Staął przy barku i nalał sobie szkockiej.

– Siadaj – zakomenderował.

Zrobiłam, co kazał.

Rozejrzałam się po pokoju; mogłam się bronić lampą.

Wziął szklankę i powoli przeszedł do krzesła po drugiej stronie stolika. Ja zostałam sama na czarnej skórzanej kanapie, z rękoma złożonymi na kolanach.

– Widzisz, kochanie – zaczął, upiwszy alkoholu – jesteśmy w sumie dla siebie idealni. Wszystko na to wskazuje. I jeśli będziesz ze sobą szczerą, zobaczysz, że jesteśmy tacy sami. – Kiwał głową. – Ja potrzebuję żony, ty potrzebujesz... ty potrzebujesz mnie.

Słuchałam. Próbowалаłam kalkulować. I cały czas rozglądałam się po pokoju, zastanawiając się, gdzie on trzyma ten cholerny telefon.

– A Kim? Z nią nie chcesz się ożenić? – spytałam, ale głos miałam cichy i rozpaczliwy. Więc się uśmiechnął.

– Absolutnie nie. Kim jest za bardzo... Ja potrzebuję kogoś bardziej... kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto wie, jak się ubrać i umie prowadzić rozmowę w czasie kolacji w interesach. Poza tym, najdroższa, teraz za dużo już o mnie wiesz. Nie mogę pozwolić na to, żebyś gdzieś sobie łąziła. – Wykonał szybki ruch ręką. – Jesteś moja.

– Och. – Tylko to zdołałam z siebie wydusić. Oczy mi płonęły i zaciskałam

zęby.

– Jezu, kobieto – zaśmiał się. – Nie cieszysz się? Odkąd się poznaliśmy, chciałaś tylko jednego: żebyśmy wzięli ślub. A ja jestem całkowicie poza twoim zasięgiem. Powinnaś szaleć z radości – mówił coraz bardziej ponuro. – Ale moja cierpliwość, kochanie, już się powoli, kurwa, kończy. Więc pomyśl dwa razy, zanim zrobisz coś głupiego. To nasza ostatnia taka rozmowa, następnych nie będzie. Rozumiesz?

Wwiercał się we mnie wzrokiem, więc skinęłam głową.

– Rozumiem.

– Świetnie. – Spokojny wzrok wylądował na mojej twarzy. – Więc tak, weźmiemy ślub. Miły wiosenny ślub. Jeśli chcesz na Fidzi, pojedziemy na Fidzi. A potem pewnie dzieci. I skoro o tym mowa, już zaczniemy się starać. – Opróżnił szklankę, postawił ją ciężko na stoliku, a potem chwycił mnie za rękę i poprowadził z powrotem do sypialni.

Rzucił mnie brutalnie na łóżko i położył się na mnie. Przydusił mnie, oddychałam z trudem. Pisnęłam, a on sięgnął do moich majtek.

– Nie mogę – skłamałam, odpychając go. – Mam okres.

– Och, nie wkurwiał mnie – syknął mi do ucha, zdzierając ze mnie majtki. – Wiem, że nie masz okresu. Nie jestem idiotą, do kurwy nędzy. Ale dobra, niech będzie po twojemu, możesz sobie myśleć, co chcesz. Tylko pamiętaj, że tak czy inaczej, dzisiaj cię zerżnę. Kochanie.

wtorek

Sun Tzu rzekł: Dlatego biegli w prowokowaniu wroga do ataku tworzą sytuację, do której wróg musi się dostosować.

21 LUTEGO

Mdłości dopadały mnie falami. Bałam się mrugnąć powieką. „Jeśli nie będę zamykać oczu, nie będę tego widzieć. A jeśli nie będę tego widzieć, nie będę pamiętać”. Oczy mnie szczypały, drucziana szczotka szorowała mi gardło, łykałam łzy, a od niewyspania ledwie widziałam na oczy. Każdy dźwięk, zapach i ruch wydawały mi się groźne: szmer fotokopiarki za plecami, migające światło nad głową i gorzkawy zapach kawy w kubku. Od wszystkiego podskakiwałam jak oparzona.

Kevin roznosił pocztę. Patrzyłam, jak zaczyna na drugim końcu pomieszczenia i lawiruje między boksami; dla niego był to zwyczajny dzień. Ale gdyby to był zwyczajny dzień, nie musiałabym się koncentrować na tym, co jest po „nabierz powietrza”.

Wypuść powietrze.

Wypuściłam je z trudem. Miałam nadzieję, że Val mnie nie słyszy. Jeśli słyszała, udawała, że nic się nie dzieje. Chwała Bogu.

Ostatnie, co Angus powiedział, gdy wychodził rano:

– Do zobaczenia wieczorem.

I te słowa dzwoniły mi w uszach.

– Do zobaczenia – odparłam.

Ale już tam nie wrócę.

Próbowałam z nim walczyć i poniosłam porażkę. Próbowałam uciec, a ostatecznie ugrzęzłam jeszcze bardziej. I tak, nad ranem, gdy leżałam

nieruchomo, starając się go nie obudzić, stworzyłam nowy plan. Plan totalnej ucieczki.

Niedługo wykorzystam „skurcze”, które miałam wczoraj. Złapię się za brzuch. Wrócę do domu – do swojego, nie do mieszkania Angusa – spakuję parę rzeczy i pojedę do mamy. I już nigdy w życiu nie zobaczę tego człowieka. Tak. Zanim on się zorientuje, że mnie nie ma, ja wsiądę do pociągu do East Sussex.

Do tego czasu będę bezpieczna w pracy. Z laptopem u boku.

Dzisiaj rano przeczytałam jeszcze o Sophie: zginęła w trakcie napadu rabunkowego, jak pisano. Skatowana w swoim pokoju hotelowym. Jej chłopak odniósł tylko lekkie obrażenia, błahe uderzenie w głowę, po którym stracił przytomność. Gdy się ocknął, zobaczył jej ciało. Nie została zgwałcona. Niczego nie skradziono. Nikogo nigdy nie aresztowano. A jej rodzice, Justin i Lorraine Reed – miło wyglądająca para z Hampshire – szukali sprawiedliwości, apelowali do opinii publicznej o informacje i próbowali zaangażować w sprawę brytyjskie władze, ale na próżno.

Z zaciśniętymi szczękami zapisałam w telefonie ich dane kontaktowe: pewnego dnia może przekażę im, co wiem.

Próbowałam się pozbierać, a tymczasem Kevin powoli się do mnie zbliżał.

Kiedy przyszłam rano, w skrzynce przychodzących wiadomości znalazłam mejl od Davida, ale nie odpisałam. *Przepraszam za ten telefon w sobotę. Mam nadzieję, że nie narobiłem kłopotu Tobie ani Twojemu narzeczonemu... Chyba powinniśmy pogadać. Będę dzisiaj w Waszej firmie, a jeśli nie wtedy, to może do mnie zadzwonisz? David.*

I tak po prostu zobaczyłam go przed oczami, uśmiechniętego szeroko, poczułam ciepło jego dłoni na plecach i jego miękką dolną wargę, gdy się całowaliśmy.

Powinnam była zostać. Powinnam była z nim zostać. To wszystko by się nie zdarzyło.

Kevin był coraz bliżej. Rozmawiał właśnie z Val, bawiąc się swoim fuksjowym krawatem i zerkając na mnie.

Zamknęłam przeglądarkę.

– A panienska jak się dzisiaj czuje? Mademoiselle? – Puścił oko, docierając do mojego biurka i szperając w wózku.

– Świetnie – uśmiechnęłam się. Oczy zaczęły mnie boleć, więc uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. W ostrym fluorescencyjnym świetle biura trudno było nie mrużyć powiek.

– Proszę bardzo – powiedział, podając mi dwie rzeczy: folder z artykułami biurowymi z jasnoczerwonym dziurkaczem na okładce i cienką białą przesyłkę. – Dla ciebie.

– Dzięki. – Broszura trafiła prosto do śmietnika pod biurkiem, a cienka biała paczuszka została mi w dłoni. Na wierzchu odręcznie wypisano moje nazwisko i adres służbowy. Nie było znaczka ani stempla: przesyłkę dostarczył kurier.

Od razu rozpoznałam pismo.

– Miłego dnia! – zawołał Kevin, ruszając dalej.

– Nawzajem. – Oczy mnie piekły. Palcami rozdarłam białą kopertę, jakbym chciała zniszczyć jej zawartość, zanim się dowiem, co to jest.

W środku znajdowało się DVD. A na wierzchu różowym pisakiem ktoś narysował uśmiechniętą buzię.

Oddychaj.

Pojawienie się tej przesyłki zupełnie nie zmieniło jednak moich planów, tylko je przyspieszyło o jakąś godzinę.

– Tak mi przykro, Val, ciągle się czuję fatalnie – powiedziałam monotonnym głosem przez ściankę. – Mogłabym dzisiaj popracować z domu?

– Och. – Obróciła fotel, tak żeby spojrzeć na mnie z irytacją. – Może powinnaś pójść do lekarza?

– Tak, chyba tak – odparłam, łapiąc torebkę. I ruszyłam do windy.

Wcisnęłam guzik i wbiłam wzrok w podłogę. Ciągle nie oddzwoniłam do mamy, a wczoraj Charlotte zostawiła dwie wiadomości, pytając, czy wszystko w porządku, więc teraz musiałam oddzwonić również do niej. Ale

w tej chwili byłam w stanie myśleć wyłącznie o tym, co jest na białej płytce.

Ping.

Drzwi windy się otworzyły i podniosłam wzrok.

A tam stał przede mną on.

David Turner: doskonale wpasowany w swój nieskalany granatowy garnitur, białą koszulę i jasnoróżowy krawat. Mężczyzna sprawujący władzę. A obok niego stał Nigel, szef działu gromadzenia danych, z napiętą twarzą zasłuchany w to, co David mówi.

Cholera.

Patrzyłam na nich, dysząc. Miałam na sobie brudne czarne spodnie, stary szary sweter, a nieumyte włosy związałam w koczek. Wyglądałam, jakbym rozlazila się w szwach. Nigel przyjrzał mi się, wychodząc z windy. Przez chwilę sądziłam, że mnie po prostu miną.

– Taylor – powiedział David, zatrzymując się przede mną. – Miło, że cię widzę. – Na użytek Nigela uśmiechnął się zawodowo, ale stał tak blisko mnie, że czułam woń korzennej limonki jego szamponu i znajomy piżmowy zapach skóry.

– Cześć, Davidzie – powiedziałam. – Witaj, Nigelu.

Ten ostatni spojrział na mnie chłodno.

– Cześć – odparł. – Cieszę się, że cię widzę. – Sądząc z tonu, nie cieszył się ani trochę.

– Dobrze, że na ciebie wpadłem – podjął David. – Miałem nadzieję umówić się z tobą na spotkanie, poznać twoje zdanie na temat pomysłów, które rozważam.

Za jego plecami zamknęły się drzwi windy, biały dysk wypalał mi dziurę w torebce.

– Oczywiście, bardzo chętnie. – Mówiłam głosem spokojnym, ale wysokim. Serce uderzało mi o klatkę piersiową, a Nigel się nam przyglądał, wyraźnie zmieszany ciepłym podejściem klienta.

– Świetnie – powiedział David. – Moja sekretarka to załatwi. – Nasze oczy się spotkały, gdy kiwnęłam głową. Widziałam go, jak tańczy w szlafroku.

Czułam smak papierosa, którego paliliśmy w tamtym oknie, i bliskość ciała Davida. I policzki mi zapłonęły.

– Będę czekać – odparłam, zerkając na Nigela. Właśnie patrzył na zegarek.

– Cudownie. – David nie odrywał ode mnie wzroku, aż wreszcie podążyli w tym swoim jakimś celu, a ja pobiegłam do schodów.

Za drzwiami miauczała Chiara, i to mnie ostrzegło, że coś się dzieje. Roztrzęsionymi rękoma wsuwałam klucz do zamka: Jak ona się dostała do środka? Płytę miałam w torebce. I gdzieś w głębi duszy już wiedziałam, co zawiera. Obróciłam klucz, powoli otworzyłam drzwi i rozejrzałam się. Nic. Chiara śmignęła mi między nogami, a ja starannie zamknęłam za sobą drzwi.

Postawiłam laptop i torebkę na podłodze, wyjęłam białą kopertę i pobiegłam do odtwarzacza. Włączyłam go. Włączyłam telewizor. Wsadziłam płytę. Czekałam.

Znalazłam pilota i przełączyłam na DVD. Mały dysk zachrobotał, uruchamiając się. Trwało to całe wieki.

Ostry ból uderzył mnie między zębra, gdy pojawiły się dwie kratki. Nawet na miniaturkach, nawet z daleka rozpoznałam, co to jest.

Kliknęłam na pierwszy kwadracik.

I chyba najpierw rozpoznałam jego, a dopiero po dłuższej chwili siebie.

Jego klatka piersiowa, szeroka i pokryta miękkimi czarnymi włosami, i jego dłonie na moich biodrach: jego twarz znajdowała się poza kadrem. I żadnego dźwięku. Ale coś było w jego ruchach... w oddechu... Coś, po czym można go było rozpoznać nieomylnie.

Siebie nie rozpoznałam od razu.

Naprawdę tak wyglądałam? Cała w plamach i wykrzywiona?

Ale gdy w kadrze pojawiła się dłoń i pociągnęła mnie za włosy, podnosząc mi twarz do kamery – „Zobacz, jaka jesteś piękna” – zalała mnie fala palącego gniewu. I w jednej chwili wiedziałam dokładnie, co oglądam.

I doskonale pamiętałam, kiedy to zostało nagrane.

Nie wiedziałam natomiast jak.

Treść żołądka podeszła mi do gardła, zgięłam się wpół. Nic nie mogłam poradzić. Zwymiotowałam w konwulsjach. Tam na miejscu, na frędzle mojego czerwono-beżowego dywanika z second-handu.

Podniosłam wzrok na ekran. Był jeszcze jeden film.

Ocierając usta wierzchem dłoni, usiadłam na kanapie, wycelowałam pilot w ekran i kliknęłam na drugi kwadracik.

Gdy się uruchomił, krzyknęłam. Zatrzymałam taśmę. Oddychałam szybko: wiedziałam, kiedy to nagranie powstało. W czwartek wieczorem. Wyszłam właśnie z wanny, a on powiedział, że chce patrzeć, jak sama się zaspokajam. W kadrze widoczny był ręcznik rzucony przy łóżku. Natomiast Angusa nie było widać. Gdyby się oprzeć tylko na taśmie, on nie miał z tym nic wspólnego...

Kolejna fala mdłości i znowu zwymiotowałam.

Jak on to nagrał?! Wideo z Holly zrobił swoim telefonem. Wiedziałam, że je kręci – nie powinnam była mu na to pozwalać, ale wiedziałam, że to się dzieje.

Ale to? Wpatrywałam się w obraz na ekranie. Moja twarz zamarła w straszliwym grymasie. Patrzyłam prosto w kamerę, nikt by nie uwierzył, że nie wiedziałam o jej istnieniu...

Lustro.

Jak?! Wydawało się to nieprawdopodobne, wydawało się, że nikt by się nie posunął do takiej nikczemności. A jednak proszę, patrzyłam na dowód w każdym jego upokarzającym szczególe.

Nie wiedziałam, co robić, co powiedzieć. Całe moje ciało płonęło ze wstydu, gdy szłam do łazienki, gdzie chwyciłam chusteczkę z pudełka na parapecie i wydmuchałam nos, resztki wymiocin. W ustach czułam gorycz. Z lustra patrzyło na mnie moje odbicie: rozbitej na kawałki, czerwono-biało-różowe.

Przytrzymałam się porcelanowej umywalki i załkałam. Ramiona mi się

trzęsły, z nosa ciekło.

I wtedy usłyszałam pukanie do drzwi.

Cholera.

Sądziłam, że to sąsiedzi: może usłyszeli, jak płaczę, i się zmartwili. Ściany były cienkie. Spojrzałam w lustro, choć trochę doprowadziłam się do ładu i poszłam do drzwi.

– Kto tam? – siliłam się na normalny ton.

– Otwórz drzwi, kochanie.

Moje serce podskoczyło i znieruchomiało.

– Kochanie, otwórz drzwi – powtórzył Angus.

Nie mogłam go wpuścić. Ręce mi dygotały.

Skąd wiedział, że przyjadę tutaj?

– Taylor, wiem, że tam jesteś, wpuść mnie – mówił spokojnie. – Nic z tymi nagraniami nie zrobię, chyba że mnie do tego zmusisz.

Chwyciłam się dłonią za usta, oddychałam szybko.

Czułam, jak się opiera o drzwi.

– Taylor... Nie żartuję. Wpuść mnie. Natychmiast.

Więc podniosłam rękę, złapałam stalową gałkę, obróciłam ją i wpuściłam go.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział, wchodząc do środka i odstawiając aktówkę przy drzwiach. – To nie było takie trudne, prawda?

Podskoczyłam pod jego dotykiem, gdy wziął mnie w ramiona.

– Mam klucz, skarbie, wieki temu zrobiłem sobie odcisk od twojego. Sam bym i tak wszedł, więc to była dobra decyzja. Powinnaś być dumna.

Mój szloch się pogłębił, ramiona mi się trzęsły.

– Nie płacz, skarbie – mówił i kołysaliśmy się, ja z głową wtuloną w jego pierś.

Potem wziął mnie za rękę i zaprowadził do kanapy.

– Usiądź – polecił. A potem poszedł do kuchni, słyszałam, jak otwiera

szafkę, jak odkręca kran.

– Chcesz pić? – zawołał.

– Tak – odparłam drżącym głosem. – Dziękuję.

Już po chwili szedł w moją stronę ze szklanką wody. Podał mi ją, a ja piłam powoli, obserwując go.

– Kochanie, te nagrania to nie jest problem, dopóki sama z nich nie zrobisz problemu – powiedział. Oczy miał ciemne. Próbowałam uspokoić oddech, wytarłam ręką ciekący nos.

Odstawił pustą szklankę na stolik, zaraz obok wazonu z więdnącymi różami, które przyniósł mi raptem tydzień temu, a potem wziął moją szklankę i zrobił to samo.

– Ale to nie znaczy, że nie mamy problemu – powiedział, sięgając po moją rękę. Zawahałam się, zanim mu ją podałam. Co miałam robić? A on pomógł mi się dźwignąć, przez chwilę trzymał moją dłoń czule, a potem z całą siłą, tak brutalnie, że ją zmiażdżył. Z nieznośną mocą. Kości mi się skrzyły boleśnie. Był taki silny.

Krzyknęłam z bólu.

– Och, nie, błagam – zapłakałam.

– Zamknij się – syknął, puszczając mnie. Upadłam na podłogę i leżałam tak, zwinięta, patrząc na niego. Chwycił mnie za włosy i zmusił, żebym wstała.

– Widzisz, skarbie – syknął – przyjechałem tu już jakiś czas temu, miała to być niespodzianka, ale znalazłem coś, co mnie naprawdę wkurwiło. – Chwycił jeszcze mocniej i doprowadził mnie do łóżka. – Tak się wściekłem, że musiałem się przejść, żeby się uspokoić, bo inaczej zrobiłbym chyba coś strasznego. – Potykałam się, usiłując za nim nadążyć, oczy zaszyły mi łzami. Wszystko mnie bolało, nawet paznokcie.

Pchnął mnie mocno i wylądowałam na posłaniu. Łóżko pode mną skrzypnęło. Z trudem łapałam powietrze. I tylko leżałam, twarzą w dół, patrząc, jak on otwiera górną szufladę mojej komódki. Tę, w której trzymałam bieliznę.

– Kochanie – powiedział przez zaciśnięte zęby, macając w środku ręką – co to, kurwa, robi u ciebie? – Przeniósł na mnie wzrok, podnosząc swoje szczęśliwe skarpetki. Ten zwitek w brązowo-czarne paski.

Cholera.

Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Stał i patrzył. Z uśmiechem. Aż nagle sięgnął ręką do tylnej kieszeni i wyjął jakiś niewielki czarny przedmiot.

– Oczywiście, jednocześnie znalazłem to – dodał, machając w powietrzu małym czarnym prostokątem.

Wisiał za róg na cienkim sznureczku, który Angus trzymał w dwóch palcach. Kołysał się.

Zmrużyłam oczy, żeby rozpoznać, co to jest. I wreszcie zrozumiałam.

Mój token do banku: dostęp do mojej bankowości online. Przechowywałam go w szufladzie z bielizną, razem z jego szczęśliwymi skarpetkami. Była to część dwupoziomowego systemu zabezpieczeń, które mój bank wprowadził, żeby zwiększyć środki bezpieczeństwa. Tak się dostawałam na moje konto: token generował kod i musiałam podać odpowiedź na dwa pytania bezpieczeństwa.

Rzucił mi to, ale nie trafił, token spadł na podłogę z cichym przenikliwym stukotem. Angus podszedł do mnie powoli, sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i rzucił mi cztery banknoty dwudziestofuntowe; spadły mi na głowę.

– Proszę, Fluffy, to powinno ci wystarczyć do wypłaty – powiedział.

Fluffy.

Fluffy Kramer.

Imię prostytutki, mojej alter ego.

Ulubione zwierzę.

Pierwsza ulica, przy której mieszkałam.

Odpowiedzi na pytania bezpieczeństwa do mojego konta.

Nie musiałam nawet wchodzić na konto, żeby sprawdzić, co zrobił. Już wiedziałam, że zniknęły stamtąd 984 funty, które ciułałam od czterech

miesiący. Robił wszystko, co się dało, żeby mnie zatrzymać. Skutecznie. Następne pieniądze dostanę w piątek, a kartę kredytową wyczerpałam już przed miesiącami, żeby wpłacić depozyt na mieszkanie. Więc wyglądało na to, że miałam 80 funtów przy duszy, trzy sekstaśmy, chłopaka, który mnie nienawidził, i żadnych widocznych dróg ewakuacji.

Miał rację: był ode mnie lepszy.

I to się musi zmienić.

Ruszył ku mnie i zanim mrugnęłam okiem, podniósł dłoń i zamachnął się na mnie. Jeden błyskawiczny, płynny ruch. Jakby miał mnie spoliczkować. Mocno. Ale się zatrzymał w ostatniej chwili. Z moich ust dobył się cichy skowyt, a Angus się roześmiał.

– Zobaczymy się później, kochanie – powiedział, prostując się. – Weź prysznic.

Poszedł do wejścia, wziął swoją aktówkę. Zanim zatrzaskał drzwi za sobą, rzucił jeszcze:

– Nie rób nic głupiego, skarbie.

Łup.

A ja leżałam z wymiocinami we włosach, z rzęsami zlepionymi tuszem. Byłam taka naiwna: przeciek w kuchni, Felicia, pani Clifton, prostytutki. To było takie śmieszne. Amatorskie. Jeśli miałam się z tego wywinąć, musiałam myśleć jak on.

Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Charlotte.

Siedziałam na szarym plastikowym krześle naprzeciwko miłego pana w okularach – powiedziałam „pana”, ale musiał mieć jakieś dwadzieścia dwa lata. Tak brzmiała rozsądna rada Charlotte: „Idź na policję! – krzyknęła do telefonu. – I tam zostań”.

Nie powiedziałam jej wszystkiego – to oznaczałoby rezygnację z kontroli nad tym, jak się sprawy potoczą. Ale powiedziałam, że Angus znowu mnie zdradzał, a gdy go z tym skonfrontowałam, wściekł się, chwycił mnie za

gardło i przycisnęła do ściany. Przydaliby się świadkowie, gdyby Angus chciał się przedstawić jako ofiara. I przyszło mi do głowy, że ona może mieć rację: może to było sprytne posunięcie – zadbać, żeby coś się pojawiło w aktach. Tak więc wracając do mieszkania Angusa, po prostu to zrobiłam.

Z zewnątrz posterunek Belgravii wyglądał jak brzydko zaprojektowany budynek uniwersytecki, charakterystyczny dla końca lat siedemdziesiątych, gdy brązową cegłę i niebieską farbę uważano za szczyt elegancji. W środku było niewiele lepiej. Napiałam się ciepłej wody z dystrybutora i przeanalizowałam, co chcę powiedzieć – a czego na pewno nie mogę powiedzieć – gdy pojawił się młody detektyw o modnie ostrzyżonych włosach, ogolony po bokach. Przywitał się ze mną uściskiem ręki i poprosił, żebym poszła za nim.

Szliśmy jasno oświetlonym korytarzem. Brązowa wykładzina. Dziwna tapeta w romby. I on, rzucający mi uśmiech przez ramię co jakieś sześć kroków. Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, uśmiech, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, uśmiech... Weszłam za nim do niewielkiego gabinetu na końcu. Na jego biurku stało zdjęcie kobiety z oberżynowymi włosami. I biały zszywacz, Val miała podobny, leżał na boku przy podkładce na mysz.

Wziął do ręki długopis ze zjedzoną końcówką i otworzył notes.

– Chce pani zgłosić zajście? – spytał.

– Tak. Chyba tak. – Wbiłam paznokcie w dłonie.

– Może powie mi pani, co się stało?

– Chodzi o mojego partnera. On... on ma problem z kokainą. Jest porywczy... I grozi mi. A ja nie wiem, co robić.

– Aha. – Zabrał się do pisania. Długopis nie działał. Sięgnął po drugi.

– Jest brutalny – podjęłam. – Starał się, żeby mnie wyrzucano z pracy. Już dwukrotnie.

– Mieszka pani z nim?

– Nie.

– A więc odeszła pani od niego, a on ciągle nie daje pani spokoju?

– Nie. Jeszcze nie odeszłam. Boję się od niego odejść.

Westchnął.

– Chciałaby pani wnieść skargę o stosowanie przemocy? Czy to się stało w ostatnim czasie? Ma pani widoczne obrażenia? Siniaki?

Podniosłam na niego wzrok.

– Tak, to się stało ostatnio, ale nie mam siniaków. Złapał mnie po prostu za włosy i rzucił przez pokój.

– Jezu... – przerwał. I dodał: – Dobrze, proszę posłuchać, spiszę pani zeznania, a potem z nim pogadamy.

Wyobraziłam sobie, jak nieporadny policjant staje na progu mieszkania Angusa, albo co gorsza pojawia się u niego w pracy i mówi mu, że nie ma być już dla mnie niemiły. Angus uśmiechnie się tym swoim hipnotyzującym uśmiechem, zarzuci swój akcent z Eton, jakby to oczyszczało go z wszelkich podejrzeń, zapewni policjanta, że jestem po prostu niemądrą i melodramatyczną kobietą, a potem policjant sobie pójdzie. A ja zostanę i będę musiała sobie radzić ze skutkami tej interwencji.

– Musi pan z nim rozmawiać? – spytałam, a on poruszył się niespokojnie na krześle.

– Tak – odrzekł. – Zwykle wystarczy dać ostrzeżenie. – Kolejny uśmiech.

Cieszyłam się, że przyjmują ode mnie zeznanie – to mogło mi się przydać – ale nie mogłam ryzykować, że będę z nim rozmawiać; jeśli Angus się dowie, że poszłam na policję, będę w jeszcze większym niebezpieczeństwie. A jeśli nie mogli mnie chronić przed nim nawet fizycznie, to na pewno nie mogli mnie chronić przed podstępными intrygami, którymi najwyraźniej chciał zniszczyć mi życie.

– Musi pani złożyć oficjalne zeznanie – ciągnął. – Może mi pani podać pełne dane?

– Przepraszam – powiedziałam, wstając. – Muszę to sobie jeszcze przemyśleć. – I ruszyłam do drzwi.

Pospieszyłam brązowym korytarzem, minęłam mężczyznę przy biurku recepcji i wypadłam przez wielkie szklane drzwi na Buckingham Palace Road. I gdy stałam pod grubym szarym kocem chmur, wdychając wyziewy

czerwonych londyńskich autobusów i strzelających z gaźnika motorów, które mijają mnie z wizgiem, na moją duszę spłynął drobno mielony spokój: bo wiedziałam, co robić. I wiedziałam jak.

O 19.10 stałam na środku salonu. Przez ostatnią godzinę pieczołowicie przetrząsałam szafki w łazience, a potem komodę i szuflady w sypialni. Szukałam drugiego telefonu. Gdy po raz pierwszy go usłyszałam, leżałam w łóżku, więc musiał być w pobliżu. Ukryty pod swetrami w szafie. Albo w jakimś nienoszonym bucie. Sprawdziłam wszystko bardzo uważnie, strategicznie omijając zasięg lustra – nie wiedziałam, czy aby ta jego kamera nie nagrywa nieustannie – ale znalazłam tylko srebrną papierośnicę ciężką od nowej partii kokainy.

Przeszłam więc do salonu i wtedy usłyszałam, że w schowku coś wibruje. Zmarszczyłam czoło, rejestrując zarówno źródło dźwięku, jak i miejsce, z którego dobiega.

Szybko ruszyłam w tę stronę, chwyciłam za rączkę i obróciłam ją: szafka była zamknięta. Nie wiem, czy zawsze – nigdy wcześniej nie próbowałam jej otworzyć. Zawsze sobie wyobrażałam, że pełno w niej nart, kijów golfowych, śmierdzących starych butów i kartonów.

Przyłożyłam ucho do drzwi. Zdecydowanie to był telefon. I równie nagle jak zaczął wibrować, tak teraz przestał. Odsunęłam twarz od pomalowanego na biało drewna i wpatrywałam się w nie.

Znowu zaczęły się wibracje.

Podeszłam do lodówki i sięgnęłam do stojącej na niej terakotowej misy – Angus trzymał w niej zapasowe klucze. Spięte gumką, schowane pod długopisami i otwieraczem do kapsli, leżały trzy kluczyki, na jednym lichym kółeczku. Szybko poszłam z nimi do drzwi i po kolei wypróbowałam zdobycze. Pierwszy nie pasował. Drugi nie pasował. Trzeci też nie.

Kurwa.

Odniosłam kluczyki na miejsce i zerknęłam na zegarek. Angus niedługo

wróci.

Wzięłam torebkę, poszłam do łazienki i zamknęłam się w środku.

Teraz gdy wiedziałam, gdzie jest jego drugi telefon, mogłam wprowadzić w życie swój plan.

Odkręciłam kurki, a gdy łazienka wypełniła się parą, napisałam do mamy, że wszystko w porządku i niedługo do niej zadzwonię. Potem napisałam do Charlotte: *Jadę do domu na noc i wyłączam telefon, żeby on nie mógł do mnie zadzwonić. Mogę od jutra nocować u Ciebie?*

Następnie wyłączyłam komórkę, żeby nikt nie mógł się do mnie dobić. Musiałam zrobić to sama.

Weszłam do wanny i leżałam tam jeszcze długo po tym, jak usłyszałam, że Angus wraca, długo po tym, jak pomarszczyły mi się opuszki palców. I cały czas miałam przed oczami te same obrazy Sophie Reed: zdjęcie towarzyszące większości artykułów, przedstawiające ją w niebieskiej satynowej sukience do ziemi, taką uśmiechniętą radośnie. Potem dopadły mnie zdjęcia jej ciała na podłodze, z krwią, która wypłynęła z tej pięknej głowy. Mnie też skrzywdziłby któregoś dnia. Wiedziałam to.

Ale to DVD potwierdziło moje obawy: nie mogłam po prostu odejść. Nie mogłam zniknąć, jak to robią w filmach. Pociąg do East Sussex był piękną perspektywą jedynie teoretycznie, bo w prawdziwym życiu musiałabym się zmierzyć ze skutkami. Z jego gniewem. Wiedziałam już, do czego jest zdolny, i to było coś o wiele gorszego niż sekstaśma – wystarczy spojrzeć na Stiepanowicza i Sophie Reed. W najlepszym wypadku moje próby zakończyłyby się upokorzeniem. Najgorszy scenariusz był niewyobrażalny. „Wypadek”, za który może zapłacę życiem. A jak się dowiedziałam z wyprawy na posterunek, policja nie umie mnie chronić.

Muszę się chronić sama.

Tylko przetrwam z nim jeszcze jedną noc.

środa

Sun Tzu rzekł: Taktycznym posunięciem zgodnym z doktryną wojenną jest śledzenie sytuacji wroga, aby dobrze wyznaczyć dzień bitwy.

22 LUTEGO

Tamtego dnia kupiłam pistolet.

Chyba nawet bym wołała, żeby się to okazało trudniejsze. Ale się nie okazało. Jeden telefon, dziewiętnaście minut metrem do Brixton i pół valium.

Siedziałam w jakiejś garkuchni naprzeciwko Hayley Cravick: Charlotte kupowała u niej zioło w czasach, gdy mieszkaliśmy razem. Wcześniej widziałam ją tylko raz i musiałam przejrzeć wiadomości z 2015 roku, żeby znaleźć jej numer, ale ostatecznie się udało. Tylko że nie przyszłam po zioło. Przyszłam po coś innego, czym Hayley też handlowała. Właśnie z powodu tej drugiej branży Charlotte się wystraszyła i przestała od niej kupować. Spluwy. Małe. Takie żeby się zmieściły w kieszeni. Takie, jakiej potrzebowałam.

Takie, jaką miała mi zaraz sprzedać.

Bo nikt nie rzuca się na dziewczynę, która trzyma pistolet. Nawet Angus. Nóż to jeszcze, ale nie pistolet.

Tak więc siedziałam, krew mi tętniła w uszach, próbowałam przekazać jej pod stołem resztkę swoich pieniędzy, a do blatu od spodu było przyklepione pełno zużytych gum. Chciałam tylko, żeby wzięła te pieniądze, dała mi spluwę i żeby to wszystko się skończyło.

Ale już wtedy wiedziałam, że to nie będzie takie łatwe.

Oczy mi się zamykały, bo nie spałam. W głowie miałam mokrą wełnę, w żołądku ciasny węzeł. I chociaż bardzo się starałam, nie mogłam

zapomnieć, co się działo rano. Była to próba znalezienia luki w planie, czegokolwiek, co może wymagałoby dopracowania.

– Chodź tu – rozkazał, stając przy otwartych drzwiach. Była 7.56, miałam na sobie wąską spódniczkę, rajstopy i świeżą białą bluzkę. W rękę trzymałam tusz do rzes i właśnie zamierzałam nałożyć drugą warstwę. Wyglądałam, jakbym szykowała się do pracy. Złudzenie.

Podeszłam do niego.

– Co się tak boisz? – roześmiał się straszonym, pewnym siebie śmiechem. – Chcę cię tylko pocałować na pożegnanie.

Dotknął ustami mojego czoła w geście fałszywej czułości, po czym dodał:

– Może później zrobimy nowe wideo. – I puścił oko.

Następnie wziął aktówkę, odwrócił się i wyszedł. Trzask drzwi rozniósł się echem po mieszkaniu, a ja pamiętam, że mocno zamknęłam oczy i pomyślałam: „Mam piętnaście minut, żeby się spakować”.

Potem stałam przy drzwiach, ciągle skamieniała, słuchając, jak jego kroki cichną. Czekałam, aż zyskam pewność, że jestem bezpieczna. Pobiegłam do sypialni, wyjęłam walizkę i położyłam ją na łóżku. Sięgnęłam po telefon i wysłałam trzy wiadomości.

Mejl do Val, że właśnie się dowiedziałam, że Angus znowu mnie zdradza, i potrzebuję dwóch dni, żeby się wyprowadzić od niego i dojść do siebie. Odpisała zwięźle, że muszę wziąć urlop.

Esemes do Charlotte, że będę u niej później. Odpisała od razu, przypominając, że klucz jest pod zabłą po lewej od drzwi.

I esemes do Davida z prośbą o spotkanie w piątek wieczorem, żeby pogadać. Zasugerowałam Pod Powozem i Końmi. O 20. A on od razu odpisał, że się zgadza. Chciałam go ostrzec, że Angus zbiera informacje na jego temat i do czego jest zdolny. Że jeśli nawet nie znajdzie prawdziwych haków, coś sfabrykuje, więc trzeba go powstrzymać. Natychmiast. A potem żeby udowodnić swoje słowa, dam mu zielony pendrive i drugą komórkę Angusa. Bo jeśli Caz odbierze jakiś telefon, to na pewno wtedy, gdy będzie pewien, że dzwoni Angus. A gdy odbierze, to może David zaproponuje Cazowi

pieniądze za informacje o Angusie dla odmiany.

Potem się spakowałam. Szybko. Sprawnie. Zupełnie inaczej niż podczas poprzedniej próby dwa dni temu. Najpierw trafiły do walizki wszystkie ubrania z wieszaków w szafie – płasko złożone. Potem zawartość szuflad. Przybory toaletowe i do makijażu. I przeszłam do salonu: szukałam pięciu papierowych powodów, dla których musiałam tu spędzić jeszcze jedną noc.

Była środa. To oznaczało, że Elena, pani do sprzątanania, przyjdzie najpóźniej przed 8.30. Angus zostawił dla niej na stoliku pięć dwudziestofuntowych banknotów. Najwyraźniej jej wartość rynkowa była wyższa niż moja.

Wzięłam je i wsadziłam do kieszeni, gdzie miałam już 80, które mi dał, i 38 z torebki. Kiedy szłam do drzwi, całkowita suma moich zasobów finansowych wynosiła 218 funtów.

Czy za 218 funtów można kupić broń?

Pewnie tak. Jeśli wierzyć Google, za 250 funtów można kupić granat. Zerknęłam na zegarek: 8.13.

Musiałam wyjść, zanim ona się pojawi – i nie tylko dlatego, że wzięłam jej pieniądze. Jeśli tu nadal będę, ona może to przekazać Angusowi i wtedy on będzie chciał wiedzieć, dlaczego nie poszłam do pracy. Nie mogłam ryzykować, że coś go zaniepokoi.

Pięć minut później przejechałam z walizką obok Jake'a i stanęłam przy krawężniku, czekając na ratunek w postaci pomarańczowego znaczka taksówki – nie miałam już pieniędzy na koncie ani kredytu na karcie, więc za taksówkę musiałam zapłacić z puli 218 funtów.

Patrzyłam, jak po drugiej stronie ulicy drzwi Starbucks'a otwierają się i zamykają, gdy ludzie wchodzą i wychodzą, jak światła zmieniają się na zielone, żółte, czerwone. I nagle zatrzymała się przy mnie taksówka.

Nie widziałam, jak podjeżdża. Podałam kierowcy adres Charlotte, on schował moje rzeczy do bagażnika i ruszyliśmy.

Czterdzieści pięć minut później weszłam do mieszkania przyjaciółki, postawiłam walizkę i równie szybko, jak przybyłam, odjechałam z kluczem

w kieszeni.

Moim celem było Brixton, niewielka restauracja z żółtymi plastikowymi stolikami oklejonymi od spodu przezutą gumą. Tę knajpę zaproponowała Hayley.

A teraz siedziała naprzeciwko mnie: torba Louis Vuitton, na powiekach gruba czarna kreska, wyraz twarzy oznajmiający jasno, że nie chce wziąć ode mnie pieniędzy przy ludziach. Resztkę tego, co mi zostało, 190 funtów, wsunęłam z powrotem do torebki.

W ustach mi zaschło, napiłam się wody. Szklanka cuchnęła brudną ścierką.

Chciała mi udzielić intensywnego kursu strzelania, ale okazało się to trudne, bo ja nigdy wcześniej nie trzymałam w ręku broni. Użyła łyżeczki jako atrapy i butelki keczupu jako celu. Patrzyłam na nią zmieszana.

Co ja, kurwa, wyprawiam?

– Spróbuj – poleciła, podając mi łyżeczkę.

Ale to nie miało sensu. łyżeczka nie miała rękojeści, spustu, bezpiecznika (każdy wie, że bezpiecznik powinien być). Oddychałam szybko, puls mi dudnił.

Patrzyła, jak niezręcznie ściskam łyżeczkę, otaksowała mój służbowy strój i zobaczyłam błysk pożałowania w tych obmalowanych czernią niebieskich oczach.

– Chodźmy do mnie i spróbujmy z prawdziwą – powiedziała, nachylając się ku mnie. Po głosie oceniłabym ją na starszą.

– Świetnie – odetchnęłam z ulgą.

– Mieszkam zaraz za rogiem.

Kiwnęłam głową. A potem porzuciłam łyżeczkę i skinęłam po rachunek. Dostałam go szybko, zapłaciłam – teraz zostały mi 184 funty – i wyszłyśmy.

Mieszkała w kawalerce, miała niepościelone szerokie łóżko i antresolę, na którą wchodziło się po chwiejnej drewnianej drabinie o szczeblach omotanych lampkami choinkowymi. W pokoju pachniało marihuaną, ale była w tym jakaś niewinność. Wokół lustra wiszącego na środku ściany

umieszczone były jej zdjęcia, jak się śmieje i uśmiecha, zwłaszcza z jednym chłopakiem.

– No dobra – powiedziała, wyciągając broń z torebki.

Wzdrygnęłam się.

Zachichotała.

– Spokojnie, nie jest naładowana. Poza tym widzisz to? – spytała, wskazując niewielką część spustu. – Dopóki go nie przytrzymasz palcem, nie wypali. Nawet jeśli upuścisz spluwę.

– Ale gdzie jest bezpiecznik? – spytałam.

– No właśnie to jest bezpiecznik. Patrz, trzymasz to tak. – Pokazała, jedną ręką trzymając uchwyt, z palcem na cynglu, a drugą podtrzymując całość.

Podawała mi broń.

– Spróbuj.

Zadygotałam i dostałam gęziej skórki, gdy próbowałam naśladować jej ruchy.

– Świetnie – powiedziała łagodnie. – Najtrudniejsze jest celowanie. Jeśli możesz oddać strzał z bardzo małej odległości, będzie o wiele łatwiej. Im dalej jesteś, tym trudniej wycelować. Ale wiesz, zwykle przy samoobronie wchodzi w grę właśnie mała odległość, więc dasz radę.

Powiedziałam jej, że stalkuje mnie były chłopak i broń jest mi potrzebna po to, żebym się mniej bała. A ona kiwnęła głową ze zrozumieniem, jakby większość jej klientów miała podobne problemy.

– Spróbuj pociągnąć za spust – zachęciła mnie. Wahalam się. Potem wycelowałam w okno i pociągnęłam za spust. Spodziewałam się mniejszego oporu.

Zerknęłam na zegarek: chciałam się wtopić w tłum w godzinach szczytu, więc musiałam się spieszyć.

– Naboje płatne dodatkowo – powiedziała. – Tłumik też.

– Cholera, a ile wszystko razem? – spytałam zmartwiona.

– Sto osiemdziesiąt?

Żołądek mi się ścisnął. Nie mogłam jej oddać wszystkiego, co miałam.

– Mam tylko sto siedemdziesiąt – skłamałam, spuszczaając wzrok.

Wpatrywała się we mnie, czułam jej palące spojrzenie.

– Mogę ci dać resztę za kilka dni? Obiecuję, można na mnie polegać – zapewniłam, podnosząc wzrok.

Uśmiechnęła się uprzejmie.

– W porządku, nie przejmuj się, sto siedemdziesiąt styknie. Postawiłaś herbatę. – Znowu spojrzała na broń. – Dobra, tłumik zakłada się w ten sposób. – I znowu na mnie. – Ale tłumik nie oznacza, że od razu robi się cicho. To tylko oznacza, że nie pękają ci bębny. Więc uważaj. A ładuje się tak. – Patrzyłam, jak wsuwa naboje do magazynka, a potem klik, wkłada go na miejsce.

Po dwóch minutach, mając przy duszy 14 funtów i załadowaną broń w torebce, wyszłam.

Zaczynało mżyć, więc pobiegłam do metra. Gdy tu przyjechałam kilka godzin temu, zauważyłam mały sklep papierniczy. Na drzwiach świecił na niebiesko fluorescencyjny napis „Otwarte” i dopisek ręczny w oknie: „Szyпки druk niedrogo”.

Literówka wywołała mój uśmiech.

Przywitał mnie młody człowiek, zapłaciłam mu pięć funtów za skorzystanie z komputera i wpisałam linijkę tekstu: „Felicia 0770 090 0007, 0207 946 0139”.

Kliknęłam „drukuj”, „zamknij” i „nie zapisuj”.

Dziś opuszczę Brixton, mając dziewięć funtów, pistolet i zadrukowaną kartkę.

– O mój Boże, nic ci nie jest?!

Dochodziła dziewiętnasta, Charlotte właśnie wróciła do domu. Kieliszki do czerwonego wina napełniała szczerze dżinem z tonikiem. Ben miał próbę, więc byliśmy same.

Podeszła i podała mi kieliszek, siadając obok z twarzą spiętą od troski.

– Powiedz mi dokładnie, co się stało.

Więc jej powiedziałam swoje wymyślne kłamstwo. Dopracowywałam je, odkąd wróciłam z Brixton.

– To było potworne – mówiłam. – Wczoraj rano... on był w kuchni. Byłam już spóźniona i szukałam szczotki do włosów, i nie mogłam jej nigdzie znaleźć. Więc zajrzałam pod łóżko. – Przerwałam i nabrałam powietrza, spuszczać wzrok na kieliszek. – A tam leżały brudne majtki. – Podniosłam wzrok na przyjaciółkę. – Nie moje. – Zwiesiłam ramiona i miałam nadzieję, że robię to przekonująco.

– O mój Boże – jęknęła zniesmaczona. – I co ten chujek powiedział?

– Wyjęłam je i zaniiosłam mu – mówiłam dalej. – Byłam bardzo wściekła. Krzyczałam, no i sprawy wymknęły się spod kontroli. – Usta mi drętwiały, jak zawsze gdy kłamałam, usiłowałam je odprężyć. – Może to była moja wina.

– To nie była żadna twoja wina – zaoponowała stanowczo. A ja się zastanowiłam, co ona by pomyślała, gdyby знаła całą prawdę. Gdyby wiedziała, że w walizce mam naładowaną broń.

– No więc on zaczął krzyczeć, że mu nie ufam, i następne, co pamiętam, to że mnie przyciskał do ściany.

– Kurwa. – Zmrużyła oczy, zmarszczyła czoło. – Pewnie, że mu nie ufasz. Poszłaś na policję, jak ci mówiłam?

– Tak, ale oni chcieli z nim pogadać.

– No to niech pogadają – podniosła głos, wymachując energicznie rękoma. – Przydałoby mu się napędzić trochę stracha.

Wzięłam łyk drinka i ważyłam słowa.

– Słuchaj, nie chcę pogarszać sprawy – odparłam. – Chcę już go nigdy nie oglądać na oczy.

I wtedy właśnie piknął mój telefon. Sięgnęłam po niego i gardło mi się zacisnęło.

– Wiedziałaś, że do czegoś takiego dojdzie – powiedziała ze ściągniętą twarzą. – Wręcz myślałam, że już doszło.

Wpatrywałam się w aparat.

– To on? – spytała Charlotte.

Pokazałam jej wyświetlacz: *Gdzie jesteś, do cholery?*.

– No, przynajmniej nie wie, gdzie jesteś.

A kiedy podniosłam na nią wzrok, poczułam, że oczy wypełniają mi się łzami.

– Och, kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedziała i objęła mnie matczynym gestem. – Tylko mu nie odpisuj. – A potem ze swoim kieliszkiem w ręku ruszyła do kuchni.

Mój telefon znowu piknął: *Masz tu zaraz wrócić.*

Czułam w gardle bicie serca.

Spodziewałam się tych wiadomości i wiedziałam, że będę musiała sobie z nim poradzić. Tylko nie spodziewałam się, że to będzie takie trudne. Siedziałam teraz na tej samej musztardowej kanapie, którą kupiliśmy z Charlotte w czasach, gdy mieszkaliśmy razem, gdy Londyn był dla mnie nowością i wszystko było możliwe. W dniu wyprowadzki z tamtego wspólnego mieszkania ona wzięła kanapę, a ja lodówkę. Ale moje podejście się zmieniło. Już nie karmiłam się ekscytacją wywołaną możliwościami. Możliwość była teraz konceptem abstrakcyjnym – punkcikiem światła w oddali. To tylko kwestia czasu, gdy zgaśnie.

Nie mogłam jednak ignorować Angusa, to nie wchodziło w grę, jeszcze nie teraz. Musiałam odpowiedzieć. Charlotte nie rozumiała, jaka jest stawka.

Napisałam: *Wrócę jutro. Potrzebuję czasu dla siebie.*

Bip: *Nie. Wracaj natychmiast.*

– Pizza czy tajskie? – zawołała Charlotte z kuchni.

– Pizza? – odpowiedziałam. W uszach mi gwizdało. Musiałam swoją odpowiedzią udobruchać Angusa. Musiałam zyskać na czasie. W głowie analizowałam różne opcje... aż nagle on napisał pierwszy.

Bip: *Dobra. Masz 24 h, żeby tu wrócić, bo wysłę pewien drobiazg twojej matce. I twojej szefowej. I może jeszcze...*

Bip: *Davidowi Turnerowi.*

David. *Przypomniałam sobie, co pisał Caz o szukaniu haków na Davida; musiałam go ostrzec. Jeśli jeszcze coś się wydarzy, to będzie moja wina.*

Ja: *Wiesz, że mogę po prostu pójść na policję? – Nie musiał wiedzieć, że już poszłam.*

Bip: *Dlaczego miałabyś iść na policję? To ja powinienem pójść na policję.*

Ja: *Co???*

Bip: *No, kochanie, to Ty mnie okradłaś, żeby zapłacić za swoje ziło i Bóg wie za co jeszcze. A nie odwrotnie.*

Ja: *O czym Ty mówisz? W życiu Cię nie okradłam.*

Bip: *Doprawdy? Nie poszłaś do mojego mieszkania pod moją nieobecność, nie wzięłaś mojej karty i PIN-u, które trzymam w szufladzie z bielizną na wszelki wypadek, i nie poszłaś do bankomatu wypłacić 1000 funtów? Ależ musiałaś być naćpana, że tego nie pamiętasz.*

Zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Bip: *Kamery na bankomacie na pewno Cię przy tym nagrały, nawet jeśli nie pamiętasz...*

Bip: *Albo spytaj ciecia – widział, jak wchodzisz, wychodzisz i wracasz odłożyć kartę.*

Puls mi przyspieszył. A esemesy cały czas napływały.

Bip: *Oczywiście doceniam, że mi to oddałaś... ale nie powinnaś w ogóle kraść. Zawsze możesz poprosić. Zawsze.*

Zmarszczyłam czoło w namyśle. O czym on mówił? I nagle zrozumiałam: 984 funty, które zabrał z mojego konta. Tworzył podkładki pod swoją wersję. Chciał udowodnić, że jestem niepoważną wariatką, że nie można mi ufać. Każdy, kto by przeczytał te wiadomości, uznałby, że to ja postąpiłam niewłaściwie, nie on. Jego dziewczyna narkomanka włamuje mu się do mieszkania po kartę, żeby wypłacić pieniądze na narkotyki, gdy on jest w pracy. On zaś jest ofiarą, zatroskaną i kochającą. A te pieniądze, które przelał ode mnie do siebie, to dług, który mu spłacam...

Wreszcie go przejrzałam, ale to mi nic nie da.

Bip: *I nie powinnaś była się włamywać do mojego mieszkania, gdy wyjechałem na narty...*

Oddech uwiązał mi w gardle. Tego to już nie mógł wiedzieć.

Bip: *Zaniemówiłaś?*

Bip: *No to sobie milcz. 24 h.*

Ja: *Dobra. Niedługo przyjadę. Obiecuję.*

Bip: *Dobranoc, kochanie.*

– Pizza będzie za dwadzieścia minut. Zamówiłam pół z pieczarkami, pół dla mięsożerców – oznajmiła Charlotte. – Tak dla równowagi. Cholera, co się stało?

I wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, że płaczę.

Tamtej nocy spałam na musztardowej kanapie. Pościelił mi ją Ben po powrocie do domu, wpychając dodatkowe poduszki w miejsca, które się zapadły, i podkładając złożone kartki pod nogi, żeby się nie kolebała. I gdy tam leżałam, a stare sprężyny wbijały mi się w plecy, moje myśli krążyły jak szalone. Chiara. Moje mieszkanie. Val: co by o mnie pomyślała, gdyby dostała te nagrania od Angusa? Cameron: Caz007. Sophie Reed. Pudełko po butach. RedTube. Nagrania. Moja matka. Zielony pendrive. Co Angus by zrobił, gdyby wiedział, że go znalazłam? Pistolet w mojej walizce. Hayley. Jake. Drugi telefon. Sztuczne cycki Alison. Jamie. Cygara. Angus. Ten, którego kochałam. Ten, którego nienawidziłam. Żółte kokardy. prostytutki. Felicia. Bielizna. Kim: dlaczego do mnie pisała? Powinnam odpisać? Narty. David. Ed. „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”. Mój fioletowy notes. Sun Tzu. Cytrynowożółta powłoczka. Papierosy i woda kolońska.

Tak, tamtej nocy myślałam o milionie rzeczy. A tak naprawdę musiałam pomyśleć o jednym: o swoim alibi.

czwartek

Sun Tzu rzekł: Bądź zmienny jak płynące chmury, a gdy trzeba, szybki jak błyskawica.

23 LUTEGO

Bip: *Coś ty, kurwa, nawyczyniała?! Był tu Joe, mój sąsiad, i powiedział, że wysłałem jego narzeczonej zdjęcie fiuta! Czy ciebie kompletnie pojebało?*

To był pierwszy esemes tego dnia. Przyszedł chwilę przed dziewiątą. Właśnie piłam pierwszą kawę, szukając w szufladach kuchennych Charlotte jakichś zagubionych monet, żeby uzupełnić dziewięć funtów, które musiały mi wystarczyć do piątku. Pożyczyłaby mi kasę, gdybym poprosiła, ale brakowało mi wiarygodnych wyjaśnień.

Ja: *Że co?*

Wpatrywałam się w telefon ze ściśniętym żołądkiem. Miałam nadzieję, że Felicia tylko pomyśli, żeby skonsultować się z laminowaną listą kontaktów Jake'a, i powiąże zdjęcie fiuta z Angusem dopiero po moim odejściu. Wydruk z wczoraj miał jej pomóc w połączeniu elementów układanki.

Bip: *Nawet się nie waż kłamać.*

Ja: *Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz.*

I wtedy telefon się rozdzwonił. Przede mną na ekranie błyskało jego imię i zdjęcie uśmiechniętej twarzy, które w lepszych czasach przypisałam jego kontaktowi.

Kurwa.

– Słucham – przywitałam się miło, skupiając się na oddechu, tak jak mnie Angus nauczył. Musiał wierzyć, że wieczorem zgodnie z obietnicą naprawdę wrócę do domu.

– Coś ty narobiła?! – szalał.

– Nic... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Mogliby mnie eksmitować! To jest, kurwa, poważna sprawa... a Candice powiedziała, że jeszcze do niej nie dzwoniłaś. Ta afera z prostytutkami ma się dzisiaj skończyć – mówił ochrypłym głosem.

– Możemy porozmawiać o tym później? – spytałam cicho, zamykając szufladę. Nie było tam pieniędzy – dziewięć funtów musiało mi wystarczyć – znalazłam za to srebrną taśmę pod zlewem i nożyczki do paznokci w łazience. Dwie rzeczy mi niezbędne, zgodnie z filmikiem, który oglądałam rano na YouTube.

– Mam późno spotkanie, będę w domu koło dwudziestej. Ale oczekuję, że jak wrócę, to cię zastanę.

– Dobrze, będę.

I rozłączyliśmy się.

Gardło miałam obrzęknięte, jak odpływ wanny zatkany włosami. Nie będzie mnie, jak wróci o dwudziestej, i już się bałam tego, co się stanie. Ale będę miała alibi. Będę mogła mu powiedzieć, żeby zadzwonił do studia jogi. Potem mu wyznam, że za bardzo się go bałam. On zaś ostro, a potem łagodnie będzie próbował nakłonić mnie do powrotu. Znałam choreografię. Umiałam przewidzieć jego kroki. I zyskam czas na manewry: zanim się zorientuje, że filmiki zostały skasowane, a jego drugi aparat zniknął, ja się dowiem, co na nim jest. Już będę robiła z tego użytek przeciwko niemu.

Był czwartek. W opłaconym pakiecie zostały mi dwie lekcje jogi. To oznaczało, że mogę się zapisać na zajęcia o 18.45, a nie wziąć w nich udziału, tak samo jak robiłyśmy zawsze z Charlotte.

Przyjechałam do studia o 18.38, w szczycie popołudniowych korków, łatwo więc było mi przemknąć niezauważenie. Potem stanęłam w kolejce, zapisałam się, zapłaciłam pięć funtów depozytu i wzięłam kluczyk do szafki: numer 31. Teraz byłam elektronicznie zalogowana jako uczestniczka zajęć, a wrócić musiałam o 20.

Następnie podążyłam za tłumem do szatni, gdzie włożyłam czarne spodnie i oversize'owy szary sweter. Otworzyłam szafkę, by zostawić w niej swoje rzeczy: torebkę, džinsy, telefon, rękawiczki, kurtkę, czapkę z daszkiem, pomietą kartkę, srebrną taśmę, nożyczki do paznokci, tłumik i pistolet.

Kluczyk schowałam do zapinanej kieszonki w spodniach i poszłam do kibelka. Siedziałam sobie na opuszczonej klapie sedesu, aż w pomieszczeniu zapanowała cisza. Gdy zyskałam pewność, że nikogo prócz mnie nie ma, wymknęłam się, otworzyłam szafkę, włożyłam rękawiczki, a czapkę wepchnęłam za gumkę spodni. Następnie pistolet trafił do jednej kieszeni mojego polara, a tłumik – razem ze zmiętą kartką, którą zamierzałam upuścić na balkon pani Clifton, żeby pomóc Felicii z jej sprawą – do drugiej. Zerknęłam do lustra: wszystko było schowane doskonale.

Chwyciłam taśmę, nożyczkami odciąłem kawałek długości mojej dłoni i wszystko zamknęłam z powrotem w szafce.

O 18.47 wyszłam drzwiami awaryjnymi i zamknęłam je ostrożnie za sobą, a taśmą zabezpieczyłam zamek, żeby się nie zatrzasnął.

I o 18.57 widziałam już na rogu budynek Angusa. Wcześniej padało, więc latarnie odbijały się w nawierzchni ulicy, gdy zbliżałam się truchtem do celu. Nie miałam kasy na taksówkę, po opłaceniu szafki zostały mi cztery funty.

Bocznym wejściem wemknęłam się do garażu, używając klucza, który wzięłam z terakotowej miski na lodówce Angusa, jeszcze wtedy gdy sądziłam, że zemszczę się za pomocą wycieku. Gdy drzwi się za mną zamknęły, gdy zabrakło światła z zewnątrz, spowił mnie całun czarnej ciemności.

Palce w rękawiczkach prowadziły mnie wzdłuż szorstkiej ściany, przez ślepy punkt kamer, za śmietniki czekające na odbiór odpadów i w stronę ciężkich drzwi wiodących na klatkę schodową. Monitoring jeszcze się nie włączył, więc korzystając ze schodów, miałam większe szanse przemknąć niedostrzeżona, niż gdybym się udała do windy. Pchnęłam drzwi, chwyciłam poręcz i zaczęłam wspinaczkę.

O 19.06 dotarłam pod mieszkanie Angusa. Wsunęłam swój klucz do

zamka. Obróciłam. I drzwi stanęły otworem. Uderzył mnie zapach pasty do mebli i płynu do czyszczenia zielone jabłuszko: Elena. Cicho zamknęłam drzwi za sobą, zdjęłam buty, a potem pobiegłam do komputera.

Siadłszy na fotelu, poruszyłam kilkakrotnie myszką, żeby obudzić ekran. Przeszłam do zakładki z filmami w jego iTunesach. Proszę bardzo, jakby na mnie czekały. Wąż wstydu okręcił się w moim żołądku na myśl, że moja mama mogłaby je obejrzeć. Cztery moje filmiki rozpoznałam od razu – wryły mi się w psyche – ale towarzyszyło im wiele innych. Inne kobiety. Jeden miał tytuł *Kim3Valentine*. Prawie na górze listy, więc kliknęłam na niego i sprawdziłam, kiedy został dodany: nazajutrz po walentynkach. Gdy ja go sobie wyobrażałam na spotkaniu AN, jak dzieli szczere opowieści z obcymi ludźmi, on był w łóżku z Kim. Tamtego wieczoru zaszłam tu, żeby wypłacić dla niego pieniądze z bankomatu – musiałam się z nimi minąć.

Pewnie dlatego Kim pisała do mnie dwa dni później. I dlatego Angus kazał mi ją zablokować...

W sumie filmików było dwanaście. Wszystkie po kolei wrzuciłam do kosza, opróżniłam go i otworzyłam przeglądarkę. Zalogowałam się do poczty Angusa i przewinęłam do mejla od Caza.

Dwa słowa: Sophie Reed.

Utworzyłam przekierowanie i wpisałam do treści „Tak mi przykro”. W polu tematu zostało „FW: Sophie Reed”. W pole z adresem wpisałam adres mejlowy Justina i Lorraine Reedów, który spisałam poprzedniego dnia z gazety.

Zrobiłam głęboki wdech i kliknęłam „wyślij”. A potem skasowałam zarówno oryginalny mejl, jak i ten przekierowany.

Wpatrywałam się w puste okno z filmami. Domyśli się, że to ja je skasowałam, i będzie zły. Zadzwonili do mnie wściekły i powie, że oczywiście ma kopie i ich użyje.

A wtedy ja spokojnie odpowiem, że mam jego drugi telefon.

I że z rozkoszą wykorzystam go w odwecie.

Serce mi łomotało o żebra, gdy przetrząsałam jego szuflady, jedną po

drugiej, szukając kluczyka do szafy. W pierwszej nic. W drugiej nic. W głębi leżał mój ulubiony zielony pendrive, więc wzięłam go i wsunęłam do kieszeni. W trzeciej szufladzie nic.

Obróciłam się w fotelu i sprawdziłam biblioteczkę. Nie była duża, więc przeszukiwałam ją krótko, a o ile nie znalazłam kluczyka, to leżał tam mój fioletowy notes ukryty za starą encyklopedią. Zostawiłam go tam i poszłam do salonu.

Słyszając szelest, podskoczyłam jak oparzona. Ed. Spojrzałam na jego klatkę, na jego sylwetkę na tle okna.

Gdzie on schował ten kluczyk, do cholery?

Analizowałam różne pomysły: przeszukałam już szafki w sypialni i łazience, raptem dwa dni temu. A kluczyka nie było w gabinecie ani na lodówce.

Nosi go przy sobie?

I nagle usłyszałam brzęk. I zgrzyt klucza wsuwającego się do zamka w drzwiach wejściowych.

Nigdy nie zapomnę tego dźwięku.

Szybko schowałam się w sypialni.

Zegarek wskazywał 19.21. Angus powiedział, że będzie o 20.

Słyszałam jego kroki, gdy wchodził. Pstryknięcie włącznika światła. Aktówka odstawiana przy drzwiach. Potem zdjął buty, a jego kroki stały się cichsze. Podszedł do barku. Nie słyszałam, jak nalewa szkockiej, ale znałam go dobrze – na pewno robił właśnie to: dwie szkockie na balkonie.

Oddech miałam płytki, serce mi szalało, gdy sięgnęłam do kieszeni po pistolet. Z drugiej kieszeni wyjęłam tłumik i nakręciłam go. I czekałam. Niedługo usłyszę, jak obraca się zardzewiały klucz i otwierają się drzwi balkonowe. A gdy tylko Angus wyjdzie na balkon, ja ruszę do działania.

Zrealizowałam trzy czwarte planu: dysk, mejl i nagrania. Ale ciągle nie miałam telefonu, a do tego znajdowałam się w niebezpieczeństwie. Co się stanie, gdy Angus zobaczy, że skasowałam filmy? Gdy zauważy, że zniknął pendrive? Że nie ma mnie tam, gdzie miałam być? Co zrobi? Z całych sił

zaciśnęłam powieki. Nie sposób było zgadnąć, ile czasu minie, zanim rodzice Sophie przeczytają mejl, który właśnie wysłałam – ile czasu minie, zanim policja zacznie działać – a do tego momentu wszystko mogło się zdarzyć. Potrzebowałam tego telefonu jako zabezpieczenia. Czegoś, co by go powięzało z Cazem i Sophie oraz ze Stiepanowiczem i informacjami na tym zielonym pendrivie; czegoś, co mogłam ukryć, na wszelki wypadek. Bo Angusa, który chce mnie zniszczyć, mogło powstrzymać tylko jedno – świadomość, że ja mogę mu zaszkodzić bardziej. Będę musiała wrócić po ten telefon.

Wyjrzałam w stronę wejścia do mieszkania, w ciszy nasłuchując jego ruchów. Namierzając go.

Z trudem przełknęłam ślinę. Miałam wrażenie, że słycać to w całym pokoju. Wtedy jednak usłyszałam dźwięk, na który czekałam: znajome skrzypnięcie drzwi balkonowych. Policzyłam do pięciu, aż uznałam, że teraz już jest na zewnątrz, że stoi przy balustradzie i patrzy na miasto. I wtedy, z dłonią zaciśniętą na zimnej rękojeści pistoletu, z palcem uważnie unikającym spustu, zrobiłam głęboki wdech i ruszyłam do biegu.

Ale w chwili gdy wysunęłam się ze swojej kryjówki, silne ramię objęło mnie w pasie. Czekał na mnie. Pistolet wyleciał mi z dłoni, z hukiem uderzył w podłogę. Angus był za mną. Taki silny.

Drugim ramieniem unieruchomił mi ręce.

– Ty suko jebana – syknął mi do ucha, wyciągając mnie z za drzwi. – Naprawdę myślałaś, że mnie przechytrzysz?

Przesuwaliśmy się w kierunku balkonu. Sięgnęłam dłonią do jego krocza i chwyciłam mocno, z całej siły, wszystkim, co miałam: ręką, paznokciami pod rękawiczką, wszystkim. Zwinał się. Miałam go walnąć w głowę, ale się zaplątałam i znowu mocno mnie chwycił. Widziałam, jak niemal natychmiast dochodzi do siebie. W ustach mi zaschło. Gardło miałam ściśnięte.

Wybiegłam na balkon.

Będę krzyczeć. Sąsiedzi mnie usłyszą.

Ale on był tuż za mną. Otworzyłam usta do krzyku. I żeby gryźć. A jego dłoń sięgnęła mi do twarzy. Czytał mi w myślach. Wcześniej ode mnie wiedział, co zrobię.

Szybko odwróciłam głowę i wywinęłam się z jego uchwytu. Angus poleciał na ścianę. Uderzył w nią mocno, ja się rzuciłam do ucieczki, ale nie zdążyłam – znowu mnie chwycił. Złapał mnie za nadgarstek zimną, brutalną dłonią i przyciągnął do siebie z siłą, której nie mogłam się przeciwstawić. Jego dłoń od mojej skóry dzielił tylko rękaw bluzy. Wywinęłam się, ale on był silniejszy. Przyciągał mnie do siebie. Wolną ręką szarpnęłam rozpaczliwie za jego koszulę i krzyknęłam, gdy szarpnął mocniej. I też szarpnęłam.

Wyrwałam się. On zatoczył się do tyłu, jego stopy ślizgały się na mokrych od deszczu kafelkach. Dał radę. Oparł się o balustradę. Uśmiechnięty szeroko. A ja mogłam uciec, mogłam wyjść, mogłam skorzystać ze swojej szansy.

Ale tego nie zrobiłam.

Tylko podbiegłam do niego. I z całej swojej siły, każdego grama swojej masy, pchnęłam go. Pchnęłam tę jego mocną klatkę piersiową, górna połowa ciała Angusa wychyliła się za balustradę balkonu, pociągając za sobą nogi jak żelazna kotwica. Jeden szybki ruch. Jedna chwila. Jedna decyzja. I już go nie było.

Wciągnęłam do płuc jeden zimny oddech. Znieruchomiałymi, szeroko otwartymi oczami wpatrywałam się w ogryzek księżyca.

Co ja zrobiłam?

Krew pędziła mi w żyłach, obróciłam głowę: w lewo, potem w prawo. Czy ktoś mnie widział? Ciężka warstwa sadzy osiadła na mojej świadomości, nie mogłam oderwać stóp od podłogi, jakby ktoś mi je zabetonował.

Właśnie zabiłam człowieka.

Jego ciało, ciało mężczyzny, którego kochałam, leżało na ulicy w dole – sączyła się z niego gęsta ciemnoczerwona substancja, tworząc burgundowe skrzydła. Uderzył w chodnik z taką siłą, że jego ciało uległo przemianie; kończyny stały się bezwładne i przyciąga uwagę. Angusa już nie ma. I nie

będzie. Sama to sprawiłam. Widziałam to. A jednak miałam wrażenie, że się nie stało.

Z odrętwienia wyrwał mnie słaby odgłos syren w oddali: musiałam się brać do roboty, myśleć jasno, racjonalnie, strategicznie. Jeśli nie, zostanę złapana. Syreny były coraz głośniejsze.

Oddychałam z trudem. Musiałam się wydostać z tego budynku i przed dwudziestą wrócić na jogę. Weszłam do mieszkania przez skrzypiące drzwi, nie zamykając ich za sobą. W głowie miałam jasność, w sercu odrętwienie: pod wpływem szoku nie odczuwałam smutku.

W środku zajęłam się dowodami: klucz do bocznego wejścia odłożyłam do miski terakotowej na lodówce. Przejrzałam sypialnię, wyjęłam paczuszkę z kokainą ze srebrnej puszkki w szufladzie ze skarpetkami i szybko przeszłam do gabinetu. Wyjęłam fioletowy notes z biblioteczki, a w drodze do wyjścia podniosłam z podłogi pistolet. Z notesem pod pachą odkręciłam tłumik i odłożyłam wszystko do kieszeni. Potem włożyłam buty i czapkę. Dowody rzeczowe A, B i C wsadziłam do wierzchniej kieszeni aktówki: kokainę, zielony pendrive i zmiętą kartkę z danymi Felicji.

I tak oto dopełniłam notatkę prasową na jego temat: „Angus Hollingsworth, człowiek niecofający się przed molestowaniem seksualnym, kokainista, bankier silnie powiązany z zajmującym się praniem brudnych pieniędzy Nikołajem Stiepanowiczem, popełnił samobójstwo, skacząc z balkonu na ósmym piętrze. Nie zostawił listu pożegnalnego, ale krótko przed śmiercią wysłał mejl do rodziców zamordowanej byłej dziewczyny Sophie Reed, sugerując, że on właśnie odpowiada za jej śmierć”.

Przed oczami przemknął mi obraz jego pogruchotanego ciała leżącego na chodniku. Syreny były coraz bliżej. Nie zdążę wyciągnąć telefonu z szafy, ale to nieważne – on już i tak nikogo nie mógł skrzywdzić. I cokolwiek w tej komórce znajdą, to tylko potwierdzi teorię o samobójstwie i pewnie rzuci światło na los Sophie Reed.

Zamknęłam za sobą drzwi i szybko ruszyłam w stronę schodów, zerkając na zegarek: 19.33. Cholera. Ledwie się powstrzymałam przed włączeniem światła na klatce, ostatecznie jednak wystarczyła mi poręcz. Tak było

bezpieczniej; jeśli ktoś wejdzie na klatkę, światło mnie ostrzeże.

Kawałek drogi musiałam jednak odbyć windą – bo monitoring już działał. Liczyłam piętra: siódme, szóste, czwarte, trzecie, drugie. Przez okienko w drzwiach wyjrzałam na korytarz. Był pusty. Otworzyłam drzwi, przemknęłam do windy i wcisnęłam guzik w dół. A gdy kabina nadjechała, wsiadłam. Wcisnęłam guzik podziemia i zanim drzwi się zamknęły, przypomniała mi się guzikowa sztuczka Kevina. Trzymając cały czas guzik podziemia, wcisnęłam więc guzik zamykania drzwi. I modliłam się, patrząc, jak drzwi się zasuwają.

– Boże, błagam, błagam, pomóż mi, pomóż, pomóż.

Winda zaszumiała i ruszyła, a ja patrzyłam, jak zmieniają się cyfry na wyświetlaczu.

Garaze.

Ping.

Drzwi się otworzyły, oparłam się o ścianę, próbując namierzyć kamery. A po trzech sekundach drzwi windy znowu się zamknęły i tym samym zapadły ciemności. Przesuwałam się po chropawej ścianie, minęłam wejście na schody, miejsce na śmietniki i dotarłam do bocznego wejścia. Wymacałam wielki okrągły guzik zwalniający zamek. Nacisnęłam. Pchnęłam drzwi. I wyszłam na ulicę.

Syreny były już blisko. Szłam tą ulicą z pistoletem w kieszeni, oddalając się od budynku Angusa, od tłumu, który zbierał się wokół ciała albo od niego uciekał. Pod czapką włosy miałam mokre od strachu. Ale ludzie się przecież na jodze pocią, prawda?

Jak się czułam? Łatwiej byłoby mi powiedzieć, jak się nie czułam. Nie czułam się jak dziewczyna, która dopiero co popełniła morderstwo – to przecież do mnie nie pasuje.

Gdy zaułkami pędziłam w stronę studia jogi, nikt mnie nie zauważył. W głowie mi się gotowało, ale szłam jak automat, krok po kroku. Minęła mnie na ulicy tylko jedna osoba – kobieta pogrążona w wyimaginowanej kłótni, ze zmarszczonym czołem spierała się bezgłośnie. I nie zauważyła

mnie. Czemu miałyby zauważyć? Dziewczyna w spodniach do jogi idąca londyńską ulicą z fioletowym notesem w ręku i w zniszczonej czapce z daszkiem.

Mój zegarek wskazywał 19.53, gdy wemknęłam się do środka tylnym wejściem, odkleiłam taśmę z zamka i bardzo ostrożnie zamknęłam drzwi za sobą. Żadne inne zajęcia nie widniały w planie do 20.30, więc na razie powinno tu być pusto.

Tymczasem okazało się, że jedna z kabin w łazience jest zajęta.

Czy ten ktoś słyszał, jak wchodzę? Co mam powiedzieć? Że paliłam na dworze?

Szybko weszłam do wolnej kabiny i próbowałam uspokoić oddech. Potem wepchnęłam rękawiczki i czapkę do kieszeni bluzy, zdjęłam ją i złożyłam w niewinną paczkę sugerującą, że ot, akurat nagle zrobiło mi się gorąco. Krew mi szumiała w uszach, nadal oddychałam szybko, ale że do szatni zaczęły napływać strumieniem te wszystkie joginki, musiałam się zbierać.

Poszłam prosto do szafki, starając się nikomu nie patrzeć w oczy. Otworzyłam ją, za mną szumiały suszarki do włosów. Do środka wsadziłam swoją bluzę, przebrałam się z powrotem w dżinsy i włożyłam kurtkę. Wzięłam rzeczy, oddałam kluczyk do szafki na recepcji, odzyskałam 5 funtów i ruszyłam do metra. Zgodnie z planem.

Stałam przed wejściem do domu Charlotte, ale nie mogłam się przemóc, żeby wejść do środka. Czułam się jak kłamca. Byłam kłamcą. Jak możesz coś takiego ukrywać przed najlepszą przyjaciółką? Więc stałam tam, wpatrując się w starą brązową wycieraczkę pod stopami, i próbowałam się uspokoić, powtarzając: wszystko będzie dobrze. Tylko że to było kolejne kłamstwo. Nie będzie dobrze, bo nie mogło być dobrze. Choć więc z salonu przyciągało mnie ciepłe żółte światło, nie ruszałam się z miejsca. Oddychaj. Wdech.

Wydech. Jakbym z przerażenia mogła zapomnieć, jak to się robi.

Ostatecznie jednak weszłam. Pouśmiewałam się na powitanie. Ruszyłam do swojej walizki – stała na widoku, zaraz obok kanapy. I słysząc z kuchni połajanki Charlotte, która nastawiając wodę, wypominała mi: „Powinnaś mi powiedzieć, że idziesz na jogę, kochanie, też bym poszła. Bez entuzjazmu, ale bym poszła” – rozpięłam walizkę, zawinęłam pistolet w liliowy stanik i razem z tłumikiem wepchnęłam na dno. Zamknęłam walizkę i w tym samym momencie Charlotte podeszła z dwoma kubkami kakao. Na wierzchu podskakiwały trzy topiące się pianki – dwie różowe, jedna biała. Popijałyśmy kakao, Charlotte lamentowała, jakim fiutem jest Angus, a ja siedziałam otępiała, milcząca i kiwałam głową, pewna, że zmieniłam się nieodwracalnie. Nie doczekam się nekrologu, ale dziś wieczorem w dużej mierze też umarłam tam na chodniku.

piątek

Sun Tzu powiedział: Dlatego po osiągnięciu zwycięstwa nie powtarzam tej samej taktyki, lecz w następnej walce odpowiadam na zaistniałe okoliczności.

24 LUTEGO – ZA DNIA

Nazajutrz poszłam do pracy. Można by mnie więc uznać za bezduszną, za zimną, a w oczach ławy przysięgłych pewnie byłoby to dość obciążające. Ale z drugiej strony było to posunięcie mądre. Bo wiedziałam, że muszę się w pracy stawić.

Co prawda nie było to łatwe. Charlotte zdecydowanie mi to odradzała. Przekonywała mnie nad miską płatków i spalonym tostem: „Po to jest właśnie urlop na żądanie”. Wtórował jej Ben, z filiżanką herbaty w dłoni, ubrany w koszulkę Guns N’ Roses i niebieskie spodnie od pizamy: „Nikt ci nie weźmie tego za złe, kochanie”.

Ale ja się uparłam. Związałam włosy w koński ogon, pomalowałam rzęsy i wyszłam, mijając tę żółtooką żabę i brązową wycieraczkę.

W metrze się trzymałam. Zamiast się rozczulać nad sobą, zaglądałam w spuszczone, zgaszone oczy, szukając zrozumienia, empatii, przejawu czegokolwiek, co by mi zdradziło, że ktoś, ktokolwiek w Londynie zrobił coś równie strasznego jak ja. Że nie jestem sama. Że ktoś mnie rozumie.

Niczego takiego nie znalazłam. Całą drogę czytałam więc horoskop, szukając potwierdzenia mojego nieuchronnie nadciągającego losu, zaglądając przez ramię kobiecie w średnim wieku, której – co się stało oczywiste w trakcie niespodziewanego hamowania, gdy straciłam równowagę i dałam jej odczuć swoją obecność – wcale się nie podobała moja nachalność.

Gdy przyszłam do pracy, Val nie było przy biurku, czyli nie musiałam na

dzień dobry odpowiadać na pytania. Skupiłam się więc na tym, by zachowywać się normalnie: sprawdziłam stan konta (był to dzień wypłaty) i powstrzymałam się od googlowania Angusa. Nawet nie googlowałam tego ranka w ogóle wiadomości – nic podejrzanego, na wypadek gdyby ktoś mnie później sprawdzał.

Zrobiłam sobie natomiast kawę, wykonałam codzienny taniec kuchenny z godziny dziewiętej: rój pracowitych mróweczek próbuje się podzielić ograniczoną powierzchnią blatu i fatalnie umieszczoną lodóweczką, każdy z niby to uśmiechem, a w duchu powtarzając „Wynocha mi z drogi”. Powalczyłam z drukarką, próbując wydrukować mejl, i przegrałam. I wyliczyłam, że każdy dzień roboczy to 8 godzin albo 480 minut, albo 28 800 sekund. I potem w duchu zaczęłam obstawiać, kiedy nastąpi nieuchronne pukanie w ramię, po czym ktoś mi powie, co się stało z Angusem. Stawiałam na 11.

Val przyszła do swojego biurka o 10.03.

– Nic ci nie jest? – spytała, wjeżdżając fotelem do mojego boksu i kładąc dłoń na moim ramieniu.

Wtedy właśnie znieczulenie początkowego szoku odpuściło i z moich oczu popłynęły łzy.

Były to jednak łzy zwodnicze: z jednej strony mówiły o zdradzie, z drugiej stanowiły dziwną mieszankę strachu, ulgi i obojętności, których nie rozumiałam.

Tak więc o 10.05 cel, który sobie wyznaczyłam, zmuszając się do pójścia do pracy, został zrealizowany: byłam w rozsypce. Ewidentnej rozsypce. I każdy, kto tamtędy przechodził, mógł to potwierdzić. Nie takiej rozsypce „Właśnie kogoś zabiłam”, raczej „Ten dupek znowu mi to zrobił”. Słodkiej rozsypce. Niewinnej rozsypce. Rozsypce, która nie miała pojęcia, jak trzymać broń i w życiu nie czytała Sztuki wojny.

Bo to w zasadzie niewyobrażalne, by zwyczajna dziewczyna była w stanie kogoś zabić, a nazajutrz przyjść do pracy.

I dlatego właśnie musiałam to zrobić.

Nawet ubranie świadczyło o rozsypce: na bluzce, na lewej piersi miałam plamę po zimnej kawie, a zagniecenia na spódniczce wyciągniętej z dna walizki wyglądały jeszcze żałośniej pod fluorescencyjną żarówką, która nade mną migiała.

– Co dokładnie się stało? Przecież dopiero co do siebie wróciliście – wypytywała łagodnie Val. Dyskretnie.

Tak więc opowiedziałam jej historię swojej niedoli. Majtki, które rzekomo znalazłam pod łóżkiem, teraz już miały kolor i konkretny materiał: nieco poszarzałą od sprania różową koronkę. Taki szczegół musiał być prawdziwy.

– Bardzo mi przykro – westchnęła ciężko. – Myślisz, że wytrzymasz w pracy?

– Tak, dla mnie to lepiej, żebym tu była, żebym miała zajęcie – odparłam. Po raz ostatni pogłaskała mnie po ramieniu, a potem wjechała z powrotem do swojego boksu.

Nadeszła jedenasta, minęła jedenasta, a telefon ciągle milczał.

Cały ten czas ćwiczenia wstrząśniętej miny (Co?! Jak to nie żyje?!) na nic.

Poszłam więc w końcu do łazienki zadzwonić do mamy.

– Och – powiedziała. Łagodnie. – To straszne, kochanie.

– Tak – siąknęłam nosem.

– Skarbie, naprawdę powinnaś na trochę przyjechać do domu. Jeśli chcesz, oczywiście.

– Może przyjadę. Nie mogę wziąć dużo wolnego.

Siedziałyśmy w milczeniu po dwóch stronach linii. Ona słyszała mój płacz, ja jej oddech. To było pocieszające.

– No, kochanie, teraz chociaż masz pewność – przerwała wreszcie milczenie.

Skończyłyśmy rozmowę, a ona nawet nie wypowiedziała zwrotu, którego bałam się najbardziej: „A nie mówiłam”. Ja natomiast nie wypaliłam – wbrew swoim obawom – z wieściami, których nie powinnam jeszcze znać: że Angus nie żyje. Wróciłam do biurka.

Ekran komputera patrzył na mnie, udawałam, że czytam mejle, i od czasu do czasu myślałam: Nie miałaś wyboru.

Telefon zadzwonił dopiero około czternastej.

Właśnie sprzątałam szufladę biurka. Porządkowałam spinacze. Najpierw próbowali się połączyć na moją komórkę, ale że nie znałam dzwoniącego numeru, nie odebrałam. Chwilę później Val patrzyła na mnie ze stroskaną miną. Gdybym nie wiedziała, co się dzieje, w tej chwili bym się zaniepokoiła.

– Ekhm... dzwoni... – ściszyła głos, tylko ustami poruszała wyraziście – policja.

Przekazała mi słuchawkę. Kabel ledwie do mnie sięgnął. I całe życie minęło od chwili, gdy przyłożyłam zimną słuchawkę do ucha, a tą, gdy głos po drugiej stronie wreszcie przemówił.

Należał do kobiety.

Pierwszych słów nie rozumiałam, jakby nie były skierowane do mnie. Nagle stwierdziłam, że mocno mrugam powiekami, próbując się rozbudzić. Słyszałam ją jak z oddali:

– Taylor Bishop?

I usłyszałam własny głos:

– Tak.

– Mówi detektyw Rouhani, dzwonię z posterunku Belgravia. Czy mogłabym się z panią dziś po południu spotkać?

– Słucham? Dlaczego? O co chodzi? – Czułam, jak krew mi pulsuje pod skórą.

– Lepiej by było, gdybyśmy porozmawiały osobiście – odparła cicho i spokojnie.

– Czy coś się stało?

Słyszałam, jak oddycha – rozważała opcje – a przez otwarte drzwi kuchni widziałam grupę dziewczyn gromadzących się wokół różowego pudełka z babeczkami.

– Bardzo mi przykro – podjęła policjantka – ale doszło do wypadku.

– O mój Boże, co się stało? Chodzi o moją mamę? Coś jej się stało? – Wszystkie te pytania przećwiczyłam w domu.

Głośno przełknęłam ślinę.

– Nie – odrzekła. – Chodzi o Angusa Hollingswortha. Spadł z balkonu. Wczoraj wieczorem. Bardzo mi przykro.

– Co takiego? Co to znaczy? Jak to się stało? – Mój głos załamał się z nerwów. Pękałam.

– Na tym etapie śledztwa wygląda to na działanie zamierzone. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. – Słowa rzeczywiście były współczujące, ale głos twardy. Przekazywała takie wiadomości już wiele razy.

– To wszystko moja wina – powiedziałam chropawym głosem. – Nie powinnam była od niego odchodzić... zerwaliśmy kilka dni temu. – Uwiarygodniałam swoje ruchy.

– Takie sprawy na ogół są skomplikowane. Czy mogłabym wpaść wieczorem i zadać kilka pytań na temat pana Hollingswortha?

– Oczywiście. Albo ja przyjdę na posterunek – zaproponowałam, wycierając nos wierzchem dłoni.

– To by mi było bardzo na rękę – odparła. – O której mogłaby pani przyjść?

Zerknęłam na Val, która przyglądała mi się z troską. Do mojego drugiego ucha dotarł szmer koparki, odgłos normalności, do której już nie należałam.

– Za kilka godzin – odparłam, zaglądając do swojej uporządkowanej już szuflady w poszukiwaniu długopisu. – Przepraszam, mogłaby pani powtórzyć swoje nazwisko?

– Detektyw Rouhani. Proszę o mnie zapytać w recepcji. – I dodała: – Czy ktoś mógłby przyjść z panią? Takie sytuacje nierzadko wywołują wielki wstrząs.

– Nic mi nie będzie – szepnęłam, rozglądając się za jakąś kartką. Żadnej nie znalazłam, więc po prostu zapisałam czerwonym długopisem jej nazwisko na dłoni.

Rozłączyła się, a ja oddałam słuchawkę Val. Patrzyła mi w oczy pytająco, usta jej się układały w mimowolne pytania, których bardzo się starała nie

wyartykułować.

– Angus nie żyje – wyszeptałam łamiącym się głosem. Żadne próby nie przygotowały mnie na to pomieszanie prawdziwych emocji rozbijających się o falę tego, co w swoim wyobrażeniu powinnam czuć. Co bym czuła, gdyby te wydarzenia rozegrały się tak, jak je przedstawiałam.

Powieki mi ciążyły; chciały do łóżka. Mój oddech, płytki i szybki w czasie rozmowy telefonicznej, zwolnił do głębokiego, zwolnionego rytmu.

Muszę tylko odpowiedzieć na kilka pytań. Potem już będzie po wszystkim.

– Podejrzewają samobójstwo – dodałam, sięgając pod biurko po torebkę.

– O mój Boże! – krzyknęła, chwytając się ręką za serce.

– Muszę iść na posterunek odpowiedzieć na kilka pytań na jego temat – dodałam, wstając. Unikałam jej wzroku.

– Oczywiście – powiedziała jak automat. Rzuciłam jej nieprzekonujący uśmiech, minęłam recepcję, pokonałam cztery piętra schodami i przez drzwi obrotowe wyszłam na zimne londyńskie powietrze. Czekałam, aż w tym chłdzie otrząsnę się z transu. Ale się nie otrząsnęłam.

Skierowałam się na przystanek autobusowy, z oczyma półotwartymi, sercem zatrzaśniętym na głucho. Cz mogłam dojechać niemal do samej detektyw Rouhani, a potrwa to tylko odrobinę dłużej niż podróż metrem. Potrzebowałam dodatkowego czasu, żeby jeszcze raz przeanalizować alibi, wygładzić ostatnie nierówności. Nie przewidywałam, że zostanie poddane analizie policyjnego umysłu – miało mi pomóc w walce z Angusem. Teraz z jego pomocą musiałam uniknąć więzienia.

Nie mogłam więc stracić głowy, kiedy będę z nią rozmawiać. Nie mogłam powiedzieć jej nic, co by sugerowało, że miałam motyw, by skrzywdzić Angusa.

Z każdym krokiem jednak ołowiane kulki winy i paranoi ciążyły mi coraz bardziej w kieszeniach i coraz trudniej mi było się ruszać. Przychodziło mi do głowy tylko jedno, co mogłabym zrobić, żeby odjąć tego ciężaru – powtarzać sobie: Nie miałam wyboru. Albo on, albo ja.

piątek wieczorem

Sun Tzu rzekł: Dlatego możliwości tych biegłych w użyciu „niezwykłej” siły chi są nieskończone.

24 LUTEGO – POD WIECZÓR

– Victoria Station.

Głos tak mną wstrząsnął, że się ocknęłam, poszukałam wzrokiem znajomego chodnika za brudnymi szybami. Wstałam i ruszyłam na dół do drzwi, gdy autobus szarpnął, zakolysał się i zatrzymał. Kiedy moje stopy dotknęły chodnika, owionęła mnie fala zapachu frytek – sól, olej – ale w zasięgu wzroku nie było żadnego McDonalda, tylko turyści, walizki i samochody.

Posterunek policji – brązowe cegły, niebieski plastik – czekał na mnie w oddali po lewej. A dokładnie naprzeciwko stała wysoka kremowa wieża z zegarem: 14.55. Z trudem przełknęłam ślinę i ruszyłam w tę stronę.

Do komisariatu dotarłam z dygoczącymi rękoma. Bałam się, że nie dam rady wejść do środka. Z trudem pokonałam schody, krok po kroku. Przeszłam przez wielkie szklane drzwi. Próbowałam rozluźnić szczęki, próbowałam zachowywać się, jak przystało na osobę niewinną. Ale poczucie winy wyciekało każdym porem mojej skóry.

W recepcji siedział młody policjant w okularach, ten sam co kilka dni wcześniej. Spojrzał na mnie z troską. Domyśliłam się dlaczego: widziałam się w szybie autobusu, oczy miałam czerwone i opuchnięte.

– Jak się pani czuje? – spytał.

– Dobrze – odparłam. – Przyszłam do detektyw Rouhani. – Paznokcie wbiłam w dłonie, próbując rozluźnić szczęki.

Uśmiechnął się uprzejmie, ruchem ręki wskazał rząd szarych

plastikowych krzeseł pod wielkim oknem.

– Niedługo przyjdzie – powiedział. – Proszę sobie spocząć.

Usiadłam w rogu obok dystrybutora wody, uspokoiłam oddech i spojrzałam za okno na jakieś zimozielone zarośla i zbiór niedopałków w żółte plamy.

Tętno mi przyspieszyło – musiałam wyczuć, że detektywka nadchodzi – a gdy obróciłam głowę, ona już zbliżała się do mnie. Z notesem w rękę. Długie ciemne włosy zagarnęła na jedno ramię, miała ciemną nieskazitelną skórę i jasne przebiegłe lisie oczy.

– Detektyw Rouhani – przedstawiła się. – Dziękuję, że pani przyszła.

Wyciągnęła do mnie rękę, a gdy wstałam i się odwzajemniłam, gestem poprosiła, bym poszła za nią.

– Zgodzi się pani na pobranie próbek DNA? – mówiła do mnie przez ramię. – To czysta formalność.

– Dobrze. – Skoro ich zdaniem to samobójstwo, to po co badają DNA?

Po raz drugi w ciągu tygodnia szłam po tej brązowej wykładzinie. Za pierwszym razem było lepiej. Detektyw Rouhani zaprowadziła mnie do niewielkiego pomieszczenia, gdzie czekała jeszcze jedna kobieta. Była starsza: zauważyłam siwe włosy i głębokie zmarszczki na czole; wyglądała, jakby często w życiu coś ją zaskakiwało. Posadziła mnie na jakimś takim łóżku do masażu – było przykryte ręcznikiem papierowym – po czym wsadziła mi do ust patyczek z wacikiem, potarła nim okrągłymi ruchami wewnątrz lewego policzka i wsunęła próbkę do szklanej fiolki.

Patrzyłam, jak zamyka ją żółtą zatyczką i pisze coś na etykiecie grubym czarnym flamastrem, po czym powtórzyła cały proces raz jeszcze.

– Świetnie, gotowe – oznajmiła z uśmiechem. Powinnam bez trudu odwzajemnić się uśmiechem, a jednak ledwie go wymusiłam, warga mi odrobinę drżała.

Rouhani wyprowadziła mnie z pokoju i weszłyśmy do jej gabinetu.

– Dobrze się pani czuje? – spytała zza dębowego biurka.

Moje milczące łzy znowu się zebrały. Czułam, jak płyną mi po policzkach.

Przesunęła po blacie wizytówkę. Tłoczone czarne lśniące litery: Kate Stapleton, funkcjonariusz ds. kontaktu z rodziną. Pod imieniem i nazwiskiem widniał numer telefonu.

– Mamy specjalistów, którzy pomagają uporać się ze wstrząsem – wyjaśniła detektyw Rouhani. – Czasami najlepiej po prostu porozmawiać.

– Dziękuję – powiedziałam z wymuszonym uśmiechem.

– Proszę się nie spieszyć. – Podała mi pudełko chusteczek.

– Dziękuję – powtórzyłam, biorąc garść i z trudem patrząc jej prosto w oczy. – Co się właściwie stało?

– Jak powiedziałam przez telefon, wygląda to na samobójstwo. Zbadaliśmy grunt, wypytuując sąsiadów, co widzieli, ale na razie nikt nic nie znalazł. Poza tym że parę osób przechodziło, gdy pan Hollingsworth spadł.

Spuściłam wzrok, policzki paliły mnie od łez. Skąd ja się tu wzięłam?

– Dopiero co zerwaliśmy. – Podniosłam wzrok. – Mam poczucie, że to moja wina.

Łzy dalej płynęły, ale nie udawałam. Słaniałam się na nogach.

– W jego aktówce znaleźliśmy kokainę... Twarde narkotyki często prowadzą do takich kroków. W łazience znajdowały się też opioidowe środki przeciwbólowe. Wiedziała pani o tych narkotykach?

– Wiedziałam o kokainie. O przeciwbólowych nie – odparłam. – Ale on chodził na spotkania, miał sponsora i tak dalej.

– W jego aktówce znaleźliśmy też inne rzeczy, które są niepokojące – podjęła. – Jak dobrze zna pani jego sąsiadkę... – przeczytała z notatnika: – Felicia Jones?

– W zasadzie w ogóle jej nie znam. Wiem, która to jest, ale się nie poznałyśmy. A czemu pani pyta?

– Jej dane kontaktowe były w aktówce pana Hollingswortha – wyjaśniła. Za oknem gabinetu coś się poruszyło, spojrzała w tamtą stronę.

– Ach – udałam zmieszanie. – Może powinna pani spytać ją? Może wyjeżdżała i chciała, żeby Angus popilnował jej mieszkania albo podlał kwiatki? – Wszystko to mówiłam tonem chodzącej niewinności.

Westchnęła. Patrzyłam, jak odrywa wzrok od szyby i wraca do notesu. Przeskoczyła kilka linijek, czułam, że próbuje dokonać jakiegoś wyboru, ryzykując, że jeszcze bardziej mnie wytrąci z równowagi.

– Spytaliśmy ją – odparła. Najwyraźniej wybrała opcję wytrącania. – Proszę pani... nie chcę pani bardziej denerwować, ale Felicia Jones w ciągu ostatnich tygodni padła ofiarą molestowania. Dwuznaczne prezenty. Wulgarnie zdjęcia. Telefony. Teraz wiemy, że to wszystko robił pan Hollingsworth.

Spojrzałam na nią przerażona, w każdym razie miałam nadzieję, że właśnie przerażenie wyraża mój wzrok.

– Co to znaczy? – spytałam. – Angus jej prawie nie znał.

Głośno wypuściła powietrze i przestawiła nogi.

– Tak, ale zdjęcia wysłano z jego numeru – wyjaśniła łagodnie. – To nie wszystko... – Westchnęła powoli. – W jego aktówce znaleźliśmy pendrive. A na nim mnóstwo informacji o niejakim Nikołaju Stiepanowiczu.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Słucham? – Zmarszczyłam czoło. Przebiegłam wzrokiem po ścianach. Staralam się sprawiać wrażenie skołowanej. – To dziwne... – Z powrotem skierowałam wzrok na nią.

– Dlaczego?

– No bo ja wiem, kim jest Nikołaj Stiepanowicz. Prowadzi firmę Citexel. Miałam w pracy taki projekt... Boże, to dość skomplikowane... szukałam inwestycji i zasugerowałam ich nową budowę w Eastbourne. Ale to wszystko przeciekło do prasy i prawie wyleciałam z pracy.

– Przepraszam, ale nie nadążam. Co to znaczy, że wyciekło do prasy?

– No więc okazało się, że Stiepanowicz zajmuje się praniem pieniędzy. Poprzez nieruchomości. To wszystko było w gazetach. – Mówiłam słabym, drżącym głosem. Miałam wrażenie, że należy do kogoś innego. Do dziecka. A że znowu płyną mi łzy, dowiedziałam się dopiero, gdy ona ponownie podała mi chusteczki.

– To szok – powiedziała.

– Ale dlaczego Angus miałby mieć informacje na jego temat? – spytałam, naprowadzając świadka. – Ach... Może dlatego, że sam miał brać udział w interesach z nim kilka miesięcy temu? – Próbowałam stąpać po cienkiej linii pomiędzy byciem przydatną a nadmiernie zorientowaną. A z jej pokerowej twarzy nie mogłam wyczytać, jaki osiągam efekt.

– Może. Ale te informacje są dość dokładne – odparła. – Tak czy owak, zadzwonimy do jego firmy.

– Rozmawiajcie z Candice Breen. Jest jego sekretarką... Była. Była jego sekretarką. – Tu znowu drżenie głosu.

Z powrotem zerknęła do notesu i zapisała dane Candice. Kartki były teraz pod takim kątem, że widziałam ich zawartość: lista, niektóre pozycje wykreślone, a na odwrocie jakaś mapa myśli. Kręgi i linie. Dużo informacji jak na zamkniętą już sprawę.

Zmieniła kurs.

– Co może mi pani powiedzieć o nastroju pana Hollingswortha przed śmiercią?

– Boże... nie mam pojęcia. Chyba był taki jak zawsze. Może bardzo ożywiony, ale w normie. Zawsze był nerwowy.

– A więc wiedziała pani o narkotykach... – Wyraz jej twarzy mówił „Proszę rozwinąć”.

Westchnęłam.

– Tak. On był trochę uzależniony od kokainy. Chodził na spotkania Anonimowych Narkomanów, ale ciągle mu się pogarszało.

– Anonimowych Narkomanów? – spytała, zapisując to.

– Tak. Jak mówiłam, miał sponsora. Miał też specjalny telefon do kontaktów z nim i w ogóle.

Spojrzała na mnie zaskoczona. Ewidentnie nie znaleźli jeszcze telefonu. Ale znajdą. Czekal na nich w szafie, jeśli tylko poszukają.

– Nie mam więcej pytań – powiedziała łagodnie. – Myśli pani, że pan Hollingsworth panią zdradzał?

Staralam się utrzymać kontakt wzrokowy, ale polegałam.

– Tak. Dlatego zerwaliśmy. Znalazłam pod łóżkiem używane majtki, które na pewno nie należały do mnie.

– Orientuje się pani, z kim mógł panią zdradzać? Musimy porozmawiać z każdą osobą, która rzuciłaby światło na stan psychiczny pana Hollingswortha.

– Nie jestem pewna – skłamałam.

– No dobrze. – Zerknęła jeszcze do notesu i znowu na mnie. – Jeszcze jedna sprawa, o której zapewne pani wie. Znaleźliśmy na jego komputerze nagrania wideo.

Wpatrywałam się w nią. Najwyraźniej niewytrącanie mnie z równowagi zniknęło już z listy jej priorytetów. Współczucie poległo w starciu z pragnieniem prawdy.

– Wideo?

– Tak. – Patrzyła na mnie wyczekująco.

– Ze mną? – spytałam cicho.

– Tak.

Zwiesiłam głowę, spuściłam wzrok, czułam, że rumieniec wypełza mi na policzki. Byłam zażenowana. Naprawdę. I pierwszy raz w życiu bardzo się cieszyłam, że mam taką skłonność do rumieńców.

– Wiem o nagraniu. Kilka tygodni temu wrzucił do internetu filmik, ale już go zdjął. – Podniosłam wzrok i spojrzałam jej w oczy.

Patrzyła na mnie z troską.

– Mówi pani tak, jakby film był tylko jeden...

– Bo jest jeden. – Kłamać, kłamać i jeszcze raz kłamać.

Jej wzrok się zmienił.

– Proszę pani... na jego komputerze było ich kilka – powiedziała. – Próbował je skasować, ale zostały na twardym dysku... i na jego telefonie. – Patrzyła na mnie, czekając na reakcję. – I nie tylko panią nagrał.

Zadrżałam. Oczy wypełniły mi się łzami, policzki jeszcze bardziej się zarumieniły.

Ewidentnie na taką reakcję czekała.

– Proszę posłuchać – podjęła. – To wszystko to wielki szok. Proszę wrócić do domu, odpocząć, zadzwonić pod numer z tej wizytówki i zatroszczyć się o siebie. Skontaktujemy się z panią, gdyby była jeszcze taka potrzeba.

– Dobrze – powiedziałam. Ale ani drgnęłam.

– Ma pani do kogo pójść? Ktoś może pani dotrzymać towarzystwa?

– Tak, nocuję w tej chwili u przyjaciół – odparłam. – Mieszkam u nich od zerwania z Angusem. Lepiej być z ludźmi.

Wstała, no to ja też. A kilka chwil później już wychodziłam z komisariatu.

W kuchni smażyło się mięso, płyta Doorsów wypełniała ciszę, z którą nie umiałam sobie poradzić. Ben robił tacosy, ja z Charlotte siedziałam przy niewielkim stoliku pod oknem w salonie, a nad nami wisiał żółtobrązowy żyrandol. Na dworze było ciemno, światła świecące z okien w oddali wyglądały jak żółte gwiazdy. Na środku blatu stała misa z gnijącymi bananami – ich słodka woń przebijała mięso – obok butelka wina. Od dziesięciu minut Charlotte zdierała z niej etykietę, skrawki papieru zbierały się w stosik na blacie.

– Boże, w życiu bym nie zaszufładowała Angusa jako typ samobójczy. Jak to jednak nigdy nie wiadomo... – mówiła, upijając wina.

A ja milczałam. Musiałam milczeć. Wiedziałam, że jeśli teraz się odezwę, powiem jej wszystko. Bo trudno dotrzymać tajemnicy. I to w pojedynkę. Rośnie w tobie jak osłaniany przed powiewem płomień, pali ci trzewia, zabija cię od środka. Już teraz to wiedziałam, a to był dopiero dzień pierwszy.

Może Angus jednak zwycięży.

– Wiem – powtórzyłam, zlizując z dłoni resztkę czerwonego napisu „Rouhani” i próbując wytrzeć go w dzinsy.

– Na pewno nie chcesz wina? – Od łagodności w jej głosie aż mnie skreśliło. „Jestem straszna”.

– Nie, czuję się dziwnie. – To była prawda. Adrenalina płynęła w moich żyłach, ale nie dlatego piłam wodę zamiast wina. Musiałam mieć jasno w głowie i panować nad językiem. Miałam poczucie, że wyznanie prawdy przyniosłoby mi ulgę, a jednocześnie wiedziałam, że nie.

Telefon mi wibrował w kieszeni, odkąd go na powrót włączyłam, ilekroć jednak patrzyłam na ekran, od nowa przeszywał mnie ból: matka Angusa dzwoniła już trzy razy. Wiedziałam, że w końcu będę musiała do niej oddzwonić, ale jak miałam jej stawić czoło? Wyjęłam komórkę z kieszeni i spod zmrużonych powiek spojrzałam na ekran. Ale to nie matka Angusa, to dzwonił David. Zapomniałam odwołać spotkanie z nim.

Zadzwonię do niego jutro...

– Pięć minut – powiedział z progu kuchni Ben. Miał potargane włosy, w dłoni dzierzył łopatkę.

– Dużo sera – zawołała Charlotte z uśmiechem, gdy *Riders on the Storm* wypełnili powietrze ze swoimi błyskawicami i grzmotami.

sobota

Sun Tzu rzekł: Zwycięży ten, kto jest rozważny, tym łatwiej, jeśli jego wróg jest lekkomyślny.

25 LUTEGO

Siedziałam między jaskrawymi poduchami swojej kanapy, a Chiara mruczała u mojego boku, ugniatając mi nogi. Skończyła mi się czysta bielizna u Charlotte, więc przyszedłam do domu po zapasy. No w każdym razie tak jej powiedziałam. Prawdziwym jednak powodem, dla którego też nie spałam całą noc, rzucając się na kanapie, wplątana w wilgotną pościel, był dowód, który musiałam zniszczyć. Nie mogłam tego zrobić u niej.

Moja torebka stała na podłodze obok stolika – a w niej fioletowy notes i broń. Ciągle naładowana i zawinięta w mój liliowy stanik.

Wyjęłam notes i wydarłam garść kartek; ostro i niedokładnie. Chciałam, żeby ich już nie było. Potem je podarłam na maleńkie kawałeczki, które zebrały się w stos na blacie stolika.

Patrzyłam na nie. Nie mogłam dopuścić, by ktokolwiek kiedykolwiek je poskładał i odczytał, więc zrobiłam jedyne, co mi przyszło do głowy: wsadziłam garść do ust i przeżułam. Czułam zapach papieru, czułam, jak miękniętą twarde krawędzie. A gdy została mi w ustach miękka papkowata kula, ubita językiem, wyplułam ją na rękę i odłożyłam na blat. Następnie przeżułam kolejną porcję. Wkrótce miałam przed sobą trzy kulki rozciapkanego papieru. Nikt tego nie podzieli na kawałeczki.

Przeszłam do kuchni i wsadziłam je do pomarańczowej plastikowej torebki zawieszanej na uchwycie szafki pod zlewem – od wprowadzki używałam jej jako śmietnika. Wystawały z niej jeszcze lodygi umierających róż, mdląco słodki zapach gnijących płatków wypełniał pomieszczenie.

Dzwonił mój telefon. Zostawiłam go na stoliku przy łóżku, podłączony do

ładowania, więc rzuciłam się tam biegiem. Na ekranie błyskało „mama”. Nie mogłam z nią rozmawiać. Nie teraz.

Obok komórki leżała wizytówka Kate Stapleton, policjantki od kontaktów z rodziną. Wyobraziłam sobie ją całą doskonałą i elegancką, z perłami na szyi, kiwającą mi współczująco głową i używającą mojego imienia pięciokrotnie w trakcie pierwszych pięciu minut, żeby zbudować zaufanie. Zdecydowanie nie mogłam ryzykować rozmowy z nią.

I ciągle sobie wyobrażałam, co on by mi zrobił, gdybym go nie popchnęła. Że mógł mi zrobić taką krzywdę jak Sophie. I jakoś im gorszy scenariusz odgrywałam w głowie, tym sprawniej akceptowałam to, że sytuacja potoczyła się tak, a nie inaczej – to była chora, bardzo chora gra, ale nie mogłam się od niej powstrzymać. W tym momencie na przykład przez moją głowę przebiegał taki obraz, że Angus podrzyna mi gardło i śmieje się, patrząc, jak się wykrwawiam.

Ale choćbym nie wiadomo jak się starała, ciągle wracała myśl: może on nic by mi nie zrobił. Zupełnie nic. Może po prostu dałby mi odejść...

Zacisnęłam powieki, by odepchnąć tę myśl, i usłyszałam delikatne pukanie – dokładnie tak do moich drzwi pukał zawsze Angus, aż uznałam, że to może on.

Minęła spora chwila, nim do mnie dotarło, że to nie wchodzi w grę. Nigdy przenigdy. Więc zostawała tylko jedna osoba: Charlotte. Sprawdzała, co u mnie.

Ruszyłam do drzwi. Chiara mruczała cicho i krążyła wokół moich nóg. Wyjrzałam przez wizjer.

Na progu stało dwoje policjantów: detektyw Rouhani i mężczyzna, którego nigdy dotąd nie widziałam.

Serce podeszło mi do gardła, z trudem przełknęłam ślinę.

O kurwa.

Ale otworzyłam drzwi. Oczywiście, że otworzyłam.

– Dzień dobry – powiedziałam. Uświadomiłam sobie, że ściągnęłam brwi. Więc próbowałam odprężyć czoło. – Co państwo tu robią?

Miałam na sobie brudne dżinsy i sprany T-shirt, niegdyś biały.

– Dzień dobry pani, to detektyw Stowe. – Rouhani spojrzała na towarzyszącego jej mężczyznę. – Przepraszam, że nękamy panią w sobotę, ale musimy pani zadać jeszcze kilka pytań. Wyszły na jaw nowe informacje.

Znowu przełknęłam ślinę, czułam, jak szczęka mi się napina.

– Możemy wejść? – spytał detektyw Stowe.

– Oczywiście. – Wprowadziłam ich do środka. Wokół mnie zaczął się unosić ciemny ołowiany balon. „Na pewno wiedzą”.

Gestem wskazałam kanapę.

– Może napiją się państwo herbaty?

– Ja poproszę – odrzekł Stowe.

– Ja też poproszę – dołączyła detektyw Rouhani.

– Jak podać? – spytałam z nerwowym uśmiechem.

– Z mlekiem i dwie łyżeczki cukru. Chyba że ma pani miód.

– Oczywiście. – I spojrzałam na Rouhani.

– Z mlekiem poproszę – powiedziała.

Poszłam do kuchni i nastawiłam czajnik. Czerwone światelko. Cichy szum. Usiłowałam uspokoić mój oszalały umysł, mówiłam sobie, że wszystko będzie dobrze, ale ręce mi drżały, gdy otwierałam szafkę, by wyjąć trzy kubki. Spoconymi dłońmi sięgnęłam po mleko.

Zaniiosłam herbatę do kanapy – najpierw ich, potem moją – po czym usiadłam powoli. Musiałam sprawiać wrażenie spokojnej. Jakbym się nie bała. Ale siedzieliśmy w trójkącie: oni na kanapie, ja na krześle. I już się czułam jak w sądzie.

– A więc o co chcą państwo zapytać? – spytałam.

Detektyw Stowe spojrzał na detektyw Rouhani, jakby prosił o pozwolenie.

– Wyszły na jaw nowe dowody – rzekł. – Już nie jesteśmy pewni, czy to samobójstwo.

– Słucham?! – krzyknęłam ze szczerym zaskoczeniem. – Jakie dowody?

– Naszym zdaniem ktoś tam był – wyjaśnił.

– O mój Boże – powiedziałam, odstawiając kubek. – To straszne. – Moja dłoń powędrowała do ust.

Nie kładź ręki na ustach, nie dotykaj nosa. Tak robią ludzie, kiedy kłamią: język ciała dla początkujących.

Detektyw Rouhani mi się przyglądała. Patrzyła na moją dłoń.

– Musimy wykluczyć pewne scenariusze – podsunął detektyw Stowe.

– A więc co pani robiła, gdy pan Hollingsworth spadł z balkonu, w czwartek wieczorem dwudziestego trzeciego lutego? – weszła do akcji Rouhani. Bez ostrzeżenia. Łup. Jak fajerwerki w środku dnia.

Czułam, jak ślina napływa mi do ust.

– Proszę się nie denerwować – dodała łagodnie. Ale łagodność miała tylko w głosie, w oczach już nie. Zmieniły się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, teraz mnie podejrzewały. Czułam to. – To standardowe procedury.

Gówno prawda. To samo mówiła o próbkach DNA. Co oni znaleźli?

– Oczywiście – powiedziałam. – Rozstaliśmy się z Angusem, po raz kolejny, ja byłam zdenerwowana, więc pojechałam do przyjaciół, do Bena i Charlotte, a potem poszłam na jogę. Jak wiadomo, joga uspokaja – dodałam, popijając herbatę.

– To prawda. – Spojrzała na swój notes. Nie trzymała długopisu. Jeszcze nie. Tylko czytała.

– A to była która godzina?

– Zajęcia rozpoczynają się o 18.45.

– A wyszła pani z zajęć o której? – Przeszywała mnie wzrokiem. Jakby chciała zobaczyć prawdę, którą ukrywam.

– Hmm – odparłam, wytrzymując jej spojrzenie. – Trwają mniej więcej godzinę piętnaście, a potem jakieś dziesięć minut schodzi na przebieranie w szatni, więc chyba około dwudziestej dziesiątej. – Próbowałam się uśmiechnąć. Napiłam się herbaty, a detektyw Stowe odwzajemnił mi się uśmiechem.

To była walka, ale panowałam nad oddechem.

– A gdzie później się pani udała?

– Do domu. Do domu Charlotte i Bena. Jak mówiłam, nocowałam u nich. I nadal nocuję. Nie chcę być sama. Wróciłam dzisiaj po świeże ubrania.

– A więc mamy szczęście, że panią złapaliśmy. – Detektyw Stowe silił się na wesołość.

– Tak. – Poruszyłam się na krześle. Zakołysało się.

– Chodzi o to, jak powiedzieliśmy, że znaleźliśmy nowe dowody – włączyła się detektyw Rouhani. – Guzik. Na jego balkonie znaleziono guzik. Pomiędzy deszczułkami.

– Nie nadążam, a co ma z tym wspólnego guzik?

– Wygląda na to, że to guzik od koszuli, którą pan Hollingsworth miał na sobie w chwili śmierci.

– No i? – Nie musiałam udawać zmieszania. Naprawdę nic nie rozumiałam.

– Początkowo sądziliśmy, że koszula się podarła od uderzenia. Ale skoro guzik znajdował się na balkonie, to sugeruje, że na balkonie doszło do walki, zanim pan Hollingsworth spadł, coś się stało, co spowodowało odpadnięcie guzika.

– Ach... To naprawdę straszne.

– Rzeczywiście – odparł detektyw Stowe.

– Macie jakieś tropy?

– Kilka – to detektyw Rouhani.

– I jak mogę pomóc? Mam obejrzeć ten guzik?

Detektyw Stowe się uśmiechnął. Wierzył mi.

– Nie – odparł. – Po prostu sprawdzamy każdy szczegół.

– Bo chodzi nie tylko o guzik – dodała Rouhani.

– Ach tak?

– Tak. Jest jeszcze nagranie z monitoringu.

Blefuje. Monitoring na pewno obeszłam. Jestem pewna.

– Ach, monitoring powinien pomóc, jeśli kogoś szukacie, prawda?

Patrzyła na mnie spod zmrużonych powiek.

– Możecie ustalić tożsamość nagranych osób? – mówiłam dalej.

– Nie – odparła. – Nie to mamy na nagraniu.

Przełknęłam ślinę.

– Ach?

– Nie. Wskazał nam to jeden z dozorców. Gdy sami przeglądaliśmy taśmy, przeoczyliśmy to.

Jebany Jake.

– A dokładnie? Skoro to nie żadna osoba, to co? – Krew mi stężała.

– Światło – odparła. – Dozorca zwrócił nam uwagę na światło wpadające od ulicy. O 18.59 i potem o 19.38. Widać je w miejscu, gdzie poza tym cały czas jest ciemny obraz. Można to wyjaśnić w taki sposób, że w pewnym momencie ktoś otworzył boczne drzwi w garażu – bo to się dzieje na nagraniu z garażu. To oznacza, że ktoś tą drogą wyszedł z budynku. Większość ludzi albo wyjeżdża samochodem, albo wychodzi głównym wyjściem. Po co wybierać tę drogę? A jeśli to był morderca, to 19.38 pasuje: o tej godzinie sprawca by wychodził. Pan Hollingsworth spadł o 19.27. Mało nie uderzył przechodnia.

– O mój Boże – powiedziałam. – Rozumiem.

Zatkało mnie. Światła nie brałam pod uwagę. W ogóle.

– I jeszcze jest pewien element w zeznaniach sąsiadów – dodał detektyw Stowe.

– Felicii? – spytałam.

Spojrzeli po sobie.

– Nie, chodzi o sąsiada z naprzeciwka – odrzekł Stowe. – Z tej odległości nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów, ale około 19.30 widział kogoś w mieszkaniu.

– Może to był Angus, a sąsiad błędnie zapamiętał czas. – Cholera.

– Nie, pan Hollingsworth miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a ta widziana osoba zdecydowanie nie była taka wysoka.

– No a jakoś może tę osobę opisać?

Kręciło mi się w głowie, ale musiałam zachować spokój.

– Nie, to było dość daleko – odrzekł Stowe.

– Ale na pewno był tam ktoś oprócz Angusa?

– Tak. Mamy nadzieję, że zgłosi się jeszcze ktoś z jakimiś informacjami.

– Boże – westchnęłam. – Biedny Angus.

– Pani ma klucz, prawda? – spytała Rouhani.

Powoli przesunęłam wzrok i spojrzałam jej prosto w oczy.

– Tak, mam ciągle klucz. A dlaczego pani pyta?

– Chodzi o to, że nie znaleźliśmy śladu włamania.

– Ach. – Moje oczy otworzyły się odrobinę za bardzo jak na szczyry wstrząs. – Boże. Ale nie sądzicie chyba, że ja mam coś z tym wspólnego, prawda?

– Nic takiego nie powiedzieliśmy – zapewnił detektyw Stowe. – Po prostu analizujemy tę informację. Sprawdzamy każdy szczegół. – To chyba było jego ulubione powiedzonko.

– Inni ludzie też mogli mieć klucz – zasugerowałam. – Tam przychodzi pani do sprzątania... Ale to urocza osoba, nie wyobrażam sobie, że mogłaby zrobić coś takiego... Rada mieszkańców ma klucz... i nie wiadomo kto jeszcze.

Detektyw Rouhani wyjęła długopis i notowała. Podniosła wzrok.

– W esemesach w telefonie pana Hollingswortha znaleźliśmy informację, że włamała się pani do jego mieszkania? I okradła go?

Z ogromnym trudem opanowałam oddech.

– Nie okradłam go – odparłam. – Poprosił, żebym wypłaciła pieniądze dla pani do sprzątania, on się mną w ten sposób bawił. Ale rzeczywiście poszłam do jego mieszkania pod jego nieobecność. – Łzy napłynęły mi do oczu i naprawdę moment na to był idealny. – Ale ja nie wiedziałam, że go nie ma. Właśnie zerwaliśmy. Poszłam, żeby go przeprosić i zrobić mu niespodziankę. W ogóle nie przyszłoby mi do głowy ani przez chwilę, że

wyjechał beze mnie na narty. – Na wspomnienie tamtego bólu znowu zakłuło mnie serce i miałam nadzieję, że ten cios odmalował się na mojej twarzy.

Spojrzeni po sobie.

– Udało się pani skontaktować z jego firmą? Z Candice? – spytałam, zmieniając temat.

– Tak. Zadzwoiłam do niej wczoraj, zaraz po pani wyjściu. Zdaje się, że pan Hollingsworth miał problemy po tym, jak zamówił prostytutki i zapłacił za nie służbową kartą. – Rouhani wyglądała, jakby chciała coś dodać, ale zrezygnowała.

– Rzeczywiście – przyznałam. – Ale Angus mówił, że nie zrobił nic takiego... I naprawdę to do niego niepodobne. – Udajemy lojalność. – Powiedziała pani, co to są za rzeczy o tym Stiepanowiczu?

– Powiedziała, że pan Hollingsworth nie powinien mieć tych wszystkich informacji. Ale przesłaliśmy je im, żeby zweryfikowali, czy rzeczywiście on zbierał je na własną rękę. Czy to nie była jego działka.

– Jak to nie jego działka? – spytałam. – To czemu by to zbierał... Ach... Myśli pani, że Angus przekazał to mediom? – Głos mi się załamał, jakby po raz pierwszy przyszło mi to do głowy.

– Nie jesteśmy pewni – odparła. – Ale na tym etapie musimy po prostu wyjaśnić wszystkie okoliczności.

– Ach, no dobrze. No w każdym razie jak mówiłam: byłam na jodze. – Napiłam się herbaty.

– Wie pani – podjęła – to byłoby zrozumiałe.

Moje brwi mimowolnie się podniosły, choć zdecydowanie tego nie chciałam.

– Gdyby pani mu coś zrobiła... Ewidentnie mieliście problemy.

– Wszyscy mają problemy. Zerwaliśmy.

– Tak, ale gdy przyszła pani do mnie na posterunek, i policjant na recepcji, i jeden z moich kolegów panią rozpoznali. Pytali mnie o panią, martwili się. Mówili, że była pani u nas kilka dni temu, pytała, jak zgłosić przemoc

w rodzinie.

– Angus był porywczy. – Spuściłam wzrok. Usiłowałam uniknąć wyciągania przemocy. Owszem, to by zapewniało usprawiedliwienie, ale też dawało motyw.

– Tak, wiemy. W agencji towarzyskiej powiedziano Candice, że Angus użył przemocy wobec jednej z dziewczyn, bo nie powiedziała tego, co trzeba. Grozili zgłoszeniem, więc na pewno miał wybuchowy temperament. Gdyby się pani broniła, byłoby to zrozumiałe. Co w połączeniu ze zdradami, prostytutkami, filmikami, które znaleźliśmy na jego komputerze, a jeden wrzucił do Internetu... Po prostu wygląda na to, że miałyby pani motyw.

– Motyw do czego? – spytałam.

– Na pewno była pani zła – powiedziała Rouhani.

Spojrzałam na nią, symulując szok.

– Chcemy tylko zapewnić, że rozumiemy, że znajdowała się pani w fatalnej sytuacji – włączył się Stowe. – Czytaliśmy jego esemesy do pani. Wyglądają jak groźby. Widać, że to był burzliwy związek. Próbujemy poznać całą prawdę.

– Motyw do czego? – powtórzyłam.

– Żeby coś mu zrobić. Na przykład uciekając – dorzuciła. – Na pewno była pani na niego zła za te nagrania. Za przemoc. Za zdrady. Ja bym była.

– Musimy to wszystko w kółko powtarzać? – spytałam. – Wiem, jakie to było okropne. Brałam w tym udział. – Silniej. – I tak, byłam zła. Wściekła. Dlatego odeszłam. Pewnie w ogóle nie powinnam była do niego wracać. Ale ja go na pewno nie zabiłam, na pewno. W ogóle nawet gdybym miała choćby spróbować, przeraziłabym się na śmierć! – Podnosiłam głos. Nagle zamilkłam i siedzieliśmy w pełnej napięcia ciszy.

– Ma pani telefon? – spytała Rouhani po kilku chwilach.

– Oczywiście.

– A zgodziłaby się pani, żebyśmy go zabrali? Sprawdzilibyśmy kilka rzeczy. Odzyskałaby go pani w poniedziałek.

– Och. To długo. – Próbowałam sobie przypomnieć, co mam w tym

telefonie, ale to było niemożliwe. Nie miałam pojęcia, co znajdą, ale musiałam sprawiać wrażenie uległej.

– Bardzo by nam to pomogło – dodał Stowe.

– Jasne, pewnie tak – skapitulowałam. Potem podeszłam do łóżka, wzięłam komórkę z szafki nocnej, wróciłam do nich i podałam im ją. – Proszę bardzo. – Przynajmniej miałam dobrą wymówkę, żeby przez kilka dni nie oddzwaniać do mamy.

– Dziękujemy. – Przekazał mój telefon koleżance.

Mój wzrok spoczął na torebce, wciąż stojącej na podłodze u stóp detektywa, i puls mi przyspieszył. Wyobraziłam sobie, jak zauważa pistolet, kształt rękojeści, potem lufy, jak powoli ją rozpina. Wyraz jego twarzy, gdy rozpoznaje, co to jest...

Zrobiło mi się gorąco. W ustach mi zaschło. Musiałam się ich pozbyć. Natychmiast. Stałam więc dalej, sugerując im, że to koniec naszej rozmowy.

– A skoro mowa o telefonach, rozmawialiście ze sponsorem Angusa? – spytałam, odprowadzając ich do drzwi. – Może on rzuciłby jakieś światło na jego stan?

Błagam, znajdźcie ten drugi aparat.

– Mamy to na liście – odrzekł detektyw Stowe z uśmiechem.

Otworzyłam im drzwi i wyszli.

Więc znowu zostałam sama, w ciszy, tylko z Chiarą, trzema niedopitymi herbatami i pistoletem. Wyjęłam go z torebki i pognałam do sypialni, gdzie wepchnęłam go pod kolekcję zdekompletowanych skarpetek i majtek. Ale musiałam mu znaleźć bezpieczniejszy schowek. Albo lepiej – musiałam się go pozbyć. I to szybko.

niedziela

Sun Tzu rzekł: ...jeśli masz przewagę, wykorzystuj szansę zawartą w danej sytuacji, odpowiednio rozpraszając i koncentrując swoje siły.

26 LUTEGO

Zawinęłam się w brudną pościel, moje żale zbierały się w jej fałdach. Dokoła mnie leżały zmięte chusteczki i prawie pusty blister paracetamolu. Granatowych zasłon nie odsuwałam, odkąd wczoraj wyszli policjanci, ale poranek obwieścił swoje przybycie przez szczelinę między nimi. Nie wróciłam do Charlotte po „pogawędce” z przedstawicielami prawa. Przerastało mnie to: jazda metrem, fluorescencyjne światła i moja wątpliwej jakości atrapa zdrowia psychicznego.

Położyłam się więc tylko do łóżka pod ziemistą chmurą, która wisiała tuż pod sufitem. Miałam nadzieję, że rozproszy się przez noc, ale nic z tego. Jeszcze bardziej napęczniała: była niedziela i gdyby Angus żył, pojechalibyśmy na lunch do jego rodziców. Mignęła mi przed oczami subtelna twarz jego mamy. Nieodebrane telefony od niej. Moja komórka.

Jęknęłam cicho i przewróciłam się na bok, poczucie winy uciskało mi klatkę piersiową.

Wzrok skupiłam na swojej komodzie: musiałam się pozbyć pistoletu. Ciągłe leżał pod bielizną. Przeanalizowałam opcje: rzeka, śmietnik, grób. Przynajmniej go w ogóle nie użyłam. Nie pociągnęłam za ten zimny spust. Więc dzięki niemu nie można było mnie powiązać z niczym poważnym – nie mogłam ryzykować, że ktoś go znajdzie, bo moja niewinność opierała się na zbyt wątłych podstawach.

Muszę zmienić pościel. Była tu, gdy chwycił mnie za włosy, znalazłszy swoje skarpetki. Nosila ślady łez. Wymiotów. I ogłuszającego bólu.

Ale głowę miałam taką ciężką, a poduszka była taka miękka. Musiałam odpocząć. Przetrawić to wszystko w ciszy. Zamierzałam więc tak zostać, w brudnej pościeli, aż promień światła między zasłonami z powrotem zgaśnie i ciemność nocnego nieba wreszcie dopasuje się do krajobrazu mojego wnętrza.

I gdy tak leżałam z zaciśniętymi powiekami i pięściami, usłyszałam ciche pukanie.

Tym razem wiedziałam doskonale, co to jest. Oswoiłam się już z pukaniem do moich drzwi. Ale byłam zmęczona, taka zmęczona, więc jeszcze trochę poleżałam, nim wreszcie otworzyłam oczy i słuchałam: puk, puk, puk.

A jeśli to znowu policja?

Usiadłam niechętnie. Wyszłam z łóżka. I równie niechętnie wyprawiałam się do drzwi wejściowych, ciągnąc ciężkie kończyny.

– Słyszę cię po drugiej stronie – powiedział – więc chociaż wiem, że nie umarłaś. To już coś.

Zerknęłam przez judasza.

David.

– Cześć – odezwałam się. – Nie czuję się najlepiej.

– Jasna sprawa. Wręcz się z tego cieszę. Bo to jednak niepokojące tak się nie pojawić, a potem zniknąć. Naprawdę się martwiłem.

– Bardzo cię przepraszam – mówiłam dalej przez drzwi. Głos miałam ochryply.

– Otworzysz mi? – spytał.

Cholera.

Zdjęłam łańcuch i otworzyłam.

– Przepraszam, jestem w strasznym stanie, ale naprawdę się pochorowałam.

– Absolutnie wszystko w porządku – odrzekł. Miał na sobie dzinsy i granatowy sweter z dekoltem w szpic. Ten kolor pasował mu do oczu. –

Cieszę się, że nic ci nie jest.

Stał i patrzył na mnie.

– Chcesz wejść? – spytałam.

– Jasne. – Podniósł brązową torebkę. – Przyniosłem ciastka.

W mieszkaniu panował zaduch, poczułam to dopiero, gdy odetchnęłam świeżym powietrzem z klatki schodowej, więc podeszłam do okna, żeby je otworzyć.

Muszę umyć zęby.

Postawił torbę na stoliku i usiadł na kanapie – tej samej, na której tak niedawno siedział Angus. Wpatrywał się we mnie tymi granatowymi oczami, w świetle wpływającym przez okno jeszcze dokładniej widziałam ich maleńkie zielone punkty.

Szukał w moich oczach odpowiedzi; tak samo jak detektyw Rouhani wczoraj, tylko że on szukał łagodniejszych. Milszych. I nie zamierzał mnie posłać za kratki. Niewyartykułowane pytania Davida dotyczyły stanu mojego serca. Nie miejsca pobytu w dniu śmierci Angusa.

Powietrze między nami było gęste. Miałam wrażenie, że tamten wieczór w restauracji, gdy powiedział „Ucieknijmy”, wydarzył się w jakimś innym życiu. Innej dziewczynie. Zniknął z jego głosu tamten gniew, gdy zadzwoniłam do niego po wybuchu afery ze Stiepanowiczem, to wspomnienie rzucało jednak ciemny cień u jego stóp. Ale mowa jego ciała – ruchy rąk, ciała, wyraz oczu – sugerowała, że przyszedł w pokojowych zamiarach.

– Więc... – powiedziałam. Stałam, nie wiedząc, co zrobić z rękoma. Z torby stojącej na stoliku między nami dobiegał zapach croissantów czy czegoś podobnego, na brązowym papierze pojawiły się tłuste plamy.

– No więc... – powiedział on. – Co się dzieje? – Twarz miał poważną. – Najpierw dzwonisz i rozłączasz się, zanim odbiorę, potem uciekasz przede mną w pracy, a potem mnie wystawiasz.

– Przepraszam. Powinnam była zadzwonić, odwołać. – Westchnęłam. – Chcesz herbaty?

Patrzył to na moją twarz, to na szaroróżową pizamę i brudną podłogę.

– Hm, tak, bardzo chętnie, pewnie.

Poszłam do kuchni i nastawiłam wodę, kładąc dłoń na ścianie czajnika, żeby oszacować jego postępy. Najpierw rozgrzały mi się palce, a potem dłoń, gdy czajnik zaczął szumieć. Wyjęłam dwa kubki z szafki, cały czas czując obecność Davida tam, w drugim pokoju, na kanapie. Czekał na mnie. Ten człowiek, który nie miał pojęcia, co zrobiłam.

Łzy płynęły mi po policzkach, przełknęłam głośno ślinę, starając się zrobić to bezgłośnie.

– Z mlekiem? – zawołałam z wymuszonym uśmiechem.

Nie dał się nabrać.

– Tak – odrzekł, stając w drzwiach. Podszedł do mnie, wyjął mi z rąk kubki i objął mnie. – Cokolwiek się dzieje, na pewno nie jest tak źle. – Jego powaga łagodniała. – Może sobie usiądziesz? Ja zrobię herbatę.

Nie usiadłam jednak. Poszłam natomiast do łazienki i umyłam zęby.

A gdy wyciskałam pastę na szczoteczkę, słyszałam go przez cienką ścianę: otwierał drzwi lodówki, potem je zamykał; szperał w szufladzie ze sztućcami, szukając łyżeczki. Gdy odkręcałam kurek, by wypłukać usta, wyobraziłam go sobie, jak nalewa wrzątku. I zgrzyt metalu o ceramikę, gdy miesza herbatę.

Przeszłam do salonu.

– No? – zagaił z podniesionymi brwiami, idąc do mnie. – Opowiadaj.

– Jak mnie w ogóle znalazłeś?

– Prawo jazdy, pamiętasz? Bolton Gardens łatwo zapamiętać.

Odetchnęłam głęboko, odstawiłam kubek, złożyłam ręce na kolanach i spojrzałam na niego.

– Pamiętasz, jak prasa napisała o Nikołaju Stiepanowiczu, Town Square i Eastbourne? – spytałam.

– Nie, zupełnie zapomniałem. – Uśmiechnął się i napił herbaty.

– Davidzie, nie żartuj sobie. Muszę ci coś opowiedzieć. – Wpatrywałam się

w niego.

– No dobrze więc, oczywiście, pamiętam. I też muszę ci wyznać, że zadzwoniłem do tej denerwującej kobiety z HR w chwili, gdy odebrałem twój telefon... Naprawdę bardzo cię za to przepraszam. Strasznie mi z tym, jak do ciebie wtedy mówiłem. – Podniósł brwi, spuścił wzrok. – To żadna wymówka, ale byłem bardzo zdenerwowany. Nie lubię być wymanewrowany. – Uśmiechnął się i spojrzał na mnie. – Ale wiem, że zachowywałem się nielogicznie: oczywiście, że nie wiedziałaś. Nikt nie wiedział. Dlatego właśnie napisano o tym w gazetach. To był kurwa pech.

Westchnęłam.

– Nie. To nie był tylko pech.

– Co to znaczy? – spytał, upijając kolejny łyk herbaty. Spojrzałam na swój kubek, wciąż stojący na stole. U dołu utworzył się wilgotny krąg.

– Dowiedziałam się o Eastbourne od byłego chłopaka.

Czułam, jak znowu sztywnieje.

– Twojego narzeczonego?

– To nie jest mój narzeczoney – odparłam. Moje poczucie humoru uleciało w chwili, gdy Angus spadł z balkonu. – Ale to on mi powiedział, że inwestor się wycofał, i zasugerował, że to pomysł w sam raz dla ciebie. Oczywiście o całej reszcie mi nie powiedział. Zachował to dla mediów.

– Co? Dlaczego ci to zrobił? – David zmrużył oczy ze sceptycyzmem, który doskonale rozumiałam. Ogrzewał dłonie na kubku, ale już nie pił herbaty.

– Diabli wiedzą. Nasz związek daleki był od doskonałości.

Patrzył skołowany.

– Ale to jakaś szajba. Rozumiem, że przekazał takie informacje mediom, no bo skoro już ktoś takie informacje ma, to chciałby z nimi coś zrobić. Ale wciągać w to ciebie? Po co?

– Naprawdę nie mam pojęcia. – Sięgnęłam po swój kubek. – Ale tak właśnie się stało.

David rozglądał się po pokoju, jakby odpowiedzi kryły się na półkach z książkami albo w jaskrawych haftach poduszek na kanapie.

– No a pytałaś go? – spytał.

– Nie.

– No to może go spytasz? – Podniósł brwi.

Upiłam łyk herbaty, po czym odstawiłam kubek.

– Nie mogę – odparłam. – On nie żyje, Davidzie. Zabił się.

– Co takiego? – Mało nie wylał herbaty. Odstawił swój kubek obok mojego. – Kiedy?

– W czwartek wieczorem.

– Boże drogi. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – Aż się skrzywił.

– Nie wiem. – Łzy płynęły mi już po policzkach.

– Boże, tak mi przykro. Biedactwo – powiedział, wyciągając do mnie ręce. Objął mnie.

– Mnie też jest przykro – wymamrotałam. Bo rzeczywiście było mi przykro.

I nadal jest.

– Boże – westchnął po kilku chwilach ciszy. – Samobójstwo...

– Wiem. Policja zadawała mi tyle pytań, to było strasznie stresujące.

– Wyobrażam sobie. – Jego ramiona były ciepłe. I przytulne. – Mogę ci jakoś pomóc? – spytał, odsuwając się, by zajrzeć mi w oczy.

– Nie – odparłam. – Ale bardzo ci dziękuję.

Dałam mu się tak trzymać. Kołysać. I siedzieliśmy tak w ciszy, w spokoju, przez jakiś czas.

– Prawda czy wyzwanie – powiedział w końcu w czubek mojej głowy. W jego głosie pobrzmiwało szelmstwo, co przyjąłem z dużą ulgą.

– Wyzwanie. – Potrzebowałam wytchnienia.

Odsunął się trochę ode mnie, podniosłam na niego wzrok.

– Wyjedź się ze mną w następny weekend.

I po raz pierwszy od nie wiem jakiego czasu na moich ustach zagościł uśmiech, gdy z powrotem wtuliłam się w niego.

– Dokąd? – spytałam. Pozwoliłam sobie na wyobrażenia, choćby przez chwilę. Bo nie miało znaczenia dokąd: najpewniej za tydzień będę ciulać na kaucję.

– Do Paryża. I tak muszę tam pojechać, w sprawach służbowych. Powinnaś pojechać ze mną. Będzie fajnie. – Widziałam, że dla mnie sili się na entuzjazm. Ale na próżno.

– Masz żonę, Davidzie – przypomniałam cichutko. – A właśnie, jest weekend, nie powinienesz być z nią na wsi?

Czułam, jak nabiera powietrza.

– Mówiłem ci już, że mamy umowę – powiedział.

Odsunęłam się i podniosłam na niego wzrok zmęczonych oczu.

– Jaką umowę, Davidzie? – To pytanie powinnam była zadać tamtego dnia w hotelu.

– Taylor... nie sypiamy ze sobą od ponad trzech lat, a ona w zasadzie cały czas mieszka w naszym domu w Kornwalii – wyjaśnił. – Chodzi o to, że rozwód to strasznie długotrwałe i drogie przedsięwzięcie. Ale ona wie, że się z kimś spotykam. Też się z kimś spotyka. Możesz ją poznać, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję – odparłam, robiąc głęboki wdech i spuszcżając wzrok. – Davidzie... nie okłamuj mnie, proszę.

– Nie okłamuję. Za dwa, może trzy miesiące będę oficjalnie rozwiedziony. Nie możemy do tego czasu pozwolić sobie na namiętny romans w Paryżu?

Nie chciałam jechać do Paryża. Już nigdy. Zostawiliśmy z Angusem ślimaczy ślad wspomnień w całym mieście świateł; euforyczna nadzieja, którą wtedy czułam, pewnie ciągle połyskiwała w szczelinach chodnika po zmroku.

– Możemy to zrobić? – spytał, opierając podbródek na mojej głowie.

– Dobra. Ale możemy gdzieś indziej? – Zaatakowały mnie obrazy z grobu Jima Morrisona: Angus całujący mnie brutalnie za płytą, opierając mnie o nią, unieruchamia mi ramiona, czuję pod paznokciami mech; zapach ścinanej trawy. Pociąg Eurostaru: dziecięcy głos śpiewający „The Wheels on the bus go round and round” napływał do mnie z siedzenia z tyłu, a on

szeptał mi do ucha „Kochanie, dotknij mnie”. Płaszcz zakrywał mu krocze jak prowizoryczny koc, ja rozpięłam mu rozporek i zrobiłam, o co prosił... potem znieruchomiałam, gdy przejechał wózek z kawą. A przez ten cały czas leciały słowa piosenki „The Wheel on the bus go round and round”. Gdy różowe niebo uśmiechało się do mnie fałszywie zza zamglonej szyby, nie miałam pojęcia, co mnie czeka. Zamrugalam powiekami i próbowałam wymazać te wspomnienia.

- Dlaczego? Paryż jest niesamowity.
 - Za dużo wspomnień – odparłam, spuszczaając wzrok.
 - Stworzymy nowe – zaproponował.
- Uśmiechnęłam się i wróciłam w jego objęcia.

poniedziałek

Sun Tzu rzekł: Nie jest szczytem stylu zwyciężyć w bitwie i zostać obwołanym „ekspertem” walki.

27 LUTEGO

Tego ranka obudziłam się gwałtownie: adrenalina pulsowała mi w żyłach, ulewny deszcz uderzał w szyby i grube strugi wody leciały z rynny w górze. David spał za moimi plecami, z twarzą w moich włosach. Na dworze ciągle było ciemno i miękki żółty blask latarni zakradał się przez skraje zasłon. Było pięknie. Serce trzepotało mi w piersi i gdy tak leżałam w ciepłym i bezpiecznym łóżku, ciche łzy spłynęły mi po policzkach, aż poczułam w ustach ich słony smak. Moje życie miało się dziś zmienić. Czułam to.

Całą noc to zanurzałam się w sen, to się z niego wynurzałam, katalogując zawartość telefonu: esemesy do Angusa i od niego, telefon do Davida, zdjęcia, mejle, które wysłałam ze swojego konta – nic, co byłoby obciążające. I z premedytacją przekierowałam mejl Caza z komputera Angusa, z jego IP, tak żeby w żaden sposób nie dało się tego ze mną powiązać. Ale choćbym nie wiadomo jak skrupulatnie przebiegała wszystko w głowie, nie mogłam znaleźć spokoju. Bo po prostu nie miałam pojęcia, na którą stronę przewrócą się dziś kostki domina.

Odłożyła telefon na drewniany stół. Ciężkim gestem. Łupnięcie rozniosło się po niewielkim pomieszczeniu.

– Może go pani zabrać – powiedziała. Rzuciła mi szybkie spojrzenie i podeszła do okna. Rozciągało się na całą ścianę i wychodziło na brązowy korytarz.

Wpatrywałam się w swoją komórkę. Znaleźli tam coś, czułam to

w kościach.

Kroki krążącej detektyw Rouhani były jedynym dźwiękiem w tym małym obskurnym pomieszczeniu. Ale w tle rozpoznawałam słaby szmer życia trwającego na dole, po drugiej stronie ściany.

Mokre od deszczu spodnie przylgnęły mi do nóg. Od twardego plastikowego krzesła zdrętwiał mi tyłek, a na podeszwie lewej stopy tworzył mi się pęcherz.

Zebrawszy myśli albo zmęczony się chodzeniem, detektyw Rouhani wróciła do mnie i do zawalonego różnymi rzeczami biurka, na którym leżał mój telefon. Za bardzo się bałam, żeby po niego sięgnąć, jakbym dotykając go, mogła się przyznać do winy.

Usiadła na zniszczonym blacie, patrząc na mnie. Podniosłam na nią wzrok, a potem wzięłam do ręki telefon.

– Dziękuję – powiedziałam. – Znaleźliście na nim coś przydatnego? – „Nie. Błagam, powiedz nie”.

Przygotowałam się na niespodziewane pytanie, na coś, o czym nie pomyślałam i nie mogłam się na to przygotować.

– Owszem – odparła.

A jednak.

Gryzłam wewnątrz policzka, przypominałam sobie ciepło oddechu Davida na szyi i moje serce zamarło w połowie uderzenia.

– Napije się pani herbaty? – spytała.

– Nie, dziękuję. – Dlaczego to przeciągała?

Sięgnęła po notes leżący na biurku, a potem spytała, jakby nie chodziło o nic ważnego.

– Mówiła pani, że wiedziała o uzależnieniu od narkotyków pana Hollingswortha?

– Tak, zażywał kokainę. Ale rzucił to. A w każdym razie ja sądziłam, że rzucił. – Powiedz mi już, co znaleźliście w moim telefonie!

Zmrużyła oczy.

– Znaleźliśmy dużą ilość kokainy przymocowaną taśmą pod kanapą. Nie wiedziała pani o niej?

Oczywiście, że wiedziałam. I dobrze, że w końcu ją znaleźli, może znajdą też ten drugi telefon. Czułam, jak moje oczy otwierają się szeroko, jakby telepatycznie usiłowały rozchylić jej zmrużone powieki.

– Nie, nie miałam pojęcia. To znaczy, trzymał gdzieś pod ręką niewielkie ilości, ale zwykle to były naprawdę drobinki. – Pokazałam palcami niewielki prostokącik.

Zajrzała do notesu.

– A rozpoznaje pani ten numer telefonu? – spytała, podsuwając mi notes. U dołu kartki pokrytej gwiazdkami i notatkami widniał numer. Został obwiedziony długopisem do miejsca, w którym kartka zaczęła się rozrywać.

Patrząc na te cyfry, szczerze powiedziałam:

– Nie.

– Należy do niejakiego Camerona, albo Caza. Słyszała pani kiedykolwiek to imię?

Znaleźli drugi telefon.

– Nie sądzę. Nie w związku z Angusem. To znaczy, znam imię Cameron, ale nie znam nikogo, kto je nosi.

– No dobrze. – Znowu spuściła wzrok na notes. Przeglądała notatki.

– Kto to jest? – spytałam.

– Prywatny detektyw – odparła, podnosząc wzrok. – Znaleźliśmy sporo nieodebranych połączeń od niego na drugim telefonie w mieszkaniu pana Hollingswortha. Leżał pod stosem starych ubrań w szafie. Wie pani coś na ten temat?

– Nie.

– Próbuje się z nim skontaktować – mówiła dalej. – I dla pani informacji: tam właśnie robił filmiki. Znaleźliśmy w tej szafie kamerę. Lustro fenickie. Niezła pułapka.

Przełknęłam z trudem ślinę, wyobrażając sobie grupkę policjantów

śmiejących się podczas oglądania nagrań.

– Ale mój telefon w czymś pomógł? – spytałam. Chciałam stanowczej odpowiedzi. Potrzebowałam jej.

– Tak. – Uśmiechnęła się, ale nie umiałam tego uśmiechu zinterpretować. Nie wiedziałam, czy ona sobie gratuluje, czy się pociesza. – Nasi specjaliści wszystko przeanalizowali. – Odłożyła notes i wzięła do ręki kilka kartek spiętych w rogu zszywką.

– Świetnie – powiedziałam. – Mogę go włączyć?

Sun Tzu rzekł: Strategia wojny polega na przebiegłości i stwarzaniu złudzeń.

– Oczywiście – odparła.

Gdy włączałam guzik, przypomniał mi się Jamie i brzemiennie w skutki spotkanie. Nagi, zabawny, uroczy Jamie ze swoimi limonkowymi poszewkami, mentolowymi fajkami i Sztuką wojny.

Może on będzie moim adwokatem.

– iPhone'y można śledzić.

Cholera.

– A pani iPhone, jak na pewno pani wie... – Zrobiła wdech i spojrzała na zszyty raport w ręku – pojawił się w studiu jogi o 18.38. I tam pozostał. A gdy opuścił to miejsce, o dwudziestej z minutami, pojechał do wschodniego Londynu. Dokładnie tak jak pani mówiła.

– Oczywiście. Ale czy znaleźliście w nim coś, co by wam pomogło w śledztwie? – spytałam szybko. Jakby nigdy w życiu nie przeszła mi przez głowę wątpliwość co do efektów ich poszukiwań.

Zostawiłam go w szafce. Chwała Bogu, że zostawiłam go w szafce.

– A więc to potwierdza pani wersję – podjęła. Ale nie spuszczała ze mnie wzroku. Jakby nie wiedziała, co myśleć. Albo jakby nie do końca wierzyła w dowody – nie umiałam powiedzieć. Jakby próbowała uchwycić coś, co ciągle jej umykało, tak samo jak ja miałam z Angusem przez tyle miesięcy.

– Nie rozumiem jednego. Jeśli się tak pani bała pana Hollingswortha, skoro był porywczy, a pani rozważała wniesienie skargi o stosowanie

przemocy, dlaczego nie wyłączyła pani usługi Find My Friends? On mógł panią namierzyć, kiedy tylko chciał.

Znajdź swoich przyjaciół. Kiedy zaczęliśmy się z Angusem spotykać, pojechałam na imprezę do Dalston. On nie był wielbicielem wschodniego Londynu – twierdził, że zanim się tam wybierze, musiałby się zaszczepić – i martwił się, że jadę tam sama. Ale ponieważ wtedy nie mógł po prostu jeszcze wprost powiedzieć, że mi pojechać nie wolno – ten etap był dopiero przed nami – uruchomił Find My Friends. I patrzył na moją niebieską kropkę, gdy szłam do domu, a on siedział na kolacji służbowej. Upewnił się, że nic mi nie grozi.

Wydawało mi się to słodkie i troskliwe. Ale Charlotte, usłyszawszy o tym, upierała się, że to upierne jak jasna dupa, i kazała mi natychmiast to wyłączyć. Co zrobiłam. Co prawda nigdy o tym Angusowi nie powiedziałam. A on nigdy nie pytał.

– Ale ja nie mam już tej aplikacji – odparłam. – Skasowałam ją.

– Skasowanie aplikacji nie wyłącza udostępniania lokalizacji. Ktoś, komu dała pani uprawnienia, dalej może śledzić położenie pani telefonu.

To stąd wiedział, że się do niego włamałam, gdy on wyjechał – pewnie z tego powodu też tak bardzo się wkurzył. I to miał na myśli, gdy mówił: „Naprawdę sądziłaś, że mnie przechytrzysz?” tej nocy, gdy zginął. Sądził, że zostawiłam telefon w studiu jogi celowo, żeby zmylić trop. To dlatego wiedział, że jestem u siebie, nie u niego, i oglądał filmik. I dzięki temu czekał na mnie z fioletowym notesem, gdy wpadłam do jego mieszkania się spakować. Wcale nie czytał w moich myślach. Po prostu śledził moją niebieską kropkę.

– Rozmawialiśmy też z recepcjonistą w studiu jogi, który miał zmianę w ten wieczór – powiedziała, zrywając mój wianuszek rozmyślań.

Serce mi przyspieszyło.

– Naprawdę? – spytałam, nagle czując przerażenie. – I co?

Cisza.

– On też potwierdził pani wersję. Powiedział, że na pewno pani

intensywnie ćwiczyła, bo była pani spocona.

Włosy spocone pod czapką ze strachu. Znowu wzięła do ręki notes, a ja patrzyłam, jak przegląda zapiski.

Podniosła wzrok.

– Przychodzi pani do głowy jakaś osoba, jakakolwiek, która by chciała skrzywdzić pana Hollingswortha? Ktoś, kto by miał klucze do jego mieszkania.

Niespiesznie rozejrzałam się po pomieszczeniu, ściągnęłam brwi i po chwili pokręciłam głową.

– Nie – odparłam. – No a poza tym, bo myślałam o tym od soboty, żeby ktoś się dostał do środka, potrzebowałby nie tylko klucza do mieszkania – zresztą ten zamek można spokojnie sforsować – musiałby się najpierw dostać do budynku. A tam na dole ciągle jest zmieniany kod dostępu i każdy, kto wchodzi głównym wejściem, musi się zgłosić do konsjerża, więc byłoby to zapisane. Może on rzeczywiście po prostu skoczył.

Spojrzała na mnie średnio przekonana.

– Może... – Ale z tonu jej głosu i ze spojrzenia widziałam, że nie jest przekonana. – To się nie trzyma kupy – dodała. – Wiemy, że ktoś tam był, sąsiad kogoś widział, no i to światło zarejestrowane przez kamerę monitoringu... tylko kto?

– No a Stiepanowicz? Jeśli to rzeczywiście Angus przekazał informacje mediom, może Stiepanowicz się o tym dowiedział i wynajął kogoś? Kogoś, kto by wiedział, jak się dostać do środka, nawet bez kodu. No bo on przecież musiał się bardzo wkurzyć, prawda?

– Nie jesteśmy pewni. Ale najpierw musimy wykluczyć najprostsze rozwiązania – odparła. Rzeczowo, bez emocji.

I znowu zajęła się notesem. Nagle podniosła wzrok, spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– W każdym razie dziękuję, że pani przyjechała, i proszę dzwonić, gdyby coś pani przyszło do głowy.

Wstała, spotkanie dobiegło końca.

– Jasne – powiedziałam i ruszyłam za nią.

W głowie mi się kręciło. Detektywka już bez słowa otworzyła drzwi i wypuściła mnie.

Potem je za mną zamknęła.

Poszłam brązowym korytarzem po raz szósty w tym tygodniu, wzdłuż ścian oklejonych tapetą w romby, minęłam tabliczkę „Centrum koordynacyjne”, młodego policjanta w recepcji, tego, który pewnie jej o mnie powiedział, i przez ciężkie drzwi wejściowe wyszłam na rześkie londyńskie powietrze. Minął mnie czerwony autobus.

Odetchnęłam głęboko.

piątek

Sun Tzu rzekł: Wojna jest dla państwa sprawą najwyższej wagi, sprawą życia lub śmierci, drogą wiodącą do przetrwania lub upadku. Dlatego też należy jej poświęcić poważne studia.

10 MARCA

Patrzyłam, jak za oknem domy zlewają się w jedną smugę: sznury z praniem, życie jedno, drugie, trzecie, oszustwo. Zbliżaliśmy się do obrzeży Londynu; było przedpołudnie, nad nami rozciągało się jaskrawoniebieskie niebo. Nadchodziła wiosna: w Green Parku kwitły już żonkile. Moja twarz odbijała się niewyraźnie w oknie, a obok widziałam twarz Davida. Niedługo za oknem pojawią się pola. I ciemność Eurotunelu. I potem będzie światło. Francuskie pola. Szare dachy. I wreszcie Paryż. Wiedziałam, co mnie czeka, i ścisnęłam dłoń Davida.

Siedział obok mnie i czytał gazetę. Ja trzymałam pustą filiżankę po kawie, a pociąg Eurostaru ze stukotem toczył się po torach. Nie mogłam oderwać oczu od okna: wypatrywałam tam odpowiedzi, rozważając swoje możliwości. Ciągle nie pozbyłam się pistoletu, bo nie wiedziałam, jak to zrobić. Rzeka? Most? Śmietnik? Śmietnik sąsiadów? Po prostu nie miałam pojęcia.

W głowie nadal miałam chaos. Serce ciągle mnie bolało. A ilekroć zamykałam oczy, widziałam twarz Sophie Reed. Wyobrażałam sobie ciemne oczy Angusa, zanim umarła. I zastanawiałam się, co jej rodzice zrobili z mejlem, który im wysłałam. Czy go przeczytali, czy go komuś przekazali? Czy detektyw Rouhani dowie się o tym od Caza, gdy wreszcie z nim porozmawia? Pewno on coś powie, teraz, skoro Angus nie żyje.

Te same myśli krążyły nieprzerwanie po mojej głowie, na ogół w tym samym porządku, od miesiący. Zwykle potem zastanawiałam się, co Angus by mi zrobił, gdyby żył, gdyby się zorientował, że wysłałam ten mejl, a ja nie

mogłabym go zaszachować tymi rzeczami z jego telefonu. I czasami myślałam też o Kim. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym wtedy odpisała, a nie pozwoliła jej zablokować Angusowi. Czy ona by mu powiedziała? Co on by wówczas z tym zrobił? I jeszcze się zastanawiałam, co by się stało, gdybym powiedziała prawdę Charlotte, gdybym zastosowała się do jej oczywistej rady: „Odejdź. Po prostu odejdź”. I nieprzerwanie zadawałam sobie pytanie, czy dokonałam właściwych wyborów.

Ostatecznie jednak zawsze dochodziłam do tego samego wniosku: tak, mogłam w każdej chwili dokonać innego wyboru, przewrócić inną kostkę domina, uruchomić inny łańcuch wydarzeń. Ale skąd wiadomo, że ten inny bieg wydarzeń okazałby się lepszy? Skoro nie mogłam przewidzieć wyników googlowania, skutków dnia chorobowego ani pierwszych prób zemsty, skąd miałam znać wynik wyboru, którego nie dokonałam? I w jakimś niewielkim stopniu dawało mi to pocieszenie.

Oddzwoniłam do jego mamy, tłumacząc się, że policja zabrała mi telefon. Obie płakałyśmy, a potem znowu na jego pogrzebie tydzień później. Stałam z nimi w jednym rzędzie na nabożeństwie, głos kapłana grzmiał w świątyni, Eleanor siąkała nosem, a oczy ojca Angusa były suche. Uroczystości odbywały się w tym samym kościele w Wiltshire, w którym Angusa ochrzczono – stare kamienne ściany, ceramiczne wazony wysokie na metr, pełne białych kwiatów i zielska, zapach lilii w całym kościele.

Od pogrzebu nie rozmawiałam z Alison ani z Harrym. Ale Jeremy odzywał się do mnie mniej więcej co miesiąc. Był też miły na pogrzebie, odszukał mnie i pytał, jak się czuję, odciągnął mnie z dala od Kim, gdy pojawiła się w wielkich czarnych okularach. Ale w końcu to wszystko wygasło. Podobnie jak mój strach, że zostanę zdemaskowana.

To jednak dziwne – wykręcić się od morderstwa. Człowiek myśli, że skoro jest wolny, to poczuje ulgę. Ale nie. Jest tylko ta ciemność osadzająca się na duszy. I świadomość, że już nikt nigdy nie będzie cię tak naprawdę znał. Że grając w „prawda czy wyzwanie”, już nigdy nie wybierzesz prawdy.

Bo choćbyśmy nie wiadomo jak pięknie zszyli swoje życie z Davidem, jak bardzo by się splotły nasze dusze; zawsze będzie taka część mnie, której on

nigdy nie ujrzy. Mała jagódka, z którą będę musiała sobie radzić sama. I szczęśliwszego końca nigdy się nie doczekam.

Ale podoba mi się, jak on na mnie patrzy – jakbym ciągle była tamtą dziewczyną co kiedyś – lubię mieć go przy sobie, gdy śpimy. I wiem, że pewnego dnia przestanę myśleć o Angusie. Nie będę się już bała, że gdy włączę radio, usłyszę naszą piosenkę. Wiem, że pewnego dnia on będzie już tylko jednym z wielu czynników, które mnie zmieniły, uczyniły mnie tym, kim jestem. Bo tak właśnie wygląda życie: niektóre romanse zmieniają człowieka nieodwracalnie. Ktoś wskakuje na twoją orbitę i obraca cię wokół twojej osi, jak wiatr miotający kogucikiem na dachu. A gdy to przechodzi, bo wiatr zawsze ustaje, jesteś już inny. Obrąłeś nowy kierunek. I nie zawsze właściwy.

podziękowania

Niedzielną dziewczyną ujrzała światło dzienne wyłącznie dlatego, że grupa cudownych osób dała mi szansę. Więc przede wszystkim dziękuję: błyskotliwej ekipie z Simon & Schuster Australia. Fionie Henderson nie tylko za to, że wydała moją książkę, ale że zawsze była w stu procentach po mojej stronie (jesteś boska), Danowi Ruffino za zachętę (światło oczu pisarza) i chęć doprowadzenia mnie do celu, Shieli Vijeyarasie za przekazanie dalej mojego rękopisu (nie wspomnę, że jest to osoba niewyobrażalnie oszałamiająca). Na moją wdzięczność zasłużyli także Michelle Swainson ze swoim uważnym okiem i Jamie Criswell oraz ekipa marketingu za całą ich pracę. I moje redaktorki: Vanessa Mickan i Claire de Medici. Bez waszego sokolego oka do wyławiania niezgrabności i miejsc nieklejących się nie ruszyłabym z miejsca.

Bella Zanesco – dziękuję Ci za uruchomienie tej całej maszyny. Bells, bez Twojej przyjaźni i gadek motywacyjnych kto wie, ile czasu by trwało, zanimby książka trafiła na półki księgarni. Ben Evans – za Twoje przewodnictwo i zachętę przy pierwszych wersjach. Rodzicom dziękuję za nieustające wsparcie; za podsycanie mojej ciekawości, zachętę do podejmowania ryzyka i znajdowania własnej drogi, nawet jeśli to nie było zgodne z planem; zwłaszcza jeśli to nie było zgodne z planem. Siostrze dziękuję za przyjaźń i miłość; za to, że jest moją najżarliwszą wielbicieleką i że zawsze mi powtarza, że dam radę, bez względu na to, za co się zabieram. Wujek Michael Herbert zaskarbił sobie moją wdzięczność tym, że chociaż jako wykładowca literatury angielskiej przyzwyczajony jest raczej do dzieł na poziomie *Ulissesa*, wspierał moje pisanie od pierwszej chwili. Wtedy byłam jeszcze bardzo niepewna i wiele to dla mnie znaczyło.

Tabitha Wrathall – wspaniała przyjaciółka i chętna współpracowniczka

w zbieraniu materiałów, również zasłużyła na moje wyrazy wdzięczności. Podobnie jak Reinet Keyter – za miłość i stałe wsparcie emocjonalne przed zawodem miłosnym, w jego trakcie i po nim. Asher Crawford – za to, że był na każde moje bzdurne wezwanie za każdym bzdurnym razem (czy ktoś chce do Paryża?) i że i tak mnie kocha. Kerrienne Blondel – dzięki za wszystkie nasze komiczne rozmowy o psychopatach, manipulatorach i narcyzach i za te godziny prześmiane nad nimi do łez. Tana Adelman – że odpowiadała na wszystkie moje pytania dotyczące prawa i procedur policyjnych: gdyby nie Ty, musiałabym dać się aresztować, żeby się dowiedzieć, jak to wygląda. Daleya Marohn – jesteś magiczną fotografką i szczęśliwym trafem koneserką, dziękuję ci. Delia Hendrie – dzięki za Twoją uprzejmość i rozmowy w kuchni. I przyjaciołom w finansach i nieruchomościach, cierpliwie odpowiadającym na miliony pytań.

I wreszcie dziękuję mężczyznom w moim życiu: tym, którzy pokazali mi, jak znowu zaufać, i tym, którzy spalili mnie na popiół. Bez Was nie byłabym tą kobietą, którą jestem. I za to zachowam wdzięczność po grób.